

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Cena 7 zł (w tym 5% VAT)

KRAKÓW

Nr 10 (179) Październik 2019



Ewa Lipska rozmawia ze Zbigniewem Preisnerem

Janusz A. Majcherek: Miasta kreatywne

Wybory w Krakowie 1919

(Nie)rozłączni – trudne tematy polsko-żydowskie



9 77 1733 045903 09

ISSN 1733-0459 Indeks 388726



WIESŁAW DYMNŃ, COURTESY ANNA DYMNŃA



Ludwik Krafft (1837–1897), Rynek Główny, 1859 r.

Współpraca:



Miasta kreatywne

Tekst: Janusz A. Majcherek

W średniowieczu zrodziło się znane w całej Europie powiedzonko, że miejskie powietrze czyni wolnym. Choć miejskie powietrze w sensie fizycznym zawsze było śmierdzące, zatęchłe, przepełnione wonią targowisk i warsztatów rzemieślniczych, a potem fabryk, mieszkańcy korzystali z atmosfery wolności i swobody po części zapewnianej przez anonimowość miejskiego tłumu, w którym kontrola społeczna była rozluźniona, bo utrudniona.

Miasto zawsze było wielokulturowe, ponieważ to miejsce osiedlania się przybyszy z różnych stron, bliskich i dalszych – niekiedy bardzo dalekich – okolic. Co więcej, typowe miejskie zajęcia i zawody, a więc rzemiosło, handel, budownictwo, obrót pieniężny wymagały i wymagają przemieszczania się między różnymi ośrodkami miej-

skimi w poszukiwaniu surowców, towarów, klientów. Liczebność, zróżnicowanie i rotacja składu ludności dają inspirujące możliwości poznawania, przyswajania i przetwarzania różnych stylów życia. Stąd biorą się nowe pomysły, koncepcje, idee. Miasta są kreatywne, to w nich rodzą się cywilizacyjne innowacje. Było tak zarówno w greckich

WIESŁAW DYMNŃ

JESTEM RANNY CZŁOWIEK. PISARZ, AKTOR, MALARZ

WERNISAŻ: 24.10.2019, GODZ. 18, WSTĘP WOLNY

25.10.2019–15.3.2020

MUZEUW SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
W KRAKOWIE MOCAK
UL. LIPOWA 4

MUZEUW SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ W KRAKOWIE MOCAK – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

polis, jak i renesansowych miejskich republikach włoskich.

Nowoczesność wiąże się z gwałtowną urbanizacją i powstawaniem miejskich metropolii, gdzie w ludzkim tyglu wytapiały się nowoczesne formy życia indywidualne-

Mieszkańcy dużych ośrodków miejskich wykazują inne poglądy, przekonania, postawy i wynikające stąd preferencje polityczne niż osiadli zaledwie kilkaset czy kilkadziesiąt kilometrów dalej więcej pobratymcy, a często kuzyni.

go i zbiorowego oraz organizacji społecznej, a także specyficznie miejskiej, mieszczańskiej kultury. W społeczeństwie o dużej mobilności (która nadaje mu dynamikę) wielu mieszkańców miasta pochodzi spoza niego i swoim napływem nadaje z kolei dynamiki jemu.

Dwie Polski

Wszystkie te właściwości i cechy miejskiego osadnictwa i życia są przeciwieństwem wiejskiego. Stąd biorą się wyraźne różnice mentalne, obyczajowe, kulturowe, a w rezultacie społeczno-polityczne między miastem a wsią, ludnością miejską i wiejską. Szeroko dyskutowany i wnikliwie analizowany podział na „dwie Polski” jest też – czy może przede wszystkim – podziałem na Polskę miejską i wiejską, metropolitalną i prowincjonalną. Odzwierciedla się on w prawie wszystkich badaniach opinii, poglądów, przekonań, postaw mieszkańców wobec najprzeróżniejszych aspektów życia osobistego i publicznego. Ustanawia dwa przeciwstawne wzory mentalne, obyczajowe, kulturowe.

Znajdują one spektakularny wyraz w wyborach reprezentantów do różnych ciał przedstawicielskich oraz na stanowiska publiczne i państwowe. Bodaj w szczególności sposób objawia się to w dużych ośrodkach miejskich otoczonych terenami o starym i stałym osadnictwie wiejskim, jak w Małopolsce i Podkarpaciu, ale także na Lubelszczyźnie czy Podlasiu. Mieszkańcy stołecznych i innych dużych ośrodków miejskich w tych i kilku jeszcze innych województwach wykazują inne poglądy, przekonania, postawy i wynikające stąd preferencje polityczne niż osiadli zaledwie kilkaset czy kilkadziesiąt kilometrów dalej więcej pobratymcy, a często kuzyni. Pokazały to i potwierdziły wybory do Parlamentu Europejskiego w Małopolsce,

która stała się drugim po Podkarpaciu bastionem PiS, gdy w Krakowie zdecydowanie wygrała Koalicja Europejska.

Miejski amalgamat

Kraków doświadczał w przeszłości i doświadcza obecnie wszystkich zarysowanych powyżej prawidłowości. Choć nie przeszedł – na szczęście – tak gwałtownej wymiany ludności i jej jednorazowego, gwałtownego napływu z zewnątrz jak Wrocław, Szczecin czy Gdańsk, to skład jego mieszkańców, a z nim profil kulturowy ulegał wielorakim przeobrażeniom. Wszystkie one pozostawiły ślady na współczesnym wyglądzie i formach życia miasta, nie tylko pełnego zabytków architektonicznych, ale także wrośniętych w jego kulturowy pejzaż dokonań przeszłych pokoleń i pojedynczych postaci rangi Wita Stwosza (Veit Stoss), Wierzyńka (Werzig), Wietorów, Montelupich, Helclów, Zollów, Józefa Dietla, Jana Matejki i mnóstwa innych noszących nazwiska świadczące o odległym pochodzeniu ich samych lub ich rodów. Nie mówiąc o nosicielach tych zupełnie polskich, zrośniętych z wizerunkiem miasta i często dla niego emblematycznych, którzy w istocie przybyli do niego skądinąd. Staś Przybyszewski pochodził z Wielkopolski, Piotr Skrzynecki z Warszawy, tamże urodzili się też Boy-Żeleński i Konrad Swinarski, Jan Nowicki pochodzi z Kujaw, Marek Grechuta z Zamościa, Krzysztof Penderecki z Dębicy, Andrzej Wajda urodził się w Suwałkach, Wisława Szymborska pod wielkopolskim Kórnikiem, Tadeusz Kantor w Wielopolu Skrzyńskim, Sławomir Mrożek w Borzęcinie, Jacek Majchrowski w Sosnowcu itd. Z postaci emblematycznych dla krakowskiego wizerunku i charakterystycznych dla tutejszego wzoru kulturowego niewiele tylko oprócz Stanisława Wyspiańskiego (Ewa Demarczyk, Kora Jackowska...) było rodowitymi krakowianami. To potwierdza oczywistą konstatację, że miasto to skupisko ludności rozmaitego pochodzenia, tworzącej szczególnie i specyficzny, charakterystyczny amalgamat.

Kreatywność i jej komponenty

Współczesny amerykański socjolog Richard Florida objaśnia fenomen miejskości poprzez zastosowanie pojęcia klasy kreatywnej. To dzięki składającym się na nią intelektualistom, artystom, twórcom, odkrywcom, projektantom, konstruktorom, innowatorom miasta się rozwijają, a ich wytwory kształtują życie ich mieszkańców. Jeśli spojrzeć na Kraków w tej perspektywie, jego potencjał wygląda obiecująco.

Warto jednak zwrócić uwagę na dwa spośród parametrów stosowanych przez Floridę do oceny potencjału kreatywności miast: jeden to wskaźnik bohemy, a drugi – wskaźnik liczby (odsetka) gejów. Ten pierwszy odzwierciedla obecność i aktywność środowisk awangardy artystycznej o charakterze kontrkulturowym. To dzięki nim rodzą się nowe trendy, prądy i nurty artystyczno-estetyczne, nadające nie tylko kolorytu, ale też przysparzające fermentu, korzystnego do pobudzania wszelkiej kreatywności. Pod tym względem Kraków ma dorobek i potencjał godzien uznania co najmniej od czasów, gdy do miasta przybył (*nomen omen*) Przybyszewski i założył tu swoją „synagogę szatana”. Cyganeria i awangarda przez ostatnie sto kilkadziesiąt lat współkształtowały oblicze miasta i jeśli wierzymy dobrze udokumentowanym analizom Florydy (a aprobatywnie przyjmuje je skądinąd rodowity krakowianin prof. Jacek Purchla), powinniśmy krakowską bohemę hołubić jako stwarzającą warunki dla wszechstronnego rozwoju miasta.

Współczynnik odsetka gejów jest natomiast pokrewny. Zupełnie przypadkowo okazało się, że najbardziej dynamiczne i kreatywne miasta są gay-friendly. Można to zinterpretować w ten sposób, że tolerancja dla odmienności to otwarcie na inność, a więc także innowacyjność. Jak wiadomo, w niektórych polskich miastach, a także regionach (w tym, niestety, także w Małopolsce) proklamowane są przez lokalne władze „strefy wolne od LGBT”. Na szczęście w Krakowie takiej inicjatywy nie podjęto. Warto byłoby jednak, aby władze miasta okazały się nieco bardziej gay-friendly, bo to też określa jego potencjał. Skądinąd to właśnie w Krakowie wybrano do Sejmu pierwszą osobą transpłciową (Annę Grodzką), co ma swoją wymowę. Zwłaszcza dla tych, którzy uważają Kraków za miasto konserwatywne. Owszem, ale nie staroświeckie, zacofane, zapóźnione czy zatęchłe.

Bąble innowacji

Floryda odrzuca jako naiwny i bezskuteczny model rozwoju oparty na tworzeniu instytucjonalnych i administracyjnych zachęt dla inwestorów, którzy mieliby stworzyć atrakcyjne miejsca pracy. Odwrotnie: powinno się zadbać, aby w danym ośrodku osiedlili się ludzie kreatywni (w tym zwariowani artyści i osoby LGBT), bo wtedy atrakcyjni inwestorzy za nimi podążą. Nie bez powodu najbardziej innowacyjne i kreatywne, a przy tym najlepiej rozwinięte i najbogatsze ośrodki

w USA, Europie i Polsce (warszawska karta LGBT!) są ostojami liberalnej klasy kreatywnej. Innowacyjne i nowatorskie start-upy nie lokują się w zatęchłych miastach, lecz w miastach tętniących (a może i buzujących) różnymi, w tym niekonwencjonalnymi formami życia.

Bardzo dobrze z tą koncepcją współgra dynamiczna teoria wpływu społecznego, popularnie określana niekiedy teorią „bąbli innowacji”, opracowana przez prof. Andrzeja

Nie bez powodu najbardziej innowacyjne i kreatywne, a przy tym najlepiej rozwinięte i najbogatsze ośrodki w USA, Europie i Polsce (warszawska karta LGBT!) są ostojami liberalnej klasy kreatywnej. Innowacyjne i nowatorskie start-upy nie lokują się w zatęchłych miastach, lecz w miastach tętniących niekonwencjonalnymi formami życia.

Nowaka (ale nie historyka, lecz psychologa). Opisuje ona zjawisko krystalizacji procesów innowacyjnych wokół indywidualnych lub zbiorowych centrów kreatywności, z których innowacje rozprzestrzeniają się na otoczenie. Kraków ma wszelkie predyspozycje, aby stać się ośrodkiem kreowania innowacji zarówno w kulturze materialnej, jak duchowej. Zgodnie z sugestią Florydy powinien być otwarty na przybyszy z zewnątrz, zwłaszcza tych najbardziej dynamicznych i kreatywnych, co często oznacza zwariowanych i niekonwencjonalnych, szalonych i nonkonformistycznych, uciekających lub wypychanych ze środowisk, w których nie są aprobowani czy choćby tolerowani. Według Florydy to nie ludzie przybywają tam, gdzie powstają ciekawe miejsca pracy, lecz firmy oferujące atrakcyjne miejsca pracy przybywają tam, gdzie mieszkają utalentowani i kreatywni ludzie.

Takich ludzi Kraków potrzebuje.



Janusz A. Majcherek jest profesorem w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie

**TEMAT MIESIĄCA:
... MA SENS – MIMO WSZYSTKO**

Witold Bereś i Krzysztof Burnetko (oraz Grzegorz Kasdepke, Antoni Pawlak, Jarosław Makowski, Katarzyna Wodecka-Stubbs, Paweł Herzog, Małgorzata Grupińska-Bis, Artur Wolski, Henryk Sawka i Marta Mizuro) **s. 20**

Nadchodzące wybory zadecydują o kształcie kraju na dłużej niż tylko na czteroletnią kadencję parlamentu. Tymczasem jesteśmy podzieleni bardziej niż kiedykolwiek. Warto jednak pamiętać, że potem nadal wszyscy będziemy mieszkać w tym samym domu. Ale jest nadzieja – miasta. Wolne, piękne, zamożne. Odnajdźmy je. Bo taka Polska ma sens.

**ESEJ**

Miasta kreatywne Janusz A. Majcherek **s. 1**

KRAKÓW MÓWI

Jestem jedynie małą chwilką **s. 12**
– ze Zbigniewem Preisnerem / Ewa Lipska

Chciałam muzeum dla innych **s. 51**
– z Marią Anną Potocką / Paweł Kopec

LUdzie, Miejsca, Wydarzenia

Rekomendacje: Andrzeja Wajdy inspiracje i rysunki **s. 11**

100 lat twórczo i z tradycją? Bagatela! **s. 29**
Wacław Krupiński

(Nie) rozłączni Polacy i Żydzi **s. 35**

Pionierskie i nietypowe Zofia Gołubiew **s. 43**

Rekomendacje: Sezon jubileuszowy **s. 47**

Trzy pokolenia Słowianek Iga Dzieciuchowicz **s. 54**

Rekomendacje: Jedyna taka nagroda **s. 79**

Kronika kulturalna **s. 87**

Krakowski łącznik **s. 90**

Kraków (Główny) **s. 91**

Linia A–B **s. 92**

OBYWATELE KRAKOWA

Specjalistka od psych emocji (Ilona Al-Mutari) **s. 8**
Magdalena Oberc

HISTORIA

FOTO-RETRO Krzysztof Jakubowski **s. 10**
Wybory w Krakowie 1919 roku

Ewa Danowska **s. 59**

KALENDARIUM KRAKOWSKIE

Październik 1919 Krzysztof Jakubowski **s. 63**

BYŁO, NIE MINĘŁO Jan Pieszczachowicz **s. 78**

TEATR

Historia prawej ręki Paweł Głowacki **s. 66**

FILM

Laurka dla kompozytora Maria Malatyńska **s. 74**

LITERATURA

Tu i teraz – z Janem Bielą /Janusz M. Paluch **s. 70**

POEZJE

Jan Biela **s. 72**

KSIĄŻKI

Nasza biblioteka **s. 84**

GALERIA „KRAKOWA”

Andrzej Pilichowski-Ragno **s. 48**
Magda Huzarska-Szumiec

FELIETON

NA CZERWONYM ŚWIETLE Ewa Lipska **s. 5**

OKIEM BERESIA Witold Bereś **s. 6**

Z NAJWYŻSZEJ PÓŁKI Krzysztof Burnetko **s. 7**

FELIETON GOŚCINNY Ewa Łętowska **s. 40**

SMOCZE JAJO Mieczysław Czuma **s. 81**

W WARSZAWIE Magdalena Miśka-Jackowska **s. 82**

BEDEKER KRAKOWSKI Iga Dzieciuchowicz **s. 83**

PASY PANY Jerzy Pilch **s. 96**

OKŁADKA

Zbigniew Preisner Fot. Robert Wolański

Szanowny Panie Redaktorze,

czy Pan wie, że pisano już o nas p.n.e.? I to sam Platon:

„A jeżeli się do rządów zabiorą ludzie ubodzy i jeśli łaknący dóbr osobistych dorwą się do dobra publicznego, aby je rozdrapywać dla siebie, wtedy nie ma sposobu. Zaczną się walki o władzę i taka wojna domowa wewnątrz państwa zgubi i samych walczących i zgubi resztę państwa”.

(Państwo, Księga VII)



Fot. Danuta Węgiel

Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Miasto ma sens

Tekst: Witold Beres

Lubię whisky single malt, ośmiorniczki i książki Tomasza Manna. A jednak znowu muszę (chcę?) myśleć o polityce. Nie jest dobrze. Ale widzę gdzie nadzieję – w miastach.

Kto mnie nie zna, może się zdziwić. Bo zamiast polityki wolałbym biesiadować z przyjaciółmi w nocy w wymyślonym Klezmer Hois u Wojtka Ornata na krakowskim Kazimierzu, zagrać w piłkę z wnukami, wrzucić ośmiorniczki z grilla, przytulić żonkę na zawsze ciepłej Fuertaventurze, zmieszać Tomasza Manna z dobrą goryczką włoskiego primitivo, a przy szklaneczce dziesięcioletniego Ardbega oglądać raz jeszcze filmy Andrzeja Wajdy. OK, z redakcją wymyśleć nowy numer „Krakowa”. I, a tak,

Najważniejsze, że miasta uświadamiają obywatelom, iż przy wszystkich różnicach są powody, aby być dumnym z Polski.

why not, napisać kolejną książkę czy wyprodukować kolejny film (mam tego wiele w planach).

Jest jednak polityka. To, że jest dla mnie ważna – nie dziwota. Jakżeby mogło być inaczej? Jeśli dorastało się w prowincjonalnej Polsce epoki komunizmu, gdzie głównym uczuciem była nuda, a potem przyszedł wstrząs i zaczęliśmy żyć w ciekawych czasach? Jeśli z przyjaciółmi redagowało się i drukowało podziemne, nielegalne gazetki? Jeśli pracowało się w wolnej Polsce w „Tygodniku Powszechnym”, „Gazecie Wyborczej”, ale i w sztabie premiera Tuska? Jeśli mistrzami życiowymi i intelektualnymi są Andrzej Wajda, Władysław Bartoszewski, Marek Edelman, Krzysztof Kozłowski?

Więc mam fiola na punkcie Polski. Pamiętam doskonale, jak jeszcze 30 lat temu nie wierzyłem, że będzie wolność, że uda się nam wyśliznąć z moskiewskiego uścisku, że życie, prasa i praca, wreszcie perspektywy rodziny – będą miały sens.

Nie wierzyłem, więc teraz nie chcę tego stracić. A zanoszę się na to.

Szalenie martwi mnie na przykład polexit najbardziej faktyczny – mentalny. I faktyczne, choć może nieformalne, wypchnięcie Polski z rodziny zachodnioeuropejskich demokracji. (Ciekawe – jakie państwo najbardziej by się ucieszyło z takiego scenariusza?)

Jestem liberałem, więc widzę w Polsce miejsce dla wszystkich, którzy jej nie przekreślają. Ba – szczerze ciekawią mnie nawet skrajnie lewicowe poglądy czy przekonania wyrastające z postawy katolickiej. Wierzę, że tylko z mieszania w garnku idei – wychodzi wartość. I choć jako liberał nie na każdą ekipę głosuję, to nie przeszkadzają mi właściwie żadne rządy. Żadne poza tymi, które wkraczają w sferę mojej wolności.

Dlatego poza tym, co kocham, muszę dziś robić to, co trzeba – żyć polityką.

*

Gdzie dziś szukać nadziei na triumf idei wolnościowych? Ano jest takie miejsce, a nawet kilka – miasta polskie. Rozumiem i doceniam tych, którzy wolą polską prowincję (ukłony dla przyjaciela dobrze czującego się w Limanowej). Ale ja wolę wielkie miasta, ich dynamikę i nadzieję, którą dają. To, że potrafią, idą swoją drogą. Nie po katolickiej czy lewicowej – miasta i rządzące nimi samorządy idą po stronie mieszkańców. Promują konkrety, a nie propagandę i ideologię. Napędzają rozwój kraju, ale i torują drogę cywilizacyjnym wyzwaniom. Same rozwiązują problemy ogólnopolskie. (Ot, mnie, miłośnika napitków wszelakich, dawno nic tak nie ucieszyło, jak krakowska inicjatywa, by sklepy sprzedające alkohol dobrowolnie przystępowały do samorządowego projektu „Odpowiedzialny sprzedawca” i nie sprzedawały alkoholu po północy).

Ale najważniejsze, że miasta uświadamiają obywatelom, iż przy wszystkich różnicach są powody, aby być dumnym z Polski.

Bo, jakkolwiek to pompatycznie zabrzmie, jesienne wybory, owszem, mają ogromny wpływ na Polskę, ale jednego nie zmienią – niezależnie od ich wyników nadal będziemy żyli razem. Tu w Polsce, tu w Krakowie.

Nic dziwnego, że znajdziecie Państwo w tym numerze „Krakowa” teksty opisujące sytuację miast, jak choćby esej Janusza Majcherka. Ale przedwborczo namawiam – koniecznie przeczytajcie mądrą rozmowę wielkiej Ewy Lipskiej i niemniejszego Zbyszka Preisnera. To dla tych, którzy też kochają Manna i czerwone wino, ale uważają, że na tym wrażliwość powinna się skończyć, że polityka to brud, a partie polityczne to oszustwo. Jako że rozmowa ta pokazuje, jak artyści potrafią być świadomymi obywatelami.

A jakby co, pamiętajcie: Polska ma sens... – mimo wszystko.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kraków”.

Edelman: ruszcie się wreszcie!

Tekst: Krzysztof Burnetko

Sto lat temu urodził się Marek Edelman. Zmarł lat temu dziesięć. Ale jego przesłanie wciąż jest ważne.

Hanna Krall mawiała: „Jak chcę się dowiedzieć czegoś o świecie, idę porozmawiać z Ryszardem Kałuścińskim. A jak chcę się dowiedzieć, jak mam się zachować, pytam Marka Edelmana”.

Biografią mógłby obdzielić wielu. Przed wojną, jeszcze jako nastolatek, sympatyk Bundu, lewicowej, lecz antykomunistycznej partii żydowskiej. Podczas okupacji – w Żydowskiej Organizacji Bojowej. Jeden z komendantów powstania w getcie warszawskim. Uczestnik powstania warszawskiego. Już od połowy lat 70., kiedy podpisuje „List 101” przeciwko zmianom konstytucji, działa w opozycji demokratycznej. W 1980 roku współzakłada „Solidarność”. W stanie wojennym zostaje internowany. Zwolniony na skutek interwencji płynących z całego świata – wychodzi i staje się jednym z liderów podziemia w Łodzi. W 1988 roku organizuje niezależne obchody 45. rocznicy powstania w getcie, które stają się wielką demonstracją polityczną. Bierze udział w obradach Okrągłego Stołu. W czasie wojny bałkańskiej jedzie dwukrotnie z konwojem pomocy do Sarajewa. To na jego opinię powołuje się prezydent Clinton, gdy w kwietniu 1999 roku uzasadnia konieczność zbrojnej interwencji w Kosowie, by chronić tam prawa człowieka. Protestuje też przeciwko czystkom etnicznym w Rwandzie i Zairze, wszelkiej dyskryminacji w RPA i Izraelu, aktem przemocy wobec Romów w państwach już demokratycznych – Polsce czy Czechach.

Ludzie z całego świata ślali do niego listy. Młodzież pisała wypracowania: „List do Marka Edelmana. Dlaczego jest dla mnie wzorem”.

*

Miałem – z Witoldem Beresiem – szczęście i frajdę znać Doktora (tak o nim mówiliśmy) przez ponad ćwierć wieku. Jeździliśmy do niego często – najpierw do Łodzi (ach, ten żydowski kawior i śledź, którymi częstował...), potem, dosłownie do ostatnich jego dni, spotykaliśmy się w Warszawie w mieszkaniu Pauli i Mirka Sawickich, gdzie znalazł ciepłą przystań.

Rozmawialiśmy o getcie („Idioci jesteście, nic z tego nie zrozumiecie, bo mamy karmić was salcesonem i dawały mleczko” – powtarzał. Faktycznie, rozmawialiśmy niewiele, bo i zrozumieć się nie da). Rozmawialiśmy też o współczesności: o polskiej polityce (już lata temu przestrzegał przed braćmi Kaczyńskimi, choć powtarzał też: „Oni nie wygrają, choćby się przewrócili na pępek”), o książkach i filmach, o ludziach.

Musiał nam chyba zaufać, bo zgodził się na biografię (efektem była dwukrotnie wznawiana w kraju i mająca też zagraniczne wydania książka *Marek Edelman. Życie. Do końca*), pokazywany w całej Polsce monodram oparty na jego wspomnieniach, film dokumentalny *Komendant Edelman*, a wreszcie zbiór rozmów *Bóg śpi* – też mający rozmaite edycje. Używał nas również do swoich pomysłów. A to do redagowania

apeli do kolejnych rządów z ostrzeżeniem (już wtedy!) przed odradzaniem się w Polsce nienawistnego myślenia i aktywnością faszystowskich organizacji. A to do wystawienia na terenie Muranowa, a więc ruinach warszawskiego getta, plenerowego spektaklu (z udziałem między innymi Jerzego Radziwiłowicza) o ówczesnych ulicach, ludziach, a zwłaszcza o... roli miłości w czasach głodu, poniżenia i śmierci. Żartował wtedy, że wydaje nam rozkazy.

*

Marek Edelman zmarł 2 października 2009 roku. Od tego czasu dużo się w Polsce zmieniło. Na gorsze.

Dziś Marek Edelman wydałby rozkaz: Ruszcie się wreszcie! Zagłosujcie przeciwko brunatnej, złej Polsce.

Ulicami miast co rusz maszerują skrajni narodowcy, czyli po prostu rodzimi neonaziści. Ryczą hasła wzywające do agresji. A to wobec Żydów, a to homoseksualistów, a to Unii Europejskiej. Coraz częściej dochodzi do fizycznych napaści. A państwo – władza i policja – nie reaguje. Wniosek może być jeden: albo postanowiła to wykorzystywać do swoich celów, albo po prostu sama ma w istocie takie poglądy.

Zresztą to nie obecnie rządzący są najważniejsi. Oni najwyżej pokazali skalę problemu. Bo prawdziwym kłopotem jest stan umysłów wyborców. Owego suwerena, na którego powołuje się władza. Samych Polaków.

*

Okazuje się, w drugiej dekadzie XXI wieku napędem Polski stały się antysemityzm i nienawiść, a nie świat wartości Edelmana: solidarność, poświęcenie, tolerancja. A wreszcie wolność.

*

Co zrobiłby dziś Marek Edelman? Na pewno stanąłby razem z grupką odważnych kobiet na moście Poniałowskiego naprzeciw tłumowi ryczącemu nienawistne hasła w tak zwanym Marszu Niepodległości. Na pewno też wydałby rozkaz: Ruszcie się wreszcie! Zagłosujcie przeciwko brunatnej, złej Polsce.

W getcie Edelman drukował podziemną gazetkę pod znamiennym tytułem „Za Naszą i Waszą Wolność”. Wydawana dziś mogłaby mieć tytuł „Za Wolność Wczoraj i Dziś”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspomina te o Marku Edelmanie.



Specjalistka od psich emocji

Tekst: Magdalena Oberc Zdjęcie: Jan Zych

– Miasto nie jest przyjaznym miejscem dla psów – trzeba mieć odwagę, by powiedzieć takie zdanie w mieście, w którym pies jest symbolem niemal tak ważnym jak smok wawelski i ma własny pomnik na bulwarze Czerwieńskim. A jednak autorka tych słów – Ilona Al-Mutari – zna problemy czworonogów jak mało kto, bo od 11 lat interesuje się treningiem behawioralnym psów.

Doktor Ilona Al-Mutari z zawodu jest anesteziologiem dziecięcym. Od urodzenia mieszka w Krakowie, a nietypowe nazwisko zawdzięcza swemu ojcu, który z pochodzenia jest Irakijczykiem. Jest również właścicielką dwóch psów rasy nova scotia duck tolling retriever.

– Praca w szpitalu jest ogromnie wyczerpująca, a kilka lat temu w czasie specjalizacji z anestezjologii i intensywnej terapii poczułam, że potrzebuję jakiejś odskoczni – wspomina dr Al-Mutari. – W tym czasie zmarł mój pies, postanowiłam kupić kolejnego „tollera”.

Szybko okazało się, że pies ma silny charakter: potrafi się obrazić lub zdenerwować, ale jest przy tym niezwykle inteligentny. Dlatego zaczęła z nim uczęszczać na szkolenia metodami pozytywnymi oraz radzenia sobie z emocjami. – Odkryłam zupełnie nowy świat – opowiada. – Zrozumiałam, że pies inaczej odbiera pewne sygnały. Lepiej rozumie gesty niż słowa, a najlepiej bodźce węchowe. Niestety, Diesel zachorował na stawy i nie mogłam z nim dłużej trenować. Za radą hodowcy trafił do niej drugi pies tej rasy.

Z obydwoma psami odbyła dziesiątki szkoleń – polskich i zagranicznych – z zakresu treningu behawioralnego, tropienia zwierząt i ludzi, zabawy, psich sportów, ratownictwa wodnego. Nowy pies, Orion, szczególnie polubił treningi w wodzie, jednak ratownikami wodnymi zwykle zostają większe i silniejsze psy, na przykład nowofunlandy lub landseery. – Nie interesowały mnie treningi posłuszeństwa, zwłaszcza tradycyjne, zdecydowanie chętniej wybierałam treningi behawioralne – wspomina dr Al-Mutari. – Nagle wszystko połączyło się w jedną całość: zaczęłam rozumieć psie emocje i problemy.

W efekcie wraz z koleżanką założyła grupę treningową „Mam w nosie”. Prowadzą różnego rodzaju zajęcia indywidualne i grupowe. Miasto pełne jest zapachów, dźwięków, ludzi i innych psów, co może

Miasto pełne jest zapachów, dźwięków, ludzi i innych psów, co może w czworonogu wywoływać agresję lub inne niezrozumiałe dla człowieka zachowania. Ukierunkowanie uwagi psa na konkretne zadanie, pozwala mu wyładować emocje.

w czworonogu wywoływać agresję lub inne niezrozumiałe dla człowieka zachowania. Ukierunkowanie uwagi psa na konkretne zadanie, pozwala mu wyładować emocje. Grupa tropiąca spotyka się zwykle w weekendy w różnych miejscach Krakowa i na terenach podmiejskich. Najchętniej zaczynają o świcie, kiedy jeszcze tereny nie są „zanieczyszczone” zapachami innych psów i ludzi. – To wielka satysfakcja, kiedy widzimy, jak zestresowany pies wraca z treningu zadowolony i uśmiechnięty (tak, psy też się śmieją); a przede wszystkim treningi pomagają im w radzeniu sobie z wieloma problemami życia codziennego – wyjaśnia trenerka. – Na mnie to też działa kojąco: po wielu godzinach stresu i skupienia na sali operacyjnej, w końcu mogę zrzucić z siebie odpowiedzialność, dać się poprowadzić psu, mogę obcować z naturą, mogę po prostu zmęczyć się fizycznie i zapomnieć o problemach.



Magdalena Oberc – absolwentka teatrologii, dziennikarka i PR-owiczka, zainteresowana tematyką społeczną i medycyną. Od kilku lat związana z Fundacją Ad Vocem, która przeciwdziała przemocy wobec dzieci.



Tramwaj na Wiślnej

Tekst: Krzysztof Jakubowski Zdjęcie: archiwum

Choć trudno sobie to dziś wyobrazić, ul. Wiślna kursowały kiedyś wozy tramwajowe linii nr 6, łączącej Rynek Podgórski (później także obecne rondo Matecznego), z Salwatorem. Budowę torowiska na ul. Wiślnej ukończono w 1916 roku, a tramwaje przejeżdżały tamtędy aż do połowy 1952 roku, kiedy to domknięto kluczowe elementy obwodnicy wokół Plant, likwidując ostatecznie sieć połączeń na Rynku Głównym i sąsiednich ulicach.

Widoczny na fotografii wagon typu SN 1 pochodził z pierwszej transzy pojazdów silnikowych zbudowanych w 1912 roku przez Galicyjskie Towarzystwo Budowy Wagonów i Maszyn w Sanoku (świadczy o tym jego niski nr – 35). Wagony te miały w dolnej partii kolor niebieski, biały pas międzyokienny i szary dach. Zwano je potocznie „Gracówkami”, od austriackiego miasta Graz, gdzie powstały ich prototypy.

W perspektywie ulicy widoczny jest (słabo), parterowy budynek Drukarni Anczyca, wyburzony dopiero w 1971 roku. Na pierwszym planie po prawej widać fragment dawnej kamienicy Erazma Czeczotki, przebudowanej bezceremonialnie w 1898 roku przez nowego nabywcę, kupca Ignacego Rajala, właściciela ekskluzywnego magazynu mebli i tkanin dekoracyjnych.

Po śmierci Ignacego Rajala dom przejął jego syn Franciszek. Miał ambitne plany przebudowy, jednak czas kryzysu sprawił, że nie podołał i wkrótce stał się bankrutem. Szczęśliwie w 1935 roku znalazł się kupiec – wyjątkowo ofensywny na krakowskim gruncie

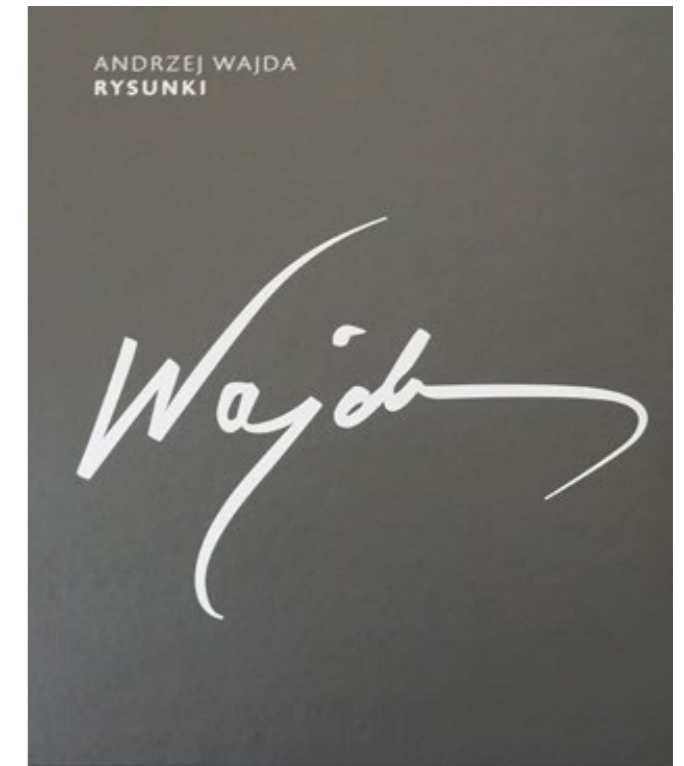
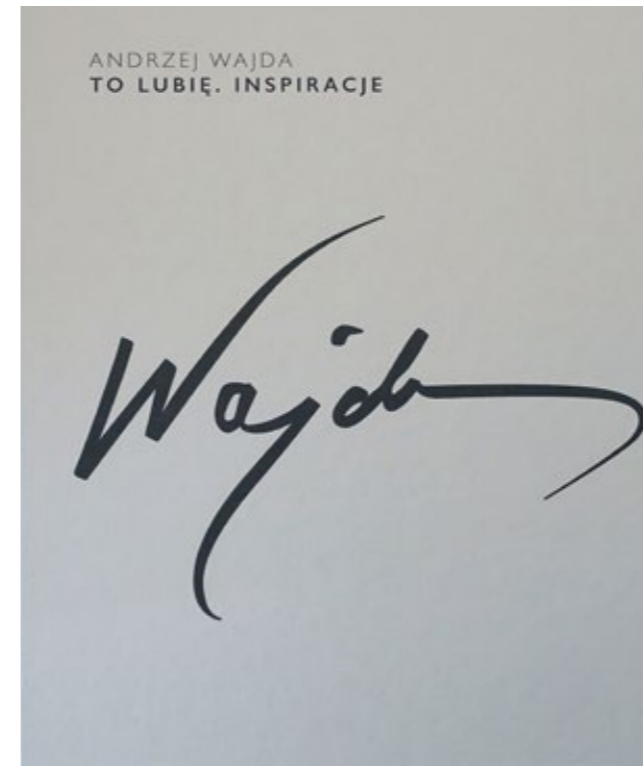
(stał już gmachy na Rynku Głównym i przy ul. Basztowej) – Towarzystwo Ubezpieczeniowe „Feniks”.

W następnym roku rozpoczęła się przebudowa obejmująca zmianę wystroju fasad oraz dobudowę III piętra od strony oficyn. Autorem projektu utrzymanego w duchu zmodernizowanego klasycyzmu był współpracujący z „Feniksem” Adolf Szyszko-Bohusz. Na efekty tak żywiołowej polityki inwestycyjnej w warunkach wielkiego kryzysu nie trzeba było długo czekać. Po przebudowie parteru roboty wstrzymano, bo jeszcze w tym samym 1936 roku gruchnęła wieść o bankructwie „Feniksa”. Jego aktywa i nieruchomości przejęła wkrótce Poczta Kasa Oszczędności. Rozpoczętą przebudowę dokończono już w czasie okupacji, w lipcu 1940 roku.

Ponieważ na fotografii widać parter przebudowany już w duchu modernizmu, a górne partie jeszcze w kostiumie neorenesansowym, wnosić należy, że fotografia wykonana została pomiędzy 1937 a 1940 rokiem.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.



Andrzeja Wajdy inspiracje i rysunki

Tekst: Krzysztof Burnetko

Andrzej Wajda odebrał chleb filmoznawcom i teatrologom. Ci bowiem lubują się często, i dobrze, w odkrywaniu inspiracji, które kierowały wielkimi reżyserami podczas pracy nad ich arcydziełami. Efekty tej – a to detektywistycznej, a to erudycyjnej – pracy są jednak różne. Skojarzenia niektórych tropicieli bywają bowiem, by tak rzec, dalece zaskakujące.

Wajda swego czasu postanowił bowiem sam opowiedzieć o ważnych dla siebie obrazach, rzeźbach, miejscach, twarzach i sytuacjach, które niekiedy stawały się dlań źródłem pomysłów przy filmowych czy teatralnych przedsięwzięciach.

Efektom są dwa znaczne edytorsko (i objętościowo) albumy, które wydał już po śmierci Mistrza jego przyjaciel Antoni Rodowicz.

Na wolumin pierwszy składają się reprodukcje ulubionych artystów i dzieł sztuki Wajdy – począwszy oczywiście od obrazów Andrzeja Wróblewskiego przez Jacka Malczewskiego, Wojciecha Weissa, Aleksandra Gierymskiego, Stanisława Wyspiańskiego po Józefa Czapskiego, Stanisława Rodzińskiego, Wilhelma Sasnala i innych (w tym rzeźb Aliny Szapocznikow i Mitoraja). Każda opatrzona jest charakterystycznym Wajdowskim komentarzem – a to dotyczącym kwestii czysto artystycznych, a to znaczenia dzieła w sztuce

bądź w myśleniu o polskiej historii, a wreszcie losów samych twórców. Kiedy zaś dzieło bezpośrednio przełożyło się na film bądź spektakl Wajdy, pokazane są także fotografie tego dowodzące.

Wolumin drugi to zbiór rysunków i szkiców samego Wajdy. Niesduszły absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych przez całe życie nie rozstawał się przecież z notesem. Portretował napotkanych ludzi, dokumentował architektoniczne detale, sceny z życia oraz, oczywiście, projektował plany scenografii oraz scen swoich planów filmowych i teatralnych. Wszak istotą jego pracy reżyserskiej było właśnie obrazowe postrzeganie świata. I w tym przypadku szkicom tym towarzyszą wspomnieniowe refleksje autora.

Choćby więc miłośnicy jego filmów i pamiętający spektakle mogą teraz obejrzeć kolejny raz *Kanał* czy *Popiół i diament* bądź przypomnieć sobie inscenizacje *Zbrodni i kary* czy *Dybuka*, porównując scenografię sceniczną ze szkicami zawartymi w ich scenopisach. Przygoda to i pouczająca, i poruszająca.

Andrzej Wajda, *To lubię. Inspiracje*, Multiart, Warszawa 2019.

Andrzej Wajda, *Rysunki*, Multiart, Warszawa 2019.



Spokój, fot. Anna Włoch / annawloch.com

Jestem jedynie małą chwilką

Rozmawiała Ewa Lipska Zdjęcia: Anna Włoch

Zbigniew Preisner: Rozmowa z reżyserem jest najważniejsza i twórcza tylko wtedy, kiedy reżyser wie, czego oczekuje od autora muzyki, a nie zawsze to się zdarza. Film to jest praca wielu ludzi, ale odpowiedzialność jednej osoby. Reżysera. Więc czasami się nie dziwię, że reżyserzy są ostrożni, boją się mojego rozpoznawalnego stylu. Ważne są rozmowy, argumentacje, sugestie. Jeżeli reżyser przekona mnie swoimi argumentami, to napiszę tak, jak chce, ale w innej sytuacji po prostu odchodzę z filmu.

Ewa Lipska: Zbyszku, może przypomnijmy czytelnikom, jak i kiedy zaczęła się Twoja przygoda z muzyką. Zaczniemy od Piwnicy pod Baranami. Jest rok 1975, młody, dwudziestoletni chłopiec przyjeżdża do Krakowa...

Zbigniew Preisner: Mam 20 lat, zaczynam studia na Uniwersytecie Jagiellońskim, nie mam pieniędzy, zwałam węgiel z wagonów, myję okna w prywatnych domach, mieszkam w pokoju przy ulicy Dajwór, gdzie nie mam prawa korzystać z łazienki, jedynie z toalety, myję się w miednicy w zimnej wodzie, a dwa razy w tygodniu chodzę do łaźni na ulicy Sebastiana... Wiem o Piwnicy tylko tyle, że jest sławna.

Nie wiem, jak to się stało, ale ktoś powiedział mi, „idź do kawiarni, która nazywa się Kolorowa, tam zawsze o 17.15 spotyka się słynna Piwnica pod Baranami. I tak poznałem Zygmunta Koniecznego, Piotra Skrzyneckiego i wielu innych wspaniałych ludzi. Wiedziałem, że chcę być kompozytorem, ale nigdy nie chodziłem do szkoły muzycznej, bo w Bobowej takowej nie było. Żeby z długiej historii zrobić krótką, kolega nauczył mnie czytania i pisania nut. Sam zacząłem się uczyć instrumentacji; zakładałem zespoły, kwintety smyczkowe, w których grali studenci Akademii Muzycznej. Na tych zespołach sprawdzałem, jak to brzmi, jakie robię błędy i czego jeszcze muszę się nauczyć. Do dzisiaj słucham muzyki z partyturami w rękę i analizuję...

Potem współpraca ze Starym Teatrem i pierwsza muzyka do filmu Antoniego Krauzego *Prognoza pogody* (adaptacja opowiadania Marka Nowakowskiego).

Wtedy po raz pierwszy napisałem muzykę do filmu fabularnego. To był 1982 rok, stan wojenny, koszmar, bieda. Ale postanowiłem, że napiszę muzykę na orkiestrę symfoniczną, ale też na zespół dęty. O ile dobrze pamiętam, była to amatorska orkiestra dęta tramwajarzy. Próbowałem różnego rodzaju gatunków muzycznych, chciałem siebie sprawdzić, czego jeszcze nie umiem... Postawiłem wszystko na jedną kartę i to się udało.

A jak trafiłeś do Krzysztofa Kieślowskiego? Kiedy powstał cykl telewizyjny ze scenariuszem Krzysztofa Piesiewicza *Dekalog* (1988),

***Podwójne życie Weroniki* (1991) oraz *Trzy kolory* (1993–1994). Wiem, że była to Twoja wielka przyjaźń. Opowiedz o niej.**

Muzyka do *Prognozy pogody* Krauzego zrobiła wrażenie, była oryginalna, inna i miała wyraźny „charakter pisma”.

Krzysztof Kieślowski wysłał do mnie telegram, bo telefonu nie miałem, i zaprosił mnie do Warszawy. Warszawa, restauracja Lotos przy ulicy Chełmskiej, lato, upał... Krzysztof jest ze swoimi współpracownikami: Jackiem Petryckim, operatorem, Michałem Żarnecim, dźwiękowcem. Atmosfera dziwna, tro-

Lubię kabaret, bo to świetna odskocznia od powagi filmów, które najczęściej robiłem.

chę jak z Kantora, trochę jak z Kafki. Nikt nic nie mówi, Krzysztof zamówił po kieliszku wódki. Wtedy dawało się ją z tak zwaną zakąską i po godzinie stół był już pełen kanapek, a rozmowa toczyła się w dalszym ciągu o niczym. Horror.

Krzysztof patrzył na mnie podejrzliwie, aż w końcu się odezwał:

„Panie Zbyszku, wiem, że ma pan talent, słyshałem pana muzykę do Krauzego, do dokumentów Andrzeja Papuzińskiego, jest bardzo oryginalna, ale pan jest z tej Piwnicy pod Baranami, a wy tam tylko pijecie i jesteście kompletnie niezdiscyplinowani. Wie pan, robię taki film *Bez końca*, to jest bardzo ważny dla mnie film”, tu kolejna wódeczka... „Ja nie nawidzę ludzi bez dyscypliny; czy mogłby się pan trochę zdyscyplinować, zapomnieć o tym piwnicznym chaosie i tak się przyłożyć do tej muzyki do mojego filmu?” I tu znowu wódeczka... Była już godzina 16.30, a o 17.45 ostatni pociąg pośpieszny do Krakowa, pięć godzin jazdy... Odpowiedziałem: „Panie Kieślowski, proszę się nie martwić, nie takie premiery się kładło”. Zapomnęła kompletna ci-sza. Po chwili Kieślowski powiedział: „Jest pan zatrudniony”. Nigdy więcej nie powiedział mi, że mam się do pracy przykładać. Spotkaliśmy się po jakichś dwóch tygodniach,



W domu z psem Bono, fot. Anna Włoch / annawloch.com

Krzysztof zapytał, jak tam praca nad muzyką, a ja mu mówię, że ten film nie potrzebuje muzyki. Cisza w tym filmie jest przejmująca. A on to: „Przecież cię wynajęłam, żebyś napisał muzykę”. Konsternacja, rozmawiamy, argumentuję swój pogląd. Zobacz to jeszcze raz, mówi, więc postanowiłem sprawdzić raz jeszcze, czy mam rację, czy się nie mylę. Akurat w Warszawie był Piotr Skrzynecki i zorganizowałem dla nas projekcję filmu. Byliśmy sami: ja i Piotr.

Piotr spał prawie cały czas, budziłem go, ale on po pięciu minutach znowu zasypiał. Pomyślałem: „No to po ptakach”, jak mawiają w Krakowie, film się skończył, Piotr się obudził i powiedział do mnie: „To proste, przecież to jest jak obrzęd z *Dziadów* Mickiewicza”. Tak, krzyknąłem, teraz już wiem, co napiszę. I napisałem, ale łódzka orkiestra się zbuntowała, bo zamiast grać miała śpiewać. Dramat... Byłem pewny, że to koniec mojej współpracy z Kieślowskim i po nagraniu mówię do niego

Ta wojna już trwa, bo ona jest w nas. W naszych sercach pełnych hipokryzji, z pięknymi frazesami o wolności, cynicznymi do głębi.

(już byliśmy na ty): „Przepraszam cię, słabo wyszła, ale jak mi dasz jeszcze kiedyś szansę, to może wyjdzie mi lepiej”.

Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i powiedział: „Do końca życia będziemy pracowali razem. A ten marsz pogrzebowy, co napisałeś, przyda się nam kiedyś w ostatniej drodze”. Tak się też stało, ten marsz żegnał Kieślowskiego. Potem był *Dekalog*, *Weronika*, *Trzykolory*. Jak wchodziliśmy na scenę przy każdej premierze filmu, Kieślowski, Piesiewicz i ja, koledzy po fachu mówili: „smutasy idą”. Przyjaźni się nie deklaruje, tylko nad nią ciężko pracuje. Ona się zdarza albo nie, ale ja mogę powiedzieć, że nam trzem się zdarzyła.

Napisałeś muzykę do wielu filmów. Nie sposób wymienić wszystkich. Które były dla Ciebie szczególnie ważne? Przywołam kilka z nich: *Prominent* Johna Irvina, *Zabawy w Boga*, Hectora Babenco, filmy Agnieszki Holland *Europa*, *Tajemniczy ogród*, *Olivier*, *Olivier*.

Trzy filmy z Hectorem Babenco, *Damage* z Louisem Malle’em, współpraca z Jeanem Beckerem i wieloma innymi znakomitymi reżyserami. Ostatnio pisałem muzykę do filmu Fernando Trueby, wybitnego hiszpańskiego reżysera nagrodzonego Oscarem. Zagrałem w nim małą rolę jako mąż Penelope Cruz. Ale chwile, do których stalem wracam, to współpraca z Kieślowskim. Przeżyłem fantastyczny czas, rzadko zdarzają się takie harmonijne duety. Nadawaliśmy na ta-

kich samych częstotliwościach. Zrobiliśmy siedemnaście filmów w dziewięć lat... To jest mój wygrany los.

Równocześnie pisałeś muzykę do utworów poetyckich i innych zabawnych tekstów olicznościowych, jak to bywało w kabarecie.

Lubię kabaret, bo to świetna odskocznia od powagi filmów, które najczęściej robiłem. Pisałem muzykę do tekstów z gazet, do wywiadu z Marianem Koniecznym, jak to on rzeźbił pomnik Lenina, albo do rozmowy z rzeźbiarzem Hajdeckim, który z kolei wyrzeźbił Koniewa. Potem były teksty o rodzinie Protopopowych, słynnych rosyjskich łyżwiarzach, którzy w 1979 roku poprosili o azyl polityczny w Szwajcarii, pisałem też muzykę do słynnego referendum Jaruzelskiego: „czy jesteście za”, a potem do tekstu stanu wojennego. Do dzisiaj w stowarzyszeniu autorów ZAiKS figurujemy razem jako twórcy tego „dzieła stanu wojennego”: muzyka Preisner, słowa Jaruzelski... Ale były też poważniejsze piosenki: *Miejcie nadzieję*, *Asnyka* czy też do moich i twoich kolęd *Dla nieobecnych*, *Kolęda dla Piotra*, *Kolęda warszawska*, *Kolęda katyńska*. A ostatnio do twoich pięknych wierszy, *Kolęda w drodze*, *Milczysz czy Lulajże, Ojczyzno, lulaj*. Piotra Skrzynecki mawiał o kabarecie: „Jak się sami nie zabawimy, nie zabawi nas nikt”. Pamiętasz, zrobiliśmy wspólnie dwa koncerty 2014. *Tu i teraz* w Krakowie i *Dokąd*. 2016 we Wrocławiu. Popatrz, jak te koncerty niestety były profetyczne. Na przykład pieśń *Nadchodzi chaos*... Może nie piszmy już nic więcej, bo sprokujemy gorsze nieszczęścia.

Nie będzie tak źle... Pamiętasz wiersz Adama Asnyka *Przed jutrem?* „Przyszłość ma prawa silniejsze i przed nią / Ustąpić musi terazniejszość zwiędła, / Chociaż chce chwilę przedłużyć poprzednią / I trwać w postaci, w jaką się oprzędła”. Ale wracajmy do terażniejszości. Przyjaźnisz się z Davidem Gilmorem, aranżowałeś jego płytę...

Robiłem orkiestrację do jego dwóch ostatnich albumów: *On An Island* i *Rattle that Lock*. Grałem z nim dwa koncerty w Gdańsku w 2006 roku, w rocznicę „Solidarności” i dwa lata temu we Wrocławiu, w dzień, kiedy Anglia przegłosowała brexit!

Wywalił wtedy z programu *A Great Day for Freedom*, słynną balladę angielskiego zespołu Pink Floyd. Bo to nie był rzeczywiście great day...

Osobny rozdział w Twoim życiu to przyjaciele muzycy, z którymi latami współpracujesz i wydajesz płyty, aktorzy, piosenkarze z całego świata...

Wiesz, marzenia się spełniają, ale trzeba pomóc w ich spełnieniu. I trzeba być do tego profesjonalnie przygotowanym. Ja zawsze starałem się takim być. Było tylu muzyków, aktorów, słowem wspaniałych artystów, że trzeba książkę napisać, żeby kogoś nie pominąć. Zwłaszcza że każda współpraca ma swoją historię.



Zbigniew Preisner, Lisa Gerrard, Archie Buchanan, *Diaries of Hope*, Barbican Hall, Londyn 12 października 2013 roku; fot. Anna Włoch/annawloch.com

Na osobny rozdział zasługuje Lisa Gerrard, wybitna wokalistka australijska, kompozytorka, współpracująca z grupą Dead Can Dance, występująca często w Polsce, a serdecznie z Tobą zaprzyjaźniona. Kiedy razem przygotowywaliście dwa spektakle: 2014. *Tu i Teraz* i 2016. *Dokąd*, obserwowałam Waszą przyjaźń, serdeczność, bliskość. Lisa uwielbia przebywać w Twojej wsi, w Jamnej, czuje się tam jak u siebie w domu.

Ja też ją uwielbiam. Wspaniała artystka, prawdziwy przyjaciel. Z nią nie można się nudzić, jak sama wiesz. Kobieta wulkan, ale równocześnie bardzo nieśmiała, na scenie jak Pallas Atena, poza nią cicha jak mrówka. Skromna, wielka gwiazda. Dobrze, że świat ma takich artystów.

À propos Jamna... Drugim Twoim miejscem na świecie jest wioska Gennadi na wyspie Rodos, gdzie masz swój dom i studio. Lubisz uciekać z miasta do ciszy, do krajobrazu, do natury. Podobnie jak Lisa, to zapewne też Was łączy.

Tadeusz Kantor powiedział kiedyś: „Bronić mnie będzie moja wyobraźnia, chronić moja samotność”. Zarówno Jamna, jak i Gennadi to są moje małe ojczyzny, tak różne i tak mi bliskie zarazem. Kocham je bardzo i one chyba mnie też, bo dobrze mi się w „tych ojczyznach” pracuje.

Studiowałeś historię. Aldous Huxley, wybitny angielski pisarz, eseista, mawiał, że „z historią jest jak z pasztetem mięsnym. Nie należy się przyglądać, jak się go przyrządza”.

Niestety, ludzkość nie postępuje logicznie i nie wyciąga wniosków z żadnych wydarzeń. Stąd „długa kronika głupoty i zbrodni”, jakby powiedział autor *Złotej gałęzi*, szkocki antropolog i historyk religii J.G. Frazer. Czy światowy populizm pchnie nas w ramiona kolejnej wojny?

Ta wojna już trwa, bo ona jest w nas. W naszych sercach pełnych hipokryzji, z pięknymi

Cała historia naszej przeszłości jest dowodem na zaangażowanie artystów w politykę. Miłosz, Gombrowicz, Herbert, że już nie wspomnę Mickiewicza, Słowackiego czy Chopina.

mi frazesami o wolności, cynicznymi do głębi. Udajemy, że chcemy uczyć inne narody demokracji, a sami wprowadzamy chaos. Totalny zamęt w krajach Bliskiego Wschodu, bezsensowna amerykańska wojna w Iraku. Włożyliśmy kij w gniazdo szerszeni i uciekliśmy. W ten sposób stworzyliśmy grunt pod różne organizacje terrorystyczne. Stąd się wzięła wielka wędrówka ludzi uciekających przed wojną, przed biedą, opuszczonych, zdradzonych, ale mających nadzieję na lepszy los, na inne życie. Ta nadzieja często tonie w otchłani zła. Ameryka rozchwiała ten świat, nie ponosząc takich konsekwencji jak Europa. Czeka nas wszyst-

kich hekatomba, zobaczymy tylko, która nadejdzie wcześniej klimatyczna czy społeczna.

Często zadaje się pytanie, czy artysta powinien mieszać się do polityki. Moim zdaniem, nie musi, ale powinien... Wiem, że można być wybitnym twórcą i pisać wyłącznie o ćwierkających ptaszkach, ale też wiem, jak ważne, w różnych momentach historii, były słowa i polityczna działalność artystów.

Artysta nie może być obojętny. Przecież cała historia naszej przeszłości jest dowodem na zaangażowanie artystów w politykę. Miłośz, Gombrowicz, Herbert, że już nie wspomnę Mickiewicza, Słowackiego czy Chopina. Nawiasem mówiąc, spotykać się w Hotelu Lambert, na wyspie św. Ludwika, popijać wino, użalać się nad losem ojczyzny na kolejnych bankietach, a potem płakać i tęsknić za Polską? Jak myślisz? Moim zdaniem artysta, który nie zabiera głosu w obronie demokracji, jest współwinnym jej łamania. Przecież gdyby nie filmy Wajdy, Holland, Kieślowskie-

Eliza. W 1997 otrzymała Srebrnego Niedźwiedzia na festiwalu berlińskim. Była wielokrotnie nominowana do Złotego Globu.

Byłem też trzykrotnie wyróżniony przez Stowarzyszenie Los Angeles Film Critics Association, a ostatnio otrzymałem nagrodę na 34. Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Hajfie za całokształt twórczości. Najważniejszą dla mnie nagrodą jest publiczność, która lubi moją muzykę i słucha jej w międzynarodowych salach koncertowych: w Polsce, w Szanghaju, w Istambule, Atenach, Paryżu, Londynie i w wielu innych miejscach świata. To są ludzie, którzy na ateńskim Akropolu śpiewają z nami po grecku list św. Pawła do Koryntian, wykorzystany w filmie Kieślowskiego *Trzy kolory. Niebieski*, to ta publiczność, która śpiewała *Kolędę dla nieobecnych* podczas tegorocznych koncertów kolęd. To reżyserzy, muzycy, wielcy artyści, którzy chcą ze mną współpracować. To jest moja najważniejsza nagroda.

Obchodzisz czterdziestolecie pracy twórczej. Masz stale nowe zamówienia i propozycje. Wiem z własnego doświadczenia, że w takich chwilach człowieka nacierają różne myśli. Może trzeba było coś zrobić inaczej? Gdzie skrócić w lewo, chociaż droga prowadziła w prawo? Wydaje mi się, że zawsze szedłeś pod wiatr... To niełatwa droga, ale na pewno ciekawa.

Zawsze byłem wierny słowom Zbigniewa Herberta: „Płynie się zawsze do źródeł, pod prąd, z prądem płyną śmiecie. I czy się dopłynie, czy nie dopłynie, kształci to, wyraża mięśnie”.

Do końca mojego życia będę wierny tym słowom. Jestem jedynie małą chwilką.

Życzymy Ci dużo zdrowia i dalszej, wspaniałej pracy twórczej.

PS

Wydawać by się mogło, że koniec wakacji, piękna sierpniowa pogoda uciszy na chwilę naszą politykę, a tu nagle taka przygnębiająca afera...

Jeżeli prawdą jest to, o czym pisze Onet i „Gazeta Wyborcza”, że Ministerstwo Sprawiedliwości było fabryką hejtów, trolli i zaplanowanych pomówień sędziów oraz prokuratorów, oznacza to, że żyjemy już w systemie bolszewickim. Mam nadzieję, że naród się obudzi i uda się 13 października do urn. Jak mawiał Seneka: „Nikt rządów gwałtu nie utrzyma długo”. Tego życzę sobie i Polsce.



Ewa Lipska – krakowianka, poetka, felietonistka, niegdyś redaktorka działu poezji Wydawnictwa Literackiego i dyrektorka Instytutu Polskiego w Wiedniu, członkini polskiego i austriackiego Pen Clubu oraz Polskiej Akademii Umiejętności i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Tak wstaliśmy z kolan, że złamaliśmy kręgosłup.

go, Konwickiego, gdyby nie postawa malarzy, jak choćby Strzemińskiego, spektakle Dejmka, Swinarskiego, Grzegorzewskiego, nie byłoby dzisiejszej Polski. Dzisiaj w dobie internetu nasza reakcja musi być szybka i konkretna, to nasz obowiązek. W Polsce nie ma już demokracji. Tylko jest dyktatura.

Zbyszk, ale nikt nas jeszcze nie zamyka. Możemy manifestować swoje racje i myśli. Jeszcze mamy paszporty, jeszcze mamy internet, jeszcze nie zamykają wszystkich. Do czasu! Tak wstaliśmy z kolan, że złamaliśmy kręgosłup. My jesteśmy już w stosownym wieku, przeżyliśmy komunizm, stan wojenny i ten piękny czas wolności. Myśmy się już nażyli, ale ostrzegam młode pokolenie i tych wszystkich, którzy nie chodzą na wybory, których nie interesuje łamanie konstytucji i zasad demokracji, bo jak mówią, mają na to „wywalone”, że wolność nie jest im nadana, tylko zadana. Oni jeszcze nie widzą, że Polska jedzie autostradą pod prąd i tylko kwestią czasu jest, kiedy dojdzie do tragedii. A wtedy mogą być jej ofiarami. Konstytucja to są zasady postępowania przyjęte w narodowym referendum. Ale konstytucję należy bronić wszelkimi środkami.

Mam nadzieję, że kiedyś doczekamy się spełnienia słów Seneki „przebaczenie wszystkim jest takim samym grzechem jak nieprzebaczenie nikomu”. Amerykańska konstytucja zaczyna się od słów: „My, naród...”, a nasza obecna władza uważa, że „naród to my”...

Otrzymała wiele nagród, w 1994 zdobyła Cezara za muzykę do *Trzech kolorów*, w 1995 za kompozycję do filmu J. Beckera

Kraków

teatr
odwrócony

repertuar

PAŹDZIERNIK

3 4	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO PREMIERA reż. Szymon Budzyk
5 6	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO reż. Szymon Budzyk
11	GODZ. 19	SOWA, CÓRKA PIEKARZA PRAPREMIERA Marek Hłasko
12 13	GODZ. 19	SOWA, CÓRKA PIEKARZA Marek Hłasko
18 19 20	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO reż. Szymon Budzyk
23 24 25	GODZ. 19	SOWA, CÓRKA PIEKARZA Marek Hłasko

LISTOPAD

8 9 10	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO reż. Szymon Budzyk
16	GODZ. 19	KOMEDA/HŁASKO KONCERT TRIO IPT Wójciński/Bańdur/Gucik
17	GODZ. 19	KRYM Stowarzyszenie Sztuka Nowa z Warszawy
22 23 24	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO reż. Szymon Budzyk
30	GODZ. 19	PUSSY GROOVE KONCERT Karolina Fortuna

GRUDZIEŃ

1	GODZ. 19	PUSSY GROOVE KONCERT Karolina Fortuna
6 7 8	GODZ. 19	ZOBACZ CIAŁO reż. Szymon Budzyk
13 14 15	GODZ. 19	SOWA, CÓRKA PIEKARZA Marek Hłasko

BILETY: EKOBILET.PL/TEATRODWCROCONY | ODWCROCONY.PL | SŁAWKOWSKA 14

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

... ma sens – mimo wszystko

Wstęp i opracowanie: Witold Bereś i Krzysztof Burnetko

Nadchodzące wybory zadecydują o kształcie kraju na dłużej niż tylko na czteroletnią kadencję parlamentu. Tymczasem jesteśmy podzieleni bardziej niż kiedykolwiek. Warto jednak pamiętać, że potem nadal wszyscy będziemy mieszkać w tym samym domu. Ale jest nadzieja – miasta. Wolne, piękne, możliwe. Odnajdźmy je. Bo taka Polska ma sens.

... w słoneczny dzień w szklanej fasadzie „ajsu”, czyli centrum kongresowego ICE, spoglądającego na Kraków zza Wisły, z Dębnik, odbija się Wawel. Obok płynnie swoim dachem wajdowska Manggha. A wszystko spaja Wisła... A we Wrocławiu, na cmentarzu Grabiszyńskim surowy, drewniany krzyż przypomina, że jesteśmy z różnych części świata i kraju. W Białymstoku oszałamiający pychą wielmożów pałac Branickich wymusza pokłon.

Albo podróż w czasie – do przeszłości i w przyszłość. Warszawa. Pałac Kultury i Nauki niegdyś imienia Józefa Stalina. A obok strzeliste wieże polskiego Manhattanu. Żagiel Libeskinda. Najwyższy Warsaw Spire. Za chwilę Varso Tower projektu Normana Foster'a, jednego z najsłynniejszych architektów świata. Szkło i stal, chrom i błysk. Jest coraz wyżej, i wyżej, za chwilę będzie najwyższej w Europie. Oddech odbierają dwie rzeczy: rozmach budynków i... ceny ich metra kwadratowego.

Najważniejsze dla odczytania roli miasta jest połączenie pamięci z emocjami. Bo jeśli cokolwiek do miasta czujemy, to wtedy, gdy choćby lekko, fizycznie się do niego zbliżamy. Najpierw pojawiają się przeżycia estetyczne: profil różnych miejsc czy jakaś znajoma bryła, która jest dla nas prywatnym symbolem miasta.

Ale nawet gdy podróżujemy do miasta tylko myślą, pojawiają się emocje. Choćby miłość. Uczucie jedno z najważniejszych, jakże często łączy się z miejscami miasta. Jakże często nasze dobre emocje, dobrą pamięć przenosimy na te dzisiejsze miejsca miast, czasem zmienione, lecz to dzięki nim podróżujemy do pamięci spojrzeń, spotkań, pocałunków.

Kiedy myślimy o przyszłości tych miejsc, bywa gorzej. Bo miasto z istoty niesie wiele wyzwań – a więc niepewności.

Ale przecież jakoś to przezwyciężamy, włączając się choćby w inicjatywy lokalne, ruchy miejskie, budżety obywatelskie.

Dlaczego udaje się myśleć pozytywnie?

Bo tak naprawdę ważne dla odczytania współczesnego miasta, dostrzeżenia szans, jakie daje, jest zauważenie ludzi, którzy je tworzą i w nim tworzą. Poczucie przynależności do grupy ludzi wywodzących się

z danego miasta jest praprzyczyną miłości do miejsca, w którym się mieszka.

Bo czy o duszy poszczególnych miast świadczy maczanka po krakowsku i wódka Gdańska? A nawet – wyższy drapacz chmur, potężniejszy pałac i większy rynek? Czy raczej o duszy miasta więcej mówi Michała Zabłockiego „A w Krakowie na Brackiej pada deszcz...” wyśpiewywany przez Grzegorza Turnaua? I gdański, magiczny most Weisera Dawidka z powieści Pawła Huelle?

Może dlatego mawiał nam Marek Edelman: „Ojczyzna to mieszkanie, w którym się żyje, dom, przed którym stoi drzewo albo nie stoi, podwórko. I piątka czy dziesiątka przyjaciół. To jest ojczyzna”.

Wiemy jedno: najpierw ludzie związani ze swymi miastami.

To jest nadzieją dla Polski trzeciej dziesiątki trzeciego tysiąclecia. W tym kraju niepomniernie podzielonym musi ponownie wykiełkować świadomość tego, że duma



Kraków: ICE/Wawel, fot. Jacek Balcewicz

z własnego kawałka przestrzeni – jest ponad sporem.

Od tego znacznie się odbudowa polskiej, obywatelskiej wspólnoty? Naiwne? Może... Ale przecież Polska musi mieć jakiś sens. Mimo wszystko.

BIAŁYSTOK dla Grzegorza Kasdepke (urodzonego tam w 1972 roku) to miejsce magiczno-wspomnieniowe. Kasdepke to nie tylko autor ponad sześćdziesięciu (!) książek, nie tylko niegdysiejszy wieloletni naczelny magazynu dla dzieci „Świerszczyk”, nie tylko laureat mnóstwa nagród (od Książki Roku polskiej sekcji IBBY poprzez Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego aż po pewną ważną, państwową, acz nieprzyjętą na znak protestu). Przede wszystkim jest uwielbiany przez czytelników, tak wrażliwych jak tylko może twórca marzyć. Bo Kasdepke pisze dla dzieci. Ale i przy nich starsi coś z tego mają.

Dla niego, od lat mieszkańca Warszawy, Białystok ma swoisty smak proustowskiej magdalenki...

– Pan Marcel Proust miał swoje magdalenki, a ja – Magdalenkę; niedużą, zgrabną, o której wszystkie chłopaki z Białegostoku mówiły poufale (bo dawała się zdobywać wielokrotnie), lecz i z uwielbieniem (bo przyjmowała każdego). Była pierwszą myślą, gdy nachodziła nas ochota na figlowanie – a nachodziła przecież ciągle! Latem kręciła nam w głowach

niemal do nieprzytomności; odurzeni gorącym i zapachem nazywanych po białorusku kwiatów staczaliśmy się w bezdenne studnie marzeń... Zimą wytaczała z nas krew. Pamiętam czerwone plamy przy trzeszczących od mrozu oszronionych drzewach. Pamiętam płacz tych, którzy myśleli, że Magdalenka nikogo nie skrzywdzi. Była to dobra nauczka na przyszłość – spoufalając się, nie należy usypiać czujności. Pozwalała nam na dużo, ale wiedzieliśmy, że kryje tajemnice. Jej milczenie rezonowało w naszych głowach pożądaniem i strachem.

A teraz proszę, żeby Szanowni Czytelnicy porzucili wyobrażenie zmysłowego, lecz i na wpół zdziczałego dziewczęcia spod znaku Cinecitta i Felliniego. Pożegnajmy się ze zgrabnymi nogami, dekoltem i z przegrzyzionymi wargami. Moja białostocka Magdalenka była wyłącznie krągłościami – odzianymi w zieleni – a zamiast korony czy migotliwego diademu dźwigała niedużą cerkiewkę. Wzgórze Świętej Marii Magdaleny. Moje podlaskie Kilimandżaro. Moja preria, na której polowałem z Winnetou na bizony. Moja bezludna wyspa, na której szukałem skarbów. Mój podręczny skład butelek gotowych do sprzedaży! Moje pierwsze lekcje cyrylicy (gdy wśród wysokich traw trafiałem na płyty o literkach jak zastygłe w słońcu jaszczurki). Moje kino dozwolone od lat



Łódź: Książ Młyn, fot. Paweł Herzog



Katowice: Nikiszowiec, fot. Arkadiusz Ławrywianiec

osiemnastu – odgrywane prawie każdego dnia na żywo.

Magdalenka – wzgórze tajemnic, wzgórze obietnic. Nadgryzione z jednej strony przez amfiteatr postawiony tylko po to, aby Gierek mógł w centrum miasta rozpocząć święto wsi – dożynki! Przytulone do żydowskiego cmentarza, który tak sprytnie przepoczwarzył się w park, że dzisiaj nikt o nim nie pamięta – choć przed wojną był największy na całym Podlasiu. Magdalenka, która okazała się górą z baśni – i urodziła najprawdziwszy gmach opery. Symbol tego, co naprawdę przeraża w polskich miastach – symbol niepamięci.

GDAŃSK. Antoni Pawlak, człowiek Trójmiasta (rocznik 1952, urodzony w Sopocie).

Poeta, prozaik, w PRL działacz opozycji demokratycznej, członek redakcji podziemnego kwartalnika literackiego „Puls”, w sierpniu 1980 uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej, po wprowadzeniu stanu wojennego internowany. W wolnej Polsce współtworzył „Gazetę Wyborczą”, a potem „Super Express”. Wśród mnóstwa jego książek warto wymienić *Księżczkę wojskową* (1981), *Obudzimy się nagle w pędzących pociągach* (1981), *Brulion wojenny* (1983), *Każdy z was jest Wałęsą* (współautor Marian Terlecki, 1984), *Zapiski na paczce papierosów* (2018).

Ale równie ciekawym etapem jego życia jest dziesięcioletnia praca jako rzecznika pra-

sowego prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza.

– „Będąc samorządowcem czy politykiem, warto i trzeba mieć marzenia”, napisał Paweł w książce *Gdańsk jako wyzwanie*. I właśnie z marzeniami najbardziej mi się kojarzy. Bo był wizjonerem. Ale miał też rzadkie szczęście, że udawało mu się te marzenia wcielać w życie.

W roku 1987 nie był jeszcze prezydentem, a przewodniczącym rady miasta. Miał ledwie 32 lata. I właśnie wtedy zaświtał mu pomysł utworzenia Europejskiego Centrum Solidarności. Odwiedzał możliwych tego kraju i próbował zrobić z nich sojuszników projektu. Średnio to wyszło, bo większość twierdziła, że pomysł świetny, ale nierealny.

Ale Adamowicz był uparty. Nie zrażał się niepowodzeniami. I dzięki temu w sierpniu 2014 roku okazały budynek Europejskiego Centrum Solidarności został otwarty. Krążyłem wśród zwiedzających. Nagle zauważyłem prezydenta. Stał samotnie. Miał trochę nieobecny wzrok. Podszedłem. „Pawle, to najszczęśliwszy dzień twojego życia...”. Spojrzał pytająco. „Lata temu wymarzyłeś sobie ECS. I jest”. „A wiesz, masz rację. Warto mieć marzenia” – powiedział i zanurzył się w tłumie.

KATOWICE. Jarosław Makowski, historyk filozofii, publicysta, autor znakomitych rozpraw o księdzu Tischnerze, przez wiele lat

związany z Krakowem i „Tygodnikiem Powszechnym”. Dziś jest dyrektorem Muzeum Ziemi Kozielskiej w Kędzierzynie-Koźlu. Ale najczęściej serca oddaje Górnemu Śląskowi, zwłaszcza Katowicom, gdzie był radnym, gdzie kandydował na prezydenta i gdzie mieszka.

– „Moja ojczyzna jest tam, gdzie jest mi dobrze” – powiada rosyjski filozof Lew Szestow. Moją ojczyzną stał się katowicki Nikiszowiec. Stwierdzenie „stał jest” jest tu kluczowe, bo przez długi czas byłem pielgrzymem. Pomieszkowałem to tu, to tam. W różnych miastach: Łodzi, Krakowie, Warszawie. Ale wybrałem Katowice. Nie dlatego, że inne miasta mnie rozczarowały, ale dlatego, że człowiek potrzebuje ojczyzny. I musi dokonać wyboru. A miejsce, z którym chce się związać na całe życie, to wybór fundamentalny.

Dlaczego Nikiszowiec? Przyznaję jak na spowiedzi, że Nikiszowiec znałem – zanim tu trafiłem – tylko z fotografii i filmów Kazimierza Kutza, jednego z najprzekorniejszych śląskich artystów. Kutz na Nikiszu nakręcił dwie części słynnego tryptyku śląskiego: *Sól ziemi czarnej* (1969) i *Perłę w koronie* (1971). Sam trafiłem na Nikisz w marcu roku 2013. Jechałem z mieszanymi uczuciami, bojaźnią i drżeniem. Nikisz nie miał dobrej sławy. Skupiał negatywne stereotypy na temat tak zwanych niebezpiecznych dzielnic. A więc, jak w takiej dzielnicy pojawi się obcy, a ja obcym byłem, to może oberwać.

Zaryzykowałem. Był marzec. Roztopiający się śnieg. Mieszkańcy przemykający między ajnfartami, by szybko skryć się w familokach, które – dziś, jako lokator to wiem – są wspaniałym konceptem na mieszkania. Co więcej: niesprzyjająca pogoda, którą wybrałem sobie na zwiedzanie Nikisza, nie mogła przyćmić tego wrażenia, które w każdym, jak sądzę, przybyszu, on wywołuje. Katowicki Nikisz, czy to się komuś podoba czy nie, kusi, zachwyca, uwodzi.

Nikiszowiec kusi tajemniczością. Przekraczając próg Nikisza możesz poczuć się tak, jakbyś wkraczał do nieznanego labiryntu. Z tą różnicą, że z nikiszowych tajemniczych uliczek, podwórek, zaułków i bram nie chcesz wychodzić. Ba, chcesz się w nich gubić. Bo czas się zatrzymał, a cudowna chwila obcowania z Nikiszem nie powinna się skończyć.

Nikiszowiec zachwyca architekturą. To osiedle „idealne”, zaprojektowane przez wybitnych architektów Emila i Georga Zillmannów, na pierwszy rzut oka wydaje się toporne. Na dzielnicę składa się dziewięć zamkniętych pierścieniowo bloków różnej wielkości. Przeznaczenie: mieszkania dla górników. Wystarczy jednak wprawne oko i krótki spacer, by zdać sobie sprawę, że nie ma dwóch takich samych familoków. Familoki różnią się drobnymi szczegółami: kształt okien, wykusy, balkonów...

I wreszcie: Nikiszowiec uwodzi. Chcesz tu zamieszkać. Jest w tym miejscu jakaś obietnica, że gdy ulegniesz tej pokusie uwiedziony magią miejsca, to w zamian otrzymasz coś wyjątkowego. Ojczyznę. Choć przybyłem na Nikisz jako obcy, nie przypominam sobie, by kiedykolwiek moi sąsiedzi dali mi odczuć, że nie jestem u siebie.

KRAKÓW. Chodząc tu po ulicach, co rusz natykasz się nie tyle na historię, ile na fascynujących ludzi kultury. Niestety, wielu z nich odchodzi, pozostawiając wyrwy nie do załatania.

Jakże fajnie było choćby napić się wieczorem w Bombie na placu Szczepańskim ze Zbigniewem Wodeckim! Niestety – w maju 2017 roku zmarł niespodzianie i za wcześnie.

Jego młodsza córka Katarzyna Wodecka-Stubbs, poza naturalną miłością do ojca, próbuje go dawać teraz także Krakowowi – cały czas. Jest więc Fundacja im. Zbigniewa Wodeckiego, a przede wszystkim coroczny, kilkudniowy festiwal mu poświęcony, podczas którego sale pękają w szwach. Krótko mówiąc, ludzie nadal chcą słuchać tej muzyki. Ale też

każdy wie, że Wodecki to nie tylko śpiew. Tworzył muzykę teatralną, oratoria, komponował utwory jazzowe, grywał z tak legendarnymi artystami jak Ewa Demarczyk czy Marek Grechuta. No i cieszył się życiem. Nic dziwnego, że myślą przewodnią spotkań festiwalowych jest fraza z tekstu Jacka Cygana do piosenki *Chwytaj dzień*: „Trzymaj się w życiu tego, co łagodne, co pogodne, co ci w duszy gra”.

Kasia ciepło patrzy na miasto:
– Kraków to miasto łagodne i przytulne. Co dzień mam przywilej spacerować po na-



Warszawa: drapacze chmur, fot. Paweł Herzog

szym starym mieście, bo i życie, i pracę związałam z Krakowem. To brzmi może przewrotnie, ale mimo rzeszy turystów wcale się nie chowamy, z przyjaciółmi spotykamy się często w przytulnej witrynie z widokiem na Rynek czy w uliczkach wokół. Te same miejsca, twarze te same, kamienice. Jesteśmy w domu.

Tata uwielbiał to miasto. Kiedy wracał z koncertów, wyruszał z dziećmi, później i z wnukami, ulicą Grodzką spod zamku na Rynek, rozdając oczywiście autografy i rozmawiając z przechodniami. Zupa rybna w Szarej, tatar u Barana, spotkanie z przyjaciółmi w Łoży czy kawa w galerii Andrzeja Mleczki to taki rytualny szlak.

Kraków jest też chętny – chętny dobrego jedzenia, kina, muzyki. Organizuję Wodecki Twist Festiwal – w założeniu ogólnopolski, ale wszystkie sceny koncertowe naturalnie wpisują się w Kraków, jego sale koncertowe i plenery nad Wisłą. Zawsze pełne, życzliwe, chętne.

ŁÓDŹ. Księży Młyn. To miasto w mieście. Karol Scheibler w II połowie XIX zbudował tu największy w Łodzi budynek przędzalni bawełny, domy dla robotniczych rodzin, tak zwane famuły, konsum, czyli sklep fabryczny, straż pożarną, szpital, szkołę, zespół pałacowy i park ze stawem. Wtedy zaczął się okres świetności największego podówczas kompleksu przemysłowo-mieszkalnego w Europie. Andrzej Wajda znalazł tu potem idealne miejsce do odtworzenia XIX-wiecznego molocha i tu kręcił *Ziemię obiecaną*.

Paweł Herzog (rocznik 1977, fotografik, autor wielu wystaw i projektów w kraju i za granicą) w Łodzi mieszka od zawsze. I choć oszalałymi zdjęciami robi na całym świecie, to te łódzkie są dla niego nader ważne.

– Księży Młyn to było miejsce zapomniane i niszczone. Dopiero od kilku lat dzielnicą się odradza. Budynki fabryczne zamieniono na komfortowe lofty, magazyny na kawiarnie, odnawiane są też famuły – niektóre przeznaczone na pracownie artystów. Dziś to miasto w mieście jest jednym z najciekawszych zażytków przemysłowych na świecie.

Tutaj czuje się klimat starej fabrycznej Łodzi. Spacer uliczkami wyłożonymi kocimi łbami wśród ceglanych budynków to możliwość przeniesienia się w czasie, a dla fotografa źródło inspiracji.

POZNAŃ. Do Teatru Ósmego Dnia wchodzi się w sposób niepozorny, choć znajduje się w budynku reprezentacyjnym – Arkadii. Wzniesiona na początku wieku XIX, od początku miała być teatrem (i chwilami bywała). To pod Arkadią 27 grudnia 1918 podczas szturm na prezydium policji pruskiej zlokalizowanej po drugiej stronie zginął pierwszy powstaniec wielkopolski – Franciszek Ratajczak. Przed wojną znalazło tu miejsce studio Polskiego Radia, po wojnie knajpa, a po komunizmie – kasyno. Dziś to reprezentacyjny gmach poznańskiej kultury. Tu mieści się

Wydawnictwo Miejskie Poznania (kłaniamy się!) oraz – uwaga – jedno z najważniejszych zjawisk kulturalnych Polski ostatniego półwiecza: właśnie Teatr Ósmego Dnia.

Socjolożka Aldona Jawłowska napisała o nim książkę pod trafnym tytułem *Więcej niż teatr*. Zaczął się jako teatr studencki, założony przez Lecha Racza i Tomasa Szymańskiego jeszcze w połowie lat 60. Od Marca '68 stał się sceną na dobre zaangażowaną. Polityczną wręcz. Wtedy do trupy doszli Ewa Wójciak, Adam Borowski, Tadeusz Janiszewski i Marcin Kęszycki (do dziś w zespole). Ich spektakle były komentarzem do PRL, a podpisanie przez twórców protestu przeciw komunizującym zmianom konstytucji i działalność w opozycji przyniosły represje, a po stanie wojennym – rozwiązanie teatru.

Ósemki uratowała wolna Polska. Ale nie ma tu dziś choćby małego pomnika. Może to i dobrze, bo dzięki temu teatr nadal jest autentyczny, a jego twórcy nie boją się deklorować swoich przekonań. I ciągle są sobą. Rozmawiają z publicznością. Sprzeciwiają się nawet nie tyle władzy, ile po prostu – niesprawiedliwości.

Tak jak za PRL hitami były spektakle *Ach, jakże godnie żyliśmy* (1979) czy *Raport z oblężonego miasta* (1983), tak w wolnej Polsce mówi się o *Arce* (2000) zainspirowaną wojną w Czeczenii czy *Teczkach* (2007) opartych na materiałach z IPN.

Małgorzata Grupińska-Bis, polonistka, menadżer kultury, od roku 2015 dyrektorka Teatru:

– Miejsce w którym się dobrze czuję, to oczywiście Teatr Ósmego Dnia – bo to jest więcej niż teatr... To ośrodek demokratyczny, miejsce spotkań różnych pokoleń i środowisk, wciąż przyglądający się światu i komentujący go... Miejsce spotkań z teatrem offowym, filmem czy literaturą... Ciągle pod prąd... Ostoja dla artystów poszukujących.

Ale moim symbolem miasta jest Rozbrat.org – centrum kultury alternatywnej, niezwykle istotne w tkance miasta, skupiające ludzi gotowych bronić słabszego, patrzących władzy na ręce. Oni pierwsi stają w obronie uciskanych pracowników czy nękanich lokatorów...

Patrząc na polskie miasta, najbardziej boję się niemądrej władzy i zarządzania z za biurka. Zamknięcia się w procedurach. To jest zabójcze dla miast i aktywności obywateli.

No i drzewa... Polityka wycinania drzew pod inwestycje zabija nas wszystkich.

SZCZECIN. Henryk Sawka, honorowy obywatel i jego mieszkaniowiec od lat – oraz rysownik błyskotliwie komentujący naszą rzeczywistość, nie ma wątpliwości: – To najbardziej europejskie miasto w Polsce. Wygląda europejsko i głosuje europejsko. Kiedy chodzę po ulicach Szczecina, czasem myślę, że jestem na Prenzlauer Berg lub innym miejscu Ber-

lina, a czasem, że we Wrocławiu. Jeśli ktoś jest u nas pierwszy raz, wsadzam go najpierw w łódkę i pokazuję miasto od strony wody. A jeśli ma chorobę morską, to od strony Starej Rzeźni – czyli też niejako przez rzekę. Jest kupiony.

Kiedyś znajomy zapytał, kiedy wrzenie przeniosę się do stolicy. – Wiesz, to nie ma sensu – odparłem. – Ze Szczecina mam tylko dwadzieścia kilometrów do cywilizacji i półtora godziny drogi do Berlina.

– A kiedy byłeś tam ostatnio?

– Przedwczoraj!

– A gdzie?

– W IKEI.

WARSZAWA, Chmielna 33. Centrum samego centrum. Mogłoby się wydawać, że w sąsiedztwie Pałacu Kultury, Giełdy i dawnego hotelu Forum nic innego w tej części miasta być nie może poza grillowanymi ośmiorniczkami, biznesowymi lunchami i platynowymi kartami kredytowymi.

A jednak jest tu również inny duch: kino Atlantic. Rzecz nie w tym, że to najstarsze nieprzerwanie działające kino w Warszawie, otwarte w lutym 1930 roku jako obiekt najnowszy i pierwszy całkowicie przystosowany do filmów dźwiękowych. I nie w tym, że wystartowało jako pierwsze kino powojennej Warszawy, we wrześniu 1945 roku.

Tu dzieją się rzeczy z innego porządku – tu Artur Wolski (z wykształcenia teolog i etyk, a od dwudziestu lat belfer) organizuje spotkania z twórcami, humanistami, a nawet politykami. Jak zaczął w roku 2009 (przedtem przez sześć lat współtworzył klub-księgarnię Czuby Barbarzyńca), tak rok w rok prowadzi z setką takich spotkań.

Ktoś powie – działacz kultury. Lepiej jednak powiedzieć – amator kultury, bo to słowo pochodzi od włoskiego *amare* – czyli ktoś, kto kocha.

Tak, Wolski kocha – i to nie tylko kulturę, ale również – rozmowę. Spotkanie. W ten sposób tworzy przy Atlanticu społeczność – ogromną, bo właściwie nie ma imprezy, na którą darmowe wejściówki nie skończyłyby się w kilka godzin po ogłoszeniu zapisów – a i młodych na sali jest mnóstwo.

Były już spotkania z Jiřím Menzlem, Agatą Buzek, Wojciechem Smarzewskim, Robertem Więckiewiczem, Adamem Michnikiem, Hanną Krall, Jerzym Stuhrem, Andrzejem Sewerynem oraz z innymi wielkimi świata... Do tego urodziny i jubileusze – choćby Ryszarda Kapuścińskiego, Władysława Bartoszewskiego, Tadeusza Mazowieckiego, Tadeusza Konwickiego.

I dziesiątki akcji społecznych. „Książka na podryw”, „Czytam! Daję słowo!”, „Uczniowska Rzeczpospolita Obywateli”, „Wszyscy jesteśmy z Kieślowskiego”, „1981–2016. Stan wojenny – Stan pokoju”. A ostatnio „Jestem z wolności”.

Artur tłumaczy:

– Co jest najważniejsze w tym wszystkim? Żeby uświadomić młodym, że tylko przez żywe spotkania i rozmowy można poznać drugiego człowieka. Że tak się buduje dialog – z dziećmi, rodzicami, twórcami. Że nowe technologie są ważne w komunikacji, ale ważniejsze jest spotkanie twarzą w twarz, ręka w rękę, sercem w serce.

A gdy spytać Wolskiego, co najlepiej go opisuje, nieodmiennie mówi:

– Chyba najważniejsze jest to, że podawałem płaszcz Sławomirowi Mrozkowi.

WROCLAW. Marta Mizuro (dziennikarka, redaktorka miesięcznika „Odra”, krytyczka, laureatka Nagrody im. Ludwika Frydego przyznawanej przez Międzynarodowe Stowarzyszenie Krytyki Literackiej) mieszka w tym mieście od trzydziestu lat jako wnuczka repatriantów z obwodu witebskiego (dziś Białoruś). Ci z kolei przybyli tu w 1946 roku...

Jej spojrzenie musi być specyficzne.

– We Wrocławiu nie można przywiązywać się do miejsc, bo ciągle się zmieniają. Jednak cmentarz Grabiszyński stał jak stoi, na nim zaś – od mojego zawsze – nagrobek będący skrzyżowaniem kapliczki ze świątkiem. Wyróżnia się on nie tylko szlachetną prostotą, lecz także wysokością. To dzięki niemu trafiam do znajdującego się tuż obok grobu moich krewnych. Miejsce spoczynku bliżej mi nieznannej Danuty Hering (zmarła w tym samym roku co moja prababcia, dlatego leżą po sąsiedzku), mój osobisty drogowskaz, musi więc przetrwać. Na szczęście, choć nagrobek jest drewniany, opiera się czasowi. Za to kamienne łoża pogrzebanych już po wojnie Polaków, Niemców, Ukraińców, Rosjan czy Greków dosłownie zapadają się pod ziemię, bo ich krewni także już zalegli w ziemi. Na Grabiszyńskim nie ma zabytków i grobów bohaterów, ale właśnie tu przypominam sobie o wielokulturowej wrocławskiej duszy.

*

Fragment przedsięwzięcia medialnego „Polska ma sens”.



Witold Beres – producent filmowy, scenarzysta, publicysta, pisarz. Redaktor naczelny miesięcznika „Kra-ków”.



Krzysztof Burnetko – niegdyś wieloletni dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, później tygodnika „Polityka” (z którym współpracuje do dziś), pasjonat nart i autor wielu książek, z których najmilej wspominam te o Marku Edelmanie.



FILHARMONIA im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

Charles OLIVIERI-MUNROE Dyrektor Artystyczny

Gabriel CHMURA I Dyrygent Gościnny

ANTONI WIT Dyrygent Honorowy

ORKIESTRA FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Marek **PIJAROWSKI**
dyrygent

Paweł **DZIEWOŃSKI**
waltornia

Marek **GUMIELA**
waltornia

Grzegorz **MONDRY**
waltornia

Anna **MONDRY**
waltornia



w programie:

Carl Maria von WEBER – Uwertura do opery *Wolny strzelec*

Robert SCHUMANN – Koncertstück na 4 waltornie i orkiestrę op. 86

Johannes BRAHMS – III Symfonia F-dur op. 90

11.10.2019 **12.10.2019**

piątek, godz. 19.30 sobota, godz. 18.00

KOŚCIÓŁ ŚW. KATARZYNY

for.A. Hoffmann



Wolfgang Amadeus Mozart

REQUIEM D-MOLL

ORKIESTRA I CHÓR
FILHARMONII KRAKOWSKIEJ

Charles **OLIVIERI-MUNROE**
dyrygent

Katarzyna **GURAN**
sopran

Joanna **ŚWIĘZEK**
alt

Bartłomiej **CHORAŻY**
tenor

Maciej **DRUŻKOWSKI**
bas

Teresa **MAJKA-PACANEK**
chórmistrz

25.10.2019

piątek, godz. 19.30

26.10.2019

sobota, godz. 18.00

NOWOHUCKIE CENTRUM KULTURY

WWW.FILHARMONIA.KRAKOW.PL



FILHARMONIA
im. Karola Szymanowskiego
w KRAKOWIE

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO



MAŁOPOLSKA

100 lat twórczo i z tradycją? Bagatela!

Tekst: Wacław Krupiński Zdjęcia: własność archiwalna Teatru Bagatela

Dziś – jak pisał Boy – niepodobna już wyobrazić sobie krakowskiego życia bez powstałego 100 lat temu teatru u zbiegu Krupniczej i Karmelickiej.



Akwarela autorstwa J. Zarzeckiego, fot. Muzeum Historyczne Krakowa

Redakcja miesięcznika „Kraków” z przyjemnością życzy zespołowi i Teatrowi kolejnej setki – samych sukcesów!

Ta wyjątkowa data – z pięcioma dziewiątkami – okazała się szczęśliwa nadzwyczaj: 9.09.1999. Tego dnia Bagatela wystawiła pierwszy spektakl nowego sezonu. Sześć dni wcześniej Henryk Jacek Schoen został jej dyrektorem naczelnym i artystycznym. Zatem teraz stulecie teatru zbiega się z dwudziestolecie dyrekcji Schoena. Jedną piątą z jubileuszowej setki jest jego!

Żaden dyrektor Bagateli nie pełnił tej funkcji tak długo, ba, to najdłuższa dykcja w dziejach teatrów Krakowa (dwie dekady kierował Teatrem im. J. Słowackiego Bronisław Dąbrowski, ale z paroletnią przerwą). A jeszcze ważniejszy jest inny rekord – to obecny dyrektor sprawił, że Bagatela ma naj-

25 października stuknie zatem 100 lat teatrowi, który założyli potentat prasowy, twórca słynnego „IKC-a” Marian Dąbrowski (to on przekonał współników, że teatr może być dobrym interesem, zwłaszcza że miał wówczas niemal 700-osobową widownię) oraz Józef Król i Władysław Lubelski.

większą liczbę widzów ze wszystkich teatrów dramatycznych w Polsce! A przecież jej główna siedziba ma ledwie 338 miejsc, a dwie pozostałe – przy Sarego 7 i obok kopca Kościuszki (przed nią poważny remont) – znacznie mniej. Dodajmy, że przyrost widzów utrzymuje się od roku 2008 (w 2018 było to 177



Bagatela w 1919 r., fot. Antoni Pawlikowski

Już Boy u zarania Bagateli zauważał, że w teatrze rozrywkowym „na pierwszy plan się wysuwa i o wszystkim rozstrzyga zespół, doskonałe zgranie, błyskawiczne tempo, a to da się osiągnąć przy specjalizacji”. I to znaczenie zespołowości akcentuje dziś dyrektor Schoen: „My naprawdę jesteśmy zespołem”.

748 osób), podobnie jak wpływy z biletów. Bo teatr gra niekiedy parę razy dziennie, co dało w roku 2018 liczbę 673 spektakli w siedzibie i 54 na wyjeździe. Z wielu z nich powraca Bagatela z nagrodami.

Ma więc dyrektor jubilat powody do satysfakcji, podobnie jak jego poprzednik Krzysztof Orzechow-

ski, który powołał na swego zastępcę ds. administracyjno-technicznych właśnie Schoena i teraz z okazji jubileuszu mówi: „Jacek Schoen był dla mnie gwarantem, że przyszłość Bagateli będzie kontynuacją tego, co sobie wymarzyłem (...), że nadal będzie i artystycznie, i komercyjnie, że będzie to teatr na wysokim poziomie – dla każdego widza. I to się udało”.

Zarazem – gdy patrzeć na dotację, jaką Bagatela dostaje od miasta (blisko 6,8 miliona złotych) i porównać tę kwotę z o kilka milionów większymi, jakie otrzymuje wiele podobnych teatrów w Polsce – można wysnuć wniosek, że teatr ten płaci za swój sukces osobliwą cenę. Jakby decydenci uznali, że skoro świetnie sobie radzi i ma wysokie wpływy, to niewielka dotacja mu wystarczy.

25 października stuknie zatem 100 lat teatrowi, który założyli potentat prasowy, twórca słynnego „IKC-a” Marian Dąbrowski (to on przekonał współni-

ków, że teatr może być dobrym interesem, zwłaszcza że miał wówczas niemal 700-osobową widownię) oraz Józef Król i Władysław Lubelski. Dąbrowski był też pierwszym dyrektorem Bagateli; to on zapraszał na „uroczystą inaugurację” – *Kobietę bez skazy* Gabrieli Zapolskiej, komedię wstrzymywaną wcześniej przez lwowską cenzurę z powodów obyczajowych. Filisterski Kraków miał zatem o czym mówić.

Miał to być teatr dla łaknących rozrywki mas. To Dąbrowski wykoncypował, że tuż po wojnie teatr oferujący repertuar rozrywkowy przyciągnie widza. „Mamy tedy w Krakowie nowy teatr, mający służyć wyłącznie śmiechowi i wesołości” – ogłaszała

i nazwy – Wesoła Gromadka, Teatr Młodego Widza, później – Rozmaitości. Wreszcie w roku 1972 Bagatela powróciła – i to z dodanym imieniem patrona Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Czyli tego, który przy Karmelickiej 6 mieszkał i który – w myśl anegdoty – wymyślił nazwę, spontanicznie reagując na pytanie o to, jak nazwać teatr: „Znaleźć dobrą nazwę dla teatru? Bagatela...”. I Dąbrowski miał to podchwycić. Choć pewnie bliższa prawdy jest wersja inna, że to Dąbrowski, który wnosił do spółki gotówkę, miał rzec, że pieniądze to dla niego „bagatela”. I tak, 14 miesięcy przed otwarciem teatru, powstała Spółka z o.o. „Bagatela”.



Aktorki w garderobie, lata 20., fot. Muzeum Historyczne Krakowa

w „Czasi” Boy, piewca owej sceny w jej początkowych latach.

Tyle że po pierwszym wspaniałym okresie szybko, bo w połowie lat 20. tamtego wieku, nastał dla teatru czas trudny; wspólnicy już nie mieli dlań serca ani pieniędzy (Dąbrowski, zajęty wydawnictwem prasowym i karierą polityczną, w 1925 roku wycofał kapitały), a Boy przeniósł się do Warszawy. A w kwietniu 1928 roku doszło do wielkiego pożaru.

À propos; o wiele więcej szczęścia miała Bagatela współcześnie, gdy w czasie spektaklu *Skrzyżka na dachu* zapaliła się od reflektora jedna z kotar. Przedstawienie przerwano, ogień opanowano i po 40 minutach aktorzy wrócili na scenę. Obecna na spektaklu Marta Stebnicka napisała później zespołowi: „Graliście tak, że aż teatr płonął...”.

Był gmach u zbiegu ulic Krupniczej i Karmelickiej wielokrotnie przerabiany, zmieniał funkcje, jak

Lata znakomite i chudsze będą się przewijać przez całe stulecie teatru. Dekadę przed wojną działał jako kinoteatr, kino Scala (podczas okupacji „nur für Deutsche”) do dziś pamiętają najstarsi krakowianie. Przyciągał dokonania podbijającej wówczas świat X muzy, jak i gościnnymi występami sław nie tylko z Warszawy, między innymi Josephiny Baker. Odżył dzięki Marii Billizance i jej Wesołej Gromadce, utworzonej u schyłku wojny jako teatr dla dzieci i z nimi jako wykonawcami w ramach Studia Aktorskiego przy Starym Teatrze. I już we wrześniu 1945 roku reżyserka ta, mając u boku między innymi kompozytorkę Andę Kitschman, wprowadziła się ze swą Gromadką do budynku na rogu Krupniczej i Karmelickiej, by pracować w nim do końca 1963 roku, gdy był już Teatrem Młodego Widza. Jej wyjątkowe dokonania utrwala tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę budynku.



Fasada teatru, II połowa lat 60., fot. Muzeum Historyczne Krakowa

Odpowiadający za kształt artystyczny sceny jej kolejni dyrektorzy urzeczywistniali swe wizje, preferencje i ambicje: Halina Gryglaszewska, Mieczysław Górkiewicz, Jan Güntner, Kazimierz Wiśniak, Tadeusz Kwinta, Bogdan Grzybowski, Nina Repetowska. To ona wprowadziła na afisz Bagateli farsę *Mayday*, wyreżyserowaną przez Wojciecha Pokorę, zagraną od 25 lat już blisko 1700 razy. Jej następcą Krzysztof Orzechowski zaproponował musical dla młodych *Tajemniczy ogród* w reżyserii Janusza Sztyrowskiego. Spektakl od listopada 1999 roku wystawiany jest do dziś z wielkim powodzeniem.

Z tej scalającej teatralne „rozmaitości” przeszłości czerpie obecny dyrektor. „W Bagateli nic się nie zmieniło, to dalej trzy nurty: farsy i komedie, musicale oraz klasyka i dramat współczesny. To współczesna wersja modelu teatru Arnolda Szyfmana, gdzie repertuar lżejszy jest starannie przygotowy-

wany, dzięki czemu sukces frekwencyjny pozwala produkować spektakle „trudniejsze” – klasykę, dramat współczesny, a nawet eksperymentalne formy teatralne” – mówił mi dyr. Schoen po 10 latach dyrekcji, nawiązując tym samym do założycieli pragnących, by teatr prezentował lekką komedię i farsę, ale i nie rezygnował z artystycznych ambicji.

I taka idea, rozmaicie modyfikowana, przyświecała temu teatrowi przez wiele dekad. Acz z różnym skutkiem.

Nigdy jednak scena u zbiegu Krupniczej i Karmelickej nie miała warunków, by konkurować ze Starym Teatrem, zatem nawet w wartościowych latach dyrekcji Haliny Gryglaszewskiej odeszli do niego Teresa Budzisz-Krzyżanowska, Elżbieta Karkoszka, Jerzy Trela, Jerzy Fedorowicz, podobnie jak wcześniej Wiktor Sadecki czy Andrzej Kozak. W tym teatrze znalazł też dla siebie przystań niedysiejszy kierownik

muzyczny Bagateli Stanisław Radwan. Inni wybitni twórcy muzyki teatralnej – Zygmunt Konieczny, Andrzej Zarycki – również oddawali swój talent Bagateli. Jak wcześniej – związany z tym teatrem dłużej – Artur Malawski. Jak wpisani w dzieje polskiej scenografii Andrzej Stopka, Andrzej Cybulski czy Ali Bunsch. Jak Tadeusz Kantor, autor scenografii do *Balladyny* wystawionej przez Mieczysława Górkiewicza. Indeks ogromniastego, jubileuszowego wydawnictwa przypomina i innych: Witolda Grucę, który tańczył w *Beksie*, pierwszym powojennym przedstawieniu dla dzieci, wybitnego scenografa Conrada Drzewieckiego, reżysera Iwo Galla. I aktorów: Danutę Szaflar-

nie, błyskawiczne tempo, a to da się osiągnąć przy specjalizacji”. I to znaczenie zespołowości akcentuje dziś dyrektor Schoen. „Najwięcej satysfakcji daje mi to, że w Bagateli udało się stworzyć coś, o czym wiele teatrów w obecnych czasach zapomniało. Chodzi o zespołowość. My naprawdę jesteśmy zespołem. Aktorzy grają ze sobą bardzo dużo, ludzie szanują siebie nawzajem i w wymiarze artystycznym, i czysto ludzkim”. A zarazem baczy, by mieć w zespole i gwiazdy, które przyciągają widzów. Gwiazdy, czyli aktorów, którzy swą popularność zdobywają na małym i dużym ekranie. Pozwala im zatem grać na przykład w serialach. „To kolejna praca i to dająca



Syn Pułku, archiwum Romana Polańskiego

ską, Tadeusza Łomnickiego oraz nastolatka z *Wesołej Gromadki* Romana Polańskiego, co już jako światowej sławy reżyser z właściwym sobie ego opisał w autobiografii. A jeszcze Olgierd Łukaszewicz, a dekadę później Tomasz Kot, dziś u progu światowej być może kariery filmowej. To w Bagateli spędził pięć lat.

Wszyscy oni poszli dalej, wyżej, jak pierwsze gwiazdy tej sceny Aleksander Węgieńko czy Maria Malicka; ta powróciła do Bagateli w latach 70., wienając swą pracą artystyczną.

Oczywiście są aktorzy wyjątkowo wierni tej scenie, jak Piotr Różański, obecny na niej od 1973 roku, są i inni, kuszeni przez dyrektorów rozmaitych teatrów, ale to Bagatela jest dla nich miejscem najlepszym. Tu się spełniają, tu odnajdują swój klimat.

Już Boy u zarania Bagateli zauważał, że w teatrze rozrywkowym „na pierwszy plan się wysuwa i o wszystkim rozstrzyga z e s p ó ł, doskonałe zgra-

inne doświadczenia niż teatr. A przy okazji ma i te miłe strony, że jesteśmy rozpoznawalni, co sprawia, że widzowie chcą nas oglądać w teatrze” – powie mi teraz Magdalena Walach, aktorka, na którą się chodzi. Podobnie jak na Urszulę Grabowską (na danie jej stypendium, by jeszcze jako studentkę związać z teatrem, namówił dyr. Orzechowski właśnie Schoen) czy Wojciecha Leonowicza (jeden z laureatów Nagrody im. Leona Schillera).

„Szczycę się tym, że w Bagateli po 20 latach udało się zebrać zespół, który jest gotowy do zagrania najtrudniejszego dramatu, ale i najśmieszniejszej komedii czy musicalu” – może zatem mówić dyrektor. Faktycznie, aktorów śpiewających i grających w instrumentach jest w tym zespole bardzo wielu: Anna Branny, Przemysław Branny, Aleksandra Godlewska, Natalia Hodurek, Kamila Klimczak, Izabela Kubrak, Wojciech Leonowicz, Kamila Pieńkos, Anna Roki-



Kotka na gorącym blaszanym dachu, fot. Piotr Kubic

W czasie spektaklu *Skrzypka na dachu* zapaliła się od reflektora jedna z kotar. Przedstawienie przerwano, ogień opanowano i po 40 minutach aktorzy wrócili na scenę. Obecna na spektaklu Marta Stebnicka napisała później zespołowi: „Graliście tak, że aż teatr płonął...”.

ta, Marcel Wiercichowski... I często prezentują swe umiejętności, czego przykładami *Tajemniczy ogród*, *Skrzypka na dachu*, *Sztukmistrz z Lublina*, *Wystarczająca noc*, *Tato*, *Opera za trzy grosze*, *Szaleństwa nocy*...

Nierzadko Jacek Schoen wyławia młodych zdolnych, bywając regularnie w Łodzi na festiwalu szkół teatralnych; tam spotkał Kamilę Klimczak, Michała Kościuka, Przemysława Redkowskiego, Annę Rokitę.

Przekonanie, że scena aktorami stoi, potwierdzał Schoen już w początkach dyrekcji, zapraszając do reżyserowanego przez Waldemara Śmigasiewicza Makbeta Danutę Stenkę i rosyjskiego aktora Aleksandra Domagarowa, który zażywał w Polsce sławy jako filmowy odtwórca roli Bohuna. O Bagateli mówiła wówczas cała Polska. Przyciągał także innych sławnych – w tym Jana Nowickiego i Jana Frycza, którzy grali w *Trzech siostrach* reżyserowanych przez Andrzeja Domalika. Dla młodych aktorów była to wspaniała lekcja.

Wywiady w jubileuszowym wydawnictwie pokazują, że aktorzy Bagateli dobrze się w niej czują i z radością wychodzą na scenę. Czyli jest jak u zarania, gdy Tadeusz Boy-Żeleński, 30 października 1919 roku, po premierze *Kobiety bez skazy*, pisał w „Czasie”: „Na dwóch pierwszych przedstawieniach Bagateli uderzają w zespół artystów dwie rzeczy: wy-

borne przygotowanie oraz szczerą wesołość, jaka panuje na scenie”.

Dziś, na fali sukcesów tego teatru, pewnie o nią łatwiej, niż bywało w przeszłości, gdy ignorowany przez widzów grał ledwie dla garstki, a piszący o teatrze omijali go z daleka. A było tak źle, że pierwsza minister kultury po upadku PRL Izabella Cywińska uznała, że Bagatela to jeden z teatrów do likwidacji. Z kolei kilka lat później pojawiło się inne zagrożenie. Budynek teatru był tak niedoinwestowany i w tak fatalnym stanie technicznym, że nadzór budowlany był bliski wydania decyzji o zakazie jego eksploatacji. Na szczęście dyr. Orzechowski już miał Jacka Schoena, który zajął się remontem.

No i obecnie – bynajmniej nie kurtuazyjnie, bo jubileusz – można powtórzyć słowa Boya, który z okazji pierwszych urodzin Bagateli na łamach „Czasu” pisał: „Dziś już niepodobna wręcz wyobrazić sobie krakowskiego życia bez Bagateli”.

Pracowała na to 100 lat.

*

Korzystałem między innymi z książki *Bagatela. 100 lat* wydanej nakładem tego teatru z okazji jubileuszu.



Wacław Krupiński – dziennikarz z ponad 40-letnim stażem, z czego ponad 30 oddał „Dziennikowi Polskiemu”. Pisze o estradzie, teatrze, literaturze. Autor m.in. *Głowy piwniczne* (WL), *Zbigniew Wodecki. Pszczoła, Bach i skrzypce* (Prószyński i S-ka), *Jan Kanty Osobny* (WL), *Cytaty z młodości. Rozmowy z ludźmi kultury* (Universitas).

(Nie) rozłączni Polacy i Żydzi

Opracował Krzysztof Burnetko Zdjęcia: Ada Kopeć-Pawlikowska/Muzeum Galicja

Muzeum Galicja przez cały rok 2019 współorganizuje cykl dyskusji pod hasłem „(Nie) rozłączni. Trudne tematy w relacjach polsko-żydowskich”, by zmierzyć się ze stereotypami, półprawdami i fake newsami powtarzanymi w mediach podczas ostatnich kryzysów w relacjach polsko-żydowskich.



Jeden na dwadzieścia Europejczyków nigdy nie słyszał o Holokauście – wynika z badania przeprowadzonego w ubiegłym roku na zlecenie stacji CNN. Równocześnie ponad 30 proc. Europejczyków uważa, że Żydzi wykorzystują Holokaust do osiągnięcia własnych celów lub lepszej pozycji. Co czwarty mieszkaniec kontynentu wierzy też, że Żydzi mają zbyt duży wpływ na biznes i finanse oraz jest przekonany, że antysemityzm to tylko reakcja na działania Żydów.

Brak podstawowej wiedzy i powszechność antysemickich stereotypów jest szczególnie widoczna w Polsce: aż 32 proc. młodych rodaków przyznało ankieterom, że o Holokauście nie wie nic lub prawie nic, a połowa pytanym głosiła tezę, jakoby to Żydzi interesownie używali dziś Holokaustu.

Co gorsza, przez ostatnie dwa lata w rodzimym obiegu publicznym nasila się czysto już antysemicki przekaz. Słuzę, między

innymi, wewnętrznym celem politycznym. Uderza za to w stosunki polsko-żydowskie i jest druzgocący dla dorobku tych, którzy próbowali doprowadzić do dialogu między obu narodami.

W odpowiedzi na te procesy Żydowskie Muzeum Galicja we współpracy z Fundacją Evens i Fundacją Koret usiłuje właśnie przez te debaty podjąć próbę nauczania o skomplikowanej polsko-żydowskiej historii. Partnerem spotkania jest Instytut Judaistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, a partnerami medialnymi między innymi tygodnik „Polityka”, „Gazeta Wyborcza” oraz miesięcznik „Kraków”.

Fragmenty niektórych z debat:
**Sprawiedliwi czy szmalcownicy?
Postawy Polaków wobec Żydów podczas II wojny światowej (25 marca)**

Jakie uwarunkowania historyczne, kulturowe, społeczne decydowały o zachowaniach Po-



Od lewej: Alicja Jarkowska-Natkaniec, Andrzej Żbikowski, Katarzyna Person, Adam Szostkiewicz



Od lewej: Ireneusz Krzemiński, Anna Bikont, Adam Szostkiewicz

laków wobec Żydów w czasie II wojny światowej? Czy pamięć o Sprawiedliwych wśród Narodów Świata jest w Polsce instrumentalizowana?

Prof. Dariusz Libionka (PAN): Władysław Bartoszewski pisał swego czasu, że nastawienie Polaków wobec Żydów po wybuchu II wojny światowej się zmieniło. Że wobec

wspólnego wroga oba narody się zmieniły. Ale najnowsze badania dowodzą, że sytuacja wyglądała niestety inaczej.

Świadczą o tym choćby meldunki sporządzone na użytek Polskiego Państwa Podziemnego. Analitycy konspiracji szybko zauważyli, że nastawienie społeczne wobec Żydów zaczyna się zmieniać. Już przed wojną

Adam Szostkiewicz (tygodnik „Polityka): Nie jestem badaczem relacji polsko-żydowskich, tylko publicystą od lat zajmującym się tym tematem na użytek czytelników prasy tygodniowej wysokiej jakości. Mam silne wrażenie, że trudne tematy w tych relacjach nie przestają być trudne, mimo że w wolnej Polsce dokopywanie się prawdy o nich idzie pełną parą. Wciąż jednak napotyka na wielki opór w kolejnych pokoleniach wchodzących w dorosłe życie. Wciąż trzeba kruszyć mur ignorancji, uprzedzeń, złej woli i niechęci budowany przez różne „reduity dobrego imienia” Polski i Polaków w tej dziedzinie.

Dlatego chętnie przyjąłem propozycję, by poprowadzić w Muzeum Żydowskim „Galicia” cykl spotkań dyskusyjnych o tych tematach. Organizatorzy dobierają rozmówców, ja stawiam proste pytania, aby publiczność mogła jak najwięcej skorzystać z ich fachowej wie-

dzy. Sam z niej korzystam. Jak choćby podczas rozmowy z Dariuszem Libionką i Tomaszem Żukowskim na temat postaw Polaków wobec Żydów podczas II wojny światowej. Obaj badacze nie idą na kompromisy z prawdą: oprócz Polaków ratujących Żydów, byli też szmalcownicy i kolaboranci z Niemcami, wydający Żydów na śmierć. To generalnie niby wszyscy wiemy, ale nie znamy szczegółów ani mechanizmów tej kolaboracji, jak również obecnych prób manipulowania tematem Sprawiedliwych w celu wyciszenia tematu kolaborantów.

Jesteśmy na półmetku cyklu. Ani raz nie zawiodłem się na moich rozmówcach, mam nadzieję, że liczna publiczność także. Przychodzą ludzie w różnym wieku, sporo młodzieży, być może także studenci judaistyki czy kulturoznawstwa. Słuchają w skupieniu, zadają rzeczowe zwykłe pytania, a dyskutanci wyczerpująco odpowiadają.

antysemityzm był silny, ale okupacja jeszcze wzmocniła. Bo choć wielu Żydów walczyło ramię w ramię z Polakami w kampanii wrześniowej, to decydująca okazała się postawa niektórych Żydów na wschodnich rubieżach Polski po 17 września. Ich przychylność wobec wkraczającej tam Armii Czerwonej Polacy potraktowali jako zdra-

dę, zwłaszcza że natychmiast postawy te obrosły różnymi mitami. I te gwałtownie narosłe antyżydowskie uprzedzenia nie zniknęły nawet pomimo tego, że Niemcy zaczęli na niespotykaną skalę prześladować Żydów, a potem przeszli do eksterminacji.

Dr Tomasz Żukowski: Aby zrozumieć sytuację Żydów pod okupacją, musimy przeana-

Jakub Nowakowski, dyrektor Muzeum Galicja: Nasz projekt jest reakcją na znużenie dyskusjami na trudne tematy związane z relacjami polsko-żydowskimi, widoczne wśród części badaczy i – szerzej – części społeczeństwa. To znużenie wynika z częstej obecności tej tematyki w prawniczych mediach – drukowanych i internetowych. Tematy dotyczące polsko-żydowskich relacji są tam obecne nieustannie i – w zależności od potrzeb – używane do ataku, obrony, jako usprawiedliwienie czy wyjaśnienie tego, co dzieje się współcześnie. Wystarczy spojrzeć na okładki prawniczych tygodników. W ostatnich dwóch latach tematy związane z polsko-żydowskimi relacjami były na nich wszechobecne. Skąd się to bierze? Wydaje mi się, że ta swego rodzaju obsesja nie wynika tylko z zainteresowania przeszłością, ale przede wszystkim z niezrozumienia teraźniejszości.

Często w przestrzeni publicznej padają pytania: „Dlaczego Żydzi się tak na nas uwzięli?”, „Dlaczego mamy płacić za zbrodnie popełnione na Żydach przez Niemców?” itd. Nie możemy skapitulować w tej dyskusji, uznać, że wszystko zostało już wyjaśnione i powiedziane.

Jeżeli na spotkanie poświęcone polskiemu antysemityzmowi, czwarty panel w cyklu, przychodzi 300 osób, to znaczy, że ten temat nas jednak nadal interesuje, uwiera, a rolę współczesnych muzeów jest właśnie to: dotykając tam, gdzie boli, zmuszanie do refleksji, snucie opowieści o przeszłości, abyśmy nadal o niej pamiętając, mogli się z niej wyzwolić.

Musimy tłumaczyć, prostować przekłamanie, odpowiadać, również po to, by dać narzędzia do dyskusji tym z nas, którzy na te tematy rozmawiają ze swoimi przyjaciółmi czy członkami rodzin.

lizować ówczesne wzory kultury. Jeśli tylko około 10 proc. Żydów z gett ratowało się ucieczką na aryjską stronę, a i z nich przeżywało tak niewielu, nie wynikało to ze skali szmalcownictwa, ale z tego, że postawa zasadniczej większości wobec ukrywającego się Żyda była postawą wykluczenia ich ze wspólnej przestrzeni. Co najważniejsze: zarówno otwarta przemoc, jak postawy obojętności wpisywały się w ten sam model – wykluczenia Żydów. On zresztą i wcześniej był głęboko zakorzeniony w polskiej kulturze, a podczas okupacji się nasilił i skutkowałam między innymi przemocą i szmalcownictwem.

Strategie przetrwania. Losy Żydów w okupowanej Polsce (15 kwietnia)

Czy zdarzały się przypadki kolaboracji z Niemcami? Czy była to współpraca dobrowolna czy wymuszona? Na czym polegała? Czy po wojnie doszło wewnątrz społeczności żydowskiej do wojennych rozliczeń?

Dr Katarzyna Person (Żydowski Instytut Historyczny): Już w czasie okupacji w prawicowej prasie podziemnej pojawił się wątek policjantów i konfidentów żydowskich oraz Judenratów traktowanych nie jako jedna ze strategii wobec nazistów i próba przetrwania Zagłady, lecz w kategoriach Żydów, którzy współpracują z nazistami i sami się mordują. Teza ta wróciła choćby w kampanii antysemitki 1968 roku. Także ostatnio ujęcie to zaczęło być wykorzystywane w celach politycznych.

Prof. Andrzej Żbikowski (UW): Warto zdać sobie sprawę, że w gettach były zgromadzone masy ludzi – różnych: uczciwych i niekoniecznie uczciwych. Byli tam także złodzieje, chuligani, prostytutki. Ktoś więc musiał pilnować podstawowego porządku w tych wielkich zbiorowościach. Ponadto kiedy tworzone getta, nikt nie wyobrażał sobie, do czego zdolni są naziści i jaki szatański mają pomysł. Nie przez przypadek w skład Judenratów i do władz policji weszli ludzie z ówczesnej elity: często choćby adwokaci. Czym innym był dopiero ostatni etap, choć i tu trzeba zauważyć, że w Wielkiej Akcji w getcie war-

szawskim z 2000 Żydów Niemcom pomagało około czterystu. Zatem 4/5 zachowało się przyzwoicie. Co nie znaczy, że struktur tych nie dotykały rozmaite patologie charakterystyczne dla takich służb, zwłaszcza korupcja.

Dr Alicja Jarkowska-Natkaniec (UJ): W samym Izraelu w latach 50. ubiegłego wieku odbyła się wielka dyskusja wokół ustawy stawiającej przed wymiar sprawiedliwości Żydów, którzy podczas Zagłady zachowali się niegodnie. Problemem była zarówno niejednoznaczność takiego pojęcia, zwłaszcza wobec wyjątkowości sytuacji, jak brak dowodów i ułomność ludzkiej pamięci.

Polski antysemityzm. Źródła i skala antysemityzmu w polskim społeczeństwie (24 czerwca)

Dlaczego notujemy wzrost nastrojów antysemitki w Polsce? Czy jest to rzeczywisty wzrost, czy jedynie większa widoczność dyskursu antysemitki w przestrzeni publicznej, związana z odrzuceniem „politycznej poprawności” i rosnącym przyzwoleniem na tego rodzaju wypowiedzi? Jakie wydarzenia i postawy Polaków budują obraz Polaka antysemitki?

Prof. Ireneusz Krzemiński: Antysemityzm jest znakiem głęboko nacjonalistycznych przekonań. W Polsce wiąże się szczególnie z apologetyczną i megalomańską wizją własnego narodu. Równocześnie narodowy duch, który jest reprezentowany w ostatnich latach przez władzę, jest bardzo tolerancyjny wobec polskiej odmiany faszyzmu, rozumianego nie w kategoriach historycznych, ale jako sposobu postrzegania świata i postulowanego modelu państwa. I choć ta część młodzieży, która głosi takie skrajnie narodowe hasła, stanowi jednak niewielką mniejszość, to jest ona teraz mocno wspierana przez państwo – symbolem są tu Marsze Niepodległości.

Anna Bikont: Antysemityzm nie jest efektem rządów PiS. Istniał w Polsce także wcześniej – i wcale nie był słabszy. Teraz można go jednak wprost wyrażać: w miejscach publicznych czy wśród przyjaciół.

Kolejne dyskusje to:

Spisek. Źródła i rozwój teorii spiskowych dotyczących Żydów

Jakie są źródła stereotypu spisku żydowskiego rządzącego światem? Skąd wzięło się przekonanie o powiązaniu Żydów z finansjery i strukturami władzy?

Udział wezmą: prof. Joanna Tokarska-Bakir i dr hab. Grzegorz Krzywiec
28 października godz. 18.00

Żydokomuna. Żydzi wobec komunizmu, komunizm wobec Żydów

Jak kształtował się stereotyp żydokomuny? Jakie były postawy polskich Żydów wobec

komunizmu przed II wojną światową i po niej? Dlaczego część Żydów zaangażowała się w budowę systemu komunistycznego w powojennej Polsce? Jaki był stosunek władz komunistycznych w powojennej Polsce do Żydów?

Udział wezmą: dr hab. Alina Cała i dr hab. August Grabski
25 listopada godz. 18.00
Żydowskie Muzeum Galicja, ul. Dajwór 18, Kraków

Pełne zapisy dyskusji można znaleźć na facebookowym profilu muzeum.

(NIE) ROZ ŁĄCZNI

TRUDNE TEMATY W RELACJACH POLSKO-ŻYDOWSKICH

PONIEDZIAŁEK 28.10.2019, GODZ. 18.00
SPISEK. ŹRÓDŁA I ROZWÓJ TEORII SPISKOWYCH DOTYCZĄCYCH ŻYDÓW

W dyskusji udział wezmą: prof. dr hab. Joanna Tokarska-Bakir,
dr hab. Grzegorz Krzywiec

PONIEDZIAŁEK 25.11.2019, GODZ. 18.00
ŻYDOKOMUNA. ŻYDZI WOBEC KOMUNIZMU, KOMUNIZM WOBEC ŻYDÓW

W dyskusji udział wezmą: dr hab. August Grabski,
dr hab. Alina Cała

Cykl dyskusji w Żydowskim Muzeum Galicja
Prowadzenie: Adam Szostkiewicz

Więcej informacji: www.galiciajewishmuseum.org FB/zydowskiemuzeumgalicja
Żydowskie Muzeum Galicja ul. Dajwór 18, Kraków Tel. 12 421 68 42

Organizatorzy: GALICJA ŻYDOWSKIE MUZEUM Erens Foundation KORET FOUNDATION

Partner merytoryczny:



Forum Dialogu.

wyborcza

POLITYKA

RADIO KRAKÓW

New Eastern Europe

KRAKÓW

CHIDUSZ.COM

Do kogo się zwraca Kons-TY-tuc-JA

Tekst: Ewa Łętowska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Konstytucja – wersje graficzne słowa podkreślają czasem ukryte znaczenia – posługując się różnymi terminami, określa podmioty, do których się zwraca.

Czasem będą to „obywatele” – na przykład w art. 1: „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli”, albo w art. 67: „Obywatel ma prawo do zabezpieczenia społecznego w razie niezdolności do pracy ze względu na chorobę lub inwalidztwo oraz po osiągnięciu wieku emerytalnego”.

Czasem „każdy” lub „nikt” – jak w art. 31 ust. 2: „Každy jest obowiązany szanować wolności i prawa innych. Nikogo nie wolno zmuszać do czynienia tego, czego mu prawo nie nakazuje”.

Czasem wreszcie „Naród” – tak właśnie, przez wielkie „N” – w preambule lub w art. 4 ust. 1: „Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu”.

W dyskursie politycznym „suwerena” opacznie utożsamia się z aktualną większością parlamentarną, a nie z narodem, jak to nakazuje art. 4 konstytucji.

Czasem konstytucja mówi po prostu „człowiek”: jak w art. 30: „Przyrodzona i niezbywalna godność człowieka i obywatela stanowi źródło wolności i praw człowieka i obywatela” lub w art. 31 ust. 1: „Wolność człowieka podlega ochronie prawnej”.

Konstytucyjny parasol chroni więc niejednako. I nie jest to przypadek. A niewiedza co do sensu różnicowania ułatwia zadanie konstytucyjnym manipulatorom, szermującym ochoczo zarzutami dyskryminacji tam, gdzie jej w rzeczywistości nie ma, albo wyciągającym fałszywe wnioski co do tego, jak działa konstytucja.

Tradycja przyzwyczała nas, że konstytucja określa „prawa i obowiązki obywatelskie”. „Obywatelstwo” to status wymierny: albo się je ma, albo nie. Dawniejsze konstytucje rozciągały swój ochronny parasol tylko nad swoimi obywatelami. Nad obcymi zaś ewentualnie w razie wzajemności.

Rozwój praw człowieka po drugiej wojnie światowej spowodował, że niektóre prawa i obowiązki, bardziej doniosłe dla jednostek jako takich, zaczęto wiązać nie z obywatelstwem, lecz z człowieczeństwem. To przeniknęło do tekstów konstytucji. Tak ma się rzecz z godnością, z wolnościami i prawami osobistymi. Dlatego każdemu gwarantuje się nietykalność osobistą, nikt nie może być poddany torturom czy eksperymentom medycznym, każdy

ma prawo do sądu, każdemu zapewnia się wolność sumienia i religii, nikt nie może być zobowiązany do ujawniania swego światopoglądu, przekonań religijnych lub wyznania itd. Każdemu zapewnia się wolność zrzeszania się albo składania petycji. Jednocześnie jednak tylko obywatelom służy prawo zakładania partii politycznych, tylko obywatel ma dostęp do służby publicznej albo ma prawo do informacji o działalności organów władzy publicznej.

Nie ma więc znaku równości między prawami i wolnościami konstytucyjnymi a prawami obywatelskimi. Te pierwsze mają szerszy zakres.

Naród – słowo wielkie. W przywołanym art. 4 ust. 1 powiedziano, że „władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu”. Co to oznacza? Pomaga lektura ustępu 2 tegoż przepisu, gdzie przezornie dodano, że „Naród sprawuje władzę przez swych przedstawicieli lub bezpośrednio”. Współcześnie suweren nie zmieści się na polu elekcyjnym, a powszechnego plebiscytu od drzwi do drzwi nie da się zorganizować w każdej sprawie.

O przynależności do narodu decyduje historia. Nasza jest długa, skomplikowana i kręta. Decyduje też wspólna kultura oraz samoświadomość. Wspólnotę historii, kultury i świadomości przepełniają spory w dobrej (i w złej) wierze, o świadomą i nieświadomą inkluzję i wykluczenie. Tam jednak, gdzie trzeba być precyzyjnym – dać konkretne roszczenie, skargę czy prawo, ustawodawca unika dumnego słowa na „N”.

W preambule, w długim pierwszym zdaniu, jest mowa o tym, dlaczego i po co „my, Naród Polski – wszyscy obywatele”, uchwalają konstytucję.

Tu zawarto dwie myśli. Że wszyscy obywatele Rzeczypospolitej należą do Narodu. Ale wcale nie znaczy to, że Naród to tylko obywatele. Tej akurat kwestii preambuła nie przesądza, a i samego „narodu” konstytucja nie definiuje.

I druga myśl preambuły: że konstytucję ustanawiają właśnie „my, Naród Polski – wszyscy obywatele”. Bo – przypominam – nie tylko przegłosowano ją w Sejmie i Senacie, ale poddano referendum, a to daje jej mocniejszą legitymizację niż wynikającą z większości w parlamencie. Przypominam z naciskiem, bo w politycznym dyskursie „suweren” często się pojawia. Przy czym odwołanie się do tej koncepcji polega na pewnym tricku retorycznym. Suweren bywa bowiem zredukowany do ucieleśnienia woli wyborców w postaci aktualnej większości parlamentarnej. Podaje się tu argument: skoro w wyborach w parlamencie taka większość przedstawicielska się



Ewa Łętowska jest profesorem nauk prawnych, była pierwszym rzecznikiem praw obywatelskich w Polsce (w latach 1988–1992), w okresie 1999–2002 zasiadała w Naczelnym Sądzie Administracyjnym, a następnie (od 2002 do 2011) była sędzią Trybunału Konstytucyjnego.

Działała w Komitecie Helsińskim, jest członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności,

Académie de Droit Comparé w Paryżu oraz International Commission of Jurists (Genewa).

W 2015 roku otrzymała medal „Za mądrość obywatelską”, przyznawany przez jury związane z miesięcznikiem „Kraków” osobom „kierującym się w swojej działalności publicznej zasadami przyzwoitości i uczciwości”.

Prowadzi blog na portalu konstytucyjny.pl

właśnie ukształtowała, to ta większość ma być ucieleśnieniem suwerena – narodu w konkretnym, codziennym działaniu. Może on zatem robić, co chce i co zadecyduje. Tymczasem przecież ten sam suweren, działając wcześniej i bardziej reprezentatywnie, sobie nadał konstytucję.

W niej powiedziano (preambuła!), że fundamentalne jest:

„poszanowanie wolności, sprawiedliwości, współdziałanie władz” (a nie wojownicze spieranie się, która z nich jest ważniejsza i traktowanie z nieufnością organów i mechanizmów konstytucyjnie „niezależnych” – na przykład sądownictwa);

„dialog społeczny” (a nie bezdyskusyjne włączanie maszyny do głosowania, bez konsultacji i choćby pozorów szacunku dla mniejszości w parlamencie i poza nim);

„zasada pomocniczości umacniająca uprawnienia obywateli i ich wspólnot” (a nie odbieranie samorządom władztwa nad kawałkami terytorium lub branie samorządów złym słowem i głodem).

Suweren nadał sobie konstytucję i powiedział w niej między innymi, że fundamentalna jest „zasada pomocniczości umacniająca uprawnienia obywateli i ich wspólnot” – a nie odbieranie samorządom władztwa nad kawałkami terytorium lub branie samorządów złym słowem i głodem.

W dyskursie politycznym „suwerena” opacznie utożsamia się więc z aktualną większością parlamentarną, a nie z narodem, jak to nakazuje art. 4 konstytucji. Zabieg retoryczny w służbie polityki ogranicza więc i zubaża pojęcie suwerena. Unieważnia konstytucyjny znak równości między narodem i suwerenem. Nic nie słyhać przy tym, aby suweren tak zredukowany miał obowiązek chronienia mniejszości przed arbitralnością większości. I tu tkwi błąd.

Pionierskie i nietypowe

Tekst: Zofia Gołubiew Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

O Muzeum Narodowym w Krakowie można pisać całe tomy – o jego historii, strukturze, zbiorach, ludziach, działalności, osiągnięciach i problemach – dzisiaj spojrzmy na tę wspólną instytucję tylko z jednej, nieoczywistej strony.

Zaproszenie na 140-lecie Muzeum Narodowego w Krakowie wydrukowano złotą czcionką. Wprawdzie nie jest to złoty jubileusz, ale 140 lat to naprawdę bardzo wiele, zwłaszcza że chodzi o największe muzeum w Polsce, mające obecnie kilkanaście budynków, parę ogrodów, zbiory liczące ponad 800 tysięcy, kilkuset pracowników. I wspinała, długą historię! Jak o tym wszystkim napisać w krótkim tekście? Niemożliwe. Zresztą, zapewne z okazji tej rocznicy ukaże się niejedno opracowanie dotyczące MNK i jego dziejów. Postanowiłam więc opowiedzieć Czytelnikom jedynie o wyjątkowości tego Muzeum, o tym, co – według mnie – stanowi, iż jest to instytucja niezwykła.

Pierwsze Narodowe

Zacznijmy od tego, że powstało ono jako pierwsze noszące nazwę „narodowe” na ziemiach polskich podzielonych przez trzech zaborców. Wszystko zaczęło się od obchodów jubileuszu Józefa Ignacego Kraszewskiego w październiku 1879 roku, kiedy to do Krakowa zjechali Polacy z wszystkich zaborów i z emigracji, a obchody rychło zamieniły się w wielką patriotyczną manifestację. Natchniony tą atmosferą, przybyły z Rzymu Henryk Siemiradzki ofiarował swój niedawno namalowany obraz *Pochodnie Nerona*, aby zawisł w świeżo wyremontowanych Sukiennicach i stał się zalążkiem pierwszego narodowego muzeum. Już na drugi dzień, 6 października, poszło w jego ślady wielu wybitnych artystów, którzy darowali swoje dzieła dla przyszłego muzeum. I tak zapoczątkowana została kolekcja MNK, w której *Pochodnie* noszą numer 1, a rada miasta powołała Muzeum do życia, zobowiązując się do jego utrzymania „kosztem Miasta i całego narodu”.

Stwierdzić więc można, że nasze Muzeum zrodziło się z dwóch miłości: do sztuki i do ojczyzny, której nie było na mapach świata. Do 1918 roku, przez prawie 40 lat, było jedynym publicznym narodowym muzeum na ziemiach polskich, dziełem obywateli i artystów, a nie arystokracji ani zaborczej władzy, a chociaż utworzone w Krakowie, długo postrzegane było jako ogólnonarodowe, służące wszystkim rodakom, gdziekolwiek się znajdowali. Było też instytucją zaufania publicznego i dlatego wciąż napływały do niego dary – pojedyncze, ale też całe kolekcje. I tak około roku 1900 zbiory liczyły ponad 10 tysięcy obiektów, a w 1918 ponad 300 tysięcy.

Już na początku twórcy Muzeum jasno sprecyzowali cele, jakim miało służyć – podtrzymywanie ducha narodu i nadziei na odzyskanie niepodległości. Wyznaczyli także rodzaje działań muzealnych, które obowiązują do dzisiaj. W 1883 roku sporządzony został pierwszy regulamin określający zało-

żenia programowe, politykę gromadzenia zbiorów, zasady finansowania instytucji.

Po raz pierwszy...

Padło słowo „pierwszy” – będzie się ono wielokrotnie powtarzać, także w brzmieniu: „po raz pierwszy...”, albowiem charakterystyczna dla MNK jest pionierskość działań w różnych dziedzinach, i to w całej jego historii. W XIX wieku nie tylko opracowano ten pierwszy muzealny regulamin, ale po raz pierwszy, w 1892 roku, wprowadzono bezpłatne wstępy

Muzeum zrodziło się z dwóch miłości: do sztuki i do ojczyzny, której nie było na mapach świata. Do 1918 roku, przez prawie 40 lat, było jedynym publicznym narodowym muzeum na ziemiach polskich, dziełem obywateli i artystów, a nie arystokracji ani zaborczej władzy.

– w każdą pierwszą niedzielę miesiąca, co „wprawdzie pociąga za sobą ubytek w funduszach, jednakże ze względu na pożytek ogólny, na rozpowszechnienie wiadomości, czym jest Muzeum Narodowe, przyznać trzeba, że wpływa dodatnio”. Sto lat później, w 2001 roku, MNK jako pierwsze w kraju wydłużyło godziny otwarcia do wieczora – dotychczas bramy zamykały się o godzinie 15.30. W roku następnym wprowadzono pierwsze bilety rodzinne, a w 2012 zaproszono przez cały miesiąc za darmo „w prezencie od MNK”. To parę przykładów tego, jak Muzeum dawniej i potem robiło ukłon w stronę swojej publiczności, ona to bowiem była dla MNK zawsze bardzo ważna.

Pionierskie było też zawarcie w 1898 roku umowy ze Stowarzyszeniem Weteranów Powstania Styczniowego, na jej podstawie codziennie dwóch weteranów, w mundurach, pilnowało sal muzealnych, a z kolei MNK wpłacało co miesiąc „pewną kwotę” na schronisko dawnych powstańców.

Chłubiło się też nasze Muzeum nagrodami otrzymywanymi w latach 1907–1909 za najpiękniejsze ozdobienie kwiatami balkonów w Pałacyku Czapskich, w konkursie organizowanym przez Towarzystwo Upiększania Miasta Krakowa. Jedną z nagród była rzeźba *Chimera* autorstwa Henryka Kunzeka, do dzisiaj „siedząca” na ogrodzeniu Pałacyku i strzegąca jego numizmatycznych skarbów. Dużo później, nadal przywiązując wagę do znaczenia zieleni, Muzeum rekultywowało i udostępniło gościom pięć-



Józef Łoskoczyński (1857–1928), *Pochód do Sukiennic d. 3 października*. Rysował na miejscu Juliusz Kossak, drzeworyt ilustracyjny, Muzeum Narodowe w Krakowie

ne ogrody: Ogród Mehoffera (2004), w Kamienicy Szołayskich (2005), przy Pałacyku Czapskich (2013), w zakopiańskiej Atmie (2013).

Otwarte i przyjazne

Takie działania były rezultatem „otwarcia Muzeum na widza”, służenia publiczności, a równocześnie promowania instytucji. Pod koniec XIX wieku produkowano już plakaty i pocztówki z reprodukcjami dzieł, a w 1901 roku rozpisany został konkurs na ekslibris MNK, czyli jego pierwsze logo. Gdy w latach 30. przystąpiono do zbierania funduszy na budowę Nowego Gmachu, czyniono to na wiele różnych nietypowych sposobów – organizując koncerty, między innymi Jana Kiepury czy Ady Sari, występy artystyczne i prelekcje popularnonaukowe, wydając kalendarze, sprzedając cegiełki, plakietki i inne pamiątki. Podobne przedsięwzięcia marketingowe rozwinęły się znacząco pod koniec lat 90. i w dwutysięcznych, kiedy to powstał autorski projekt „Muzeum Otwarte i Przyjazne”. Wyprodukowano pierwszy bilet ozdobny, pierwszy muzealny

Bodaj najśłynniejszą akcją MNK było zorganizowanie w 2001 roku pierwszego nocnego zwiedzania – z muzyką i winem – pod hasłem „Noc z Impresjonistami”. Zaowocowało to po trzech latach zainicjowaniem przez Muzeum pierwszej w Polsce Nocy Muzeów, w której wzięły udział wszystkie krakowskie muzea.

podkoszulek – z reprodukcją Szału Podkowińskiego, w 1999 roku pokazały się w całej Polsce pierwsze billboardy – z *Pochodniami Nerona*, a na przykład w roku 2001 MNK wydało płytę z filmem animowanym, po raz pierwszy „ożywiając” *Sto nocnych zjaw* namalowanych na japońskim zwoju, przy okazji wystawy o komiksowości w sztuce japońskiej. Rok 2002 przyniósł pierwszy multimedialny przewodnik na płycie CD, 2004 – pierwsze audioprzewodniki w dwóch językach, a w 2010 było już tych języków pięć, publiczność mogła też w Galerii korzystać z kodów QR, specjalnych aplikacji na telefony, z zabawy dzięki Rozszerzonej Rzeczywistości (Augmented Reality) i z dotykowego zwiedzania na oknach Sukiennic. Z kolei słynna wystawa *Amerykański sen* (2009) miała własną stronę internetową, a w 2011 wydany został pierwszy katalog wystawy na pendrivie.

Od 2004 roku Muzeum wychodziło w przestrzeń miejską: „Galeria na Plantach”, „Na Błoniach”, „Na płocie”; w 2008 powstał na osiedlu Azory mural z reprodukcją dzieła Jaremianki, a w 2012 Mariusz Waras namalował dzieło *M-City 658* na ślepej ścianie Domu Mehoffera. W roku 2011 zainicjowano projekt „Muzeum Forum”, wykorzystując dla sztuki zaniedbany wówczas plac przed Gmachem Głównym, gdzie urządzano między innymi imitację plaży z żywymi palmami, ślizgawkę na butach, pokaz

ogródków przydomowych, eksponowane były też dzieła sztuki.

Bodaj najśłynniejszą akcją MNK było zorganizowanie w 2001 roku pierwszego nocnego zwiedzania – z muzyką i winem – pod hasłem „Noc z Impresjonistami”. Zaowocowało to po trzech latach zainicjowaniem przez Muzeum pierwszej w Polsce Nocy Muzeów, w której wzięły udział wszystkie krakowskie muzea, a w jej rezultacie zawiązała się w MNK jedyna w kraju Stała Konferencja Dyrektorów Muzeów Krakowskich, działająca nieprzerwanie do dzisiaj.

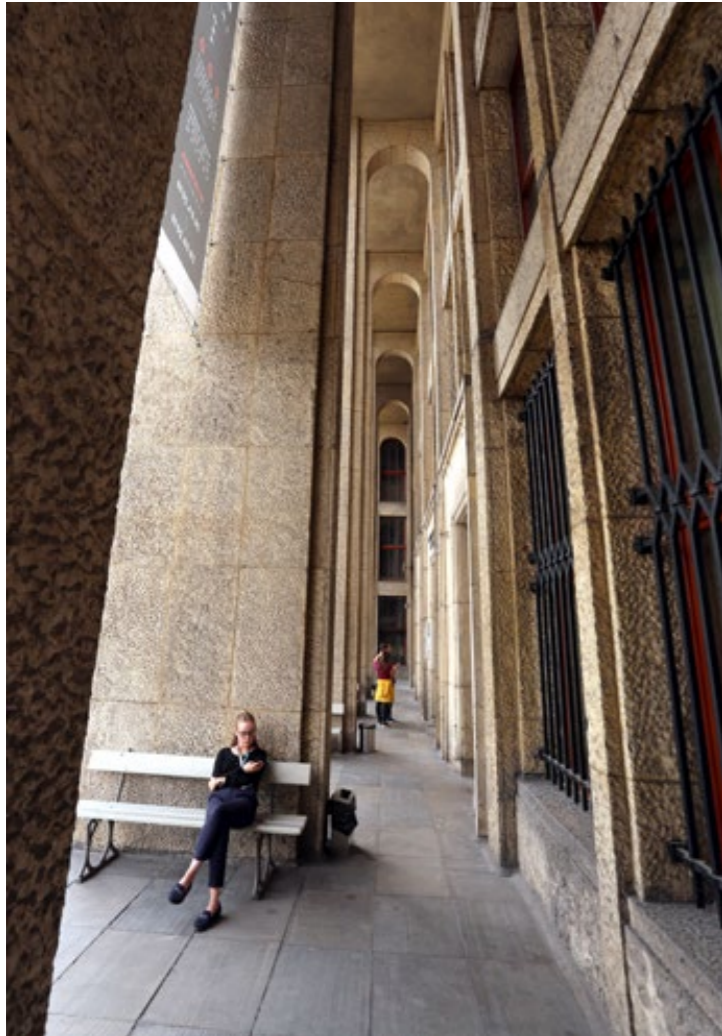
Jedną z cech typowych dla MNK była zawsze, od końca XIX wieku, współpraca z wieloma instytucjami – naukowymi, artystycznymi, ze stowarzyszeniami, w późniejszym czasie także z teatrami, in-



stytucjami filmowymi, muzycznymi, z fundacjami czy NGO-sami, a nawet ze szpitalem w projekcie „Przystanek-Szpital”. Wliczyć tu należy absolutnie pionierskie działania, jakim było przeniesienie dzieł sztuki XIX wieku do Zamku Królewskiego w Niepołomicach i urządzenie tam wystawy, zamiast zamknięcia ich w magazynach na czas remontu Sukiennic (2007). Ta współpraca z Zamkiem i Gminą trwa, a wystawy się zmieniają.

Muzeum włączało się też aktywnie w cudze „niemuzealne” akcje, jak propagowanie recyklingu, zakładanie budek lęgowych w programie „Ratujmy małe ptaki”, różne formy współpracy ze środowiskiem rowerowym czy z akcją „Cudowna moc bukiełków”.

Projekt „Muzeum Otwarte i Przyjazne” obejmował również takie zadania, które nie były troską naszych poprzedników, przede wszystkim udostępnianie instytucji osobom niepełnosprawnym. Dla osób z dysfunkcją ruchu już od 2002 roku zaczęto montować windy i podnośniki, Muzeum otrzymywało kolejne nagrody w konkursie „Kraków bez barier”. Dla niewidomych i niedowidzących, w projekcie „Zobaczyć niewidzialne” (2008) między innymi wydano przewodniki pisane brajlem, dbano również o niedosłyszących, korzystając z języka migowego. Nadzwyczaj interesujące rezultaty dały prace prowadzone w MNK z osobami upośledzonymi mentalnie. Muzeum zdobywało też kolejne tytuły: „Przyjazne maluchom” czy „Przyjazne Seniorom”.



niósł zaś bardzo prestiżowe wydarzenie, gdyż MNK uzyskało status jednostki naukowej – jako pierwsze muzeum w Polsce.

„Sztuka jest jedna”

Tematem wymagającym osobnego, obszernego omówienia jest również nietypowość i inicjatywność Muzeum w jego działalności wystawienniczej, wydawniczej, konserwatorskiej. Dość wspomnieć, że to MNK pokazywało pierwsze wystawy multimedialne, kontekstowe, a także odnoszące się do recepcji twórczości takich artystów, jak choćby Matejko, Wyspiański czy Wit Stwosz. Charakteryzowało się też zawsze traktowaniem sztuki jako całości, zajmowało się więc równie dobrze malarstwem oraz rzeźbą, jak i filmem, teatrem, muzyką, przygotowując niezapomniane wystawy (m.in. *Fellini*, *Kubrick*, *Wajda*) i projekty łączące różne dziedziny twórcze. Pokazało też na początku XXI wieku pierwsze wystawy poświęcone modzie, co podlegało wówczas krytycznej opinii w mediach jako „niegodne” muzeum narodowego.

W działalności wydawniczej wymieńmy tylko, że jako pierwsze w kraju, już w latach 90. rozpoczęło publikowanie książeczek dla dzieci, w świetnej serii „Historie i sztuczki”.

Rok 2000 przyniósł pierwsze pokazy konserwatorskie, a 2004 – utworzenie jedyne w Polsce laboratorium analityczno-badawczego LANBOZ, zatrudniającego oprócz konserwatorów także specjalistów z dziedziny chemii, fizyki, biologii. Wybitne osiągnięcia tej placówki, między innymi w badaniach nad obrazem Leonarda, to również „temat na inne opowiadanie”.

Misja

Muzeum, jak pisałam, powstało z dwóch miłości, ale po roku 1989 nie musiało już na pierwszym miejscu stawiać celów patriotycznych, w oczekiwaniu na wolną ojczyznę. Poddało wówczas rewizji znaczenie słowa „narodowe” w nazwie, i po dyskusjach został po raz pierwszy wpisany w statut instytucji tekst jej Misji. Czytamy w nim między innymi, że za bezcenną wartość polskiej kultury MNK uważa jej trwającą od wieków wielonarodowość i wielowyznaniowość. Przypomnijmy tu choćby wystawy Ormian polskich, Żydów polskich, Huculszczyzny, sztuki Kurdów, a plany obejmowały także sztukę protestantów czy Tatarów.

Próbowano również stale od nowa określać cele, jakim winno służyć Muzeum w niełatwych, zmieniających czasach XXI wieku. Tak o tym pisałam w 2008 roku: „Niewiele nowego musimy wymyślać w stosunku do inicjatyw naszych poprzedników, którzy wytyczyli kierunki działań na ponad stulecie – jeśli z uwagą i pokorą przyjrzymy się ich pracy”.



Zofia Gołubiew – wieloletnia dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, do dziś nazywana „Panią Dyrektorką”. Historyk sztuki, muzealnik, publicystka. Podkreśla: „Nie bawi mnie praca pozorna”. Urodzona w Krakowie, lecz z „Krakowem” związana od niedawna.

Dla codziennej publiczności otwierano kawiarnię – pierwszą w 2005 roku w Kamienicy Szołayskich, tworzone miejsca relaksu, między innymi we wspomnianych ogrodach, zakładano sklepiki z wydawnictwami i pamiątkami własnymi.

Te i podobne działania są dzisiaj w polskich muzeach oczywistością, ale MNK wprowadzało je przed wieloma laty jako pierwsze, początkowo nie zawsze znajdując zrozumienie w środowisku. Można rzec, że z trudem i uporem przecierało ścieżki, dzisiaj będące wręcz autostradami.

Nowe jednostki

Działo się tak nie tylko w kwestiach marketingowych i promocyjnych, ale również w edukacji i w nauce. Po II wojnie, w latach 40., MNK zorganizowało akcję Muzealne Wystawy Objazdowe, dzięki której docierało z informacjami o sztuce do małych miejscowości. W latach 1950–1974 prowadziło unikatowy program Muzeum Podopieczne, służąc swoją wiedzą i doświadczeniem kilku niewielkim placówkom w regionie. Wyjątkowe było założenie w 1962 roku pierwszej wśród muzeów Pracowni Badań Socjologicznych, a w 1964 – Pracowni Ikonografii Krakowa, nadal działającej. W roku 2003 MNK przygotowało coś znacznie więcej niż regulamin, a mianowicie Strategię Działań na lata 2004–2007. Stała się ona, jak i potem następne, swoistym drogowskazem w codziennej pracy instytucji. Rok 2010 przy-



Charles Olivieri-Munroe

Sezon jubileuszowy

Tekst: Anna Woźniakowska Zdjęcie: Klaudyna Schubert

Nowohuckie Centrum Kultury i Muzeum Lotnictwa, kościół św. Katarzyny i sale Muzeum Narodowego... Jesienią Filharmonia Krakowska zaprasza melomanów do różnych wnętrz, bo w jej siedzibie trwa remont generalny. Ale chwilowe niewygody się opłaca. Na jubileusz będzie pięknie!

4 października Filharmonia Krakowska rozpoczyna jubileuszowy, 75. sezon artystyczny. Prowadzący koncert Charles Olivieri-Munroe (na zdjęciu), dyrektor artystyczny Filharmonii, da melomanom to, co najbardziej lubią, a więc muzykę romantyczną. Najpierw uverture do opery *Raymond Ambroise* a Thomasa, nieco zapomnianego francuskiego kompozytora, potem *Koncert skrzypcowy A-dur* Mieczysława Karłowicza, w którym partię solową interpretować będzie Aleksandra Kuls, ulubienica krakowskich melomanów, jedna z najciekawszych postaci młodej polskiej wiolinistyki. A zwieńczy koncert *Te Deum* Hectora Berlioz. Z orkiestrą i chórem wystąpi amerykański tenor Erin Caves robiący w ostatnich latach furorę na europejskich scenach w partiach wagnerowskich.

Ten program to swoiste streszczenie całego sezonu, w którym nie zabraknie i muzyki polskiej (także tej najnowszej), i wielkich form oratoryjnych, i promocji rodzimych ar-

tystów, i spotkania z gwiazdami światowego formatu, i dzieł poważnych (czasem nieco zapomnianych), i muzyki wywołującej uśmiech. Kulminacją będzie oczywiście 7 i 8 lutego 2020 roku, a więc na jubileusz, *IX Symfonia* Ludwiga van Beethovena pod batutą powracającego po latach na naszą estradę Michaela Zilma, wspaniałego interpretatora dzieł wiedeńskich mistrzów. Słuchać jej będziemy w zupełnie innych niż dotąd warunkach, w odnowionej i wreszcie klimatyzowanej sali Filharmonii z rozbudowaną częścią recepcyjną, z powiększonym zapleczem estrady, z windą dla niepełnosprawnych... Ten remont, choć na razie uciążliwy, to piękny prezent dla jakże zasłużonej dla kultury polskiej instytucji i wiernych muzyce krakowskich melomanów.

Koncert inauguruje sezon Filharmonii Krakowskiej, 4 i 5 października, Nowohuckie Centrum Kultury.



Jestem z miasta

Tekst: Magda Huzarska-Szumiec Zdjęcie: Andrzej Pilichowski-Ragno

Miasto nieprzewidywalne, oddające wieloznaczność pewnych momentów i nastrojów, zaskakujące surrealistycznymi elementami. Taki obraz środowiska naturalnego krakowskiego fotografa Andrzeja Pilichowskiego-Ragno wyłania się z jego zdjęć.

Nie jest poszukiwaczem efektownych zdarzeń, które można zamknąć w dobrze skomponowanym obrazie. Nie jest łowcą, który z palcem na spuście migawki krąży po Krakowie, starając się za wszelką cenę ustrzelić wymarzony kadr. Bo duże miasta to środowisko naturalne krakowskiego fotografa Andrzeja Pilichowskiego-Ragno, który od kilkadziesiąt lat realizuje otwarty, czarno-biały projekt „City Landscapes”.

– Żeby zrobić zdjęcie, muszę najpierw coś poczuć, przefiltrować niepowtarzalny moment czy niepowtarzalne światło przez siebie, przez moją wrażliwość, przez mój nastrój, przez to, co już widziałem i czytałem, słowem, przez to wszystko, co sprawia, że fotografia nie rodzi się w pustce – mówi.

W jego streetowych fotografiach niebagatelną rolę odgrywa przypadek. Nigdy nie wychodzi z domu z myślą, że będzie fotografował coś konkretnego. Czeką, aż coś się zdarzy. Ma już na tyle duże doświadczenie i warsztat, że doskonale wie, jakie kadry wyciągać z rozpedzonego filmu ulicy. Można dopatrzeć się w nim inspiracji filmowymi obrazami Federica Felliniego. Jak choćby na zdjęciu zrobionym w ciemnej, brukselskiej uliczce, gdzie z szarości starych kamienic wyrasta nagle biała głowa plastikowego konia. – Fellini wprowadzał z zewnątrz do realistycznego obrazu świata element sztuczności i tego nigdy nie ukrywał. Ja robię odwrotnie. Staram się zobaczyć ten surrealistyczny element w czymś na pozór prostym. U niego taki koń byłby wielki, dziesięć metrów wysokości, podobnie jak u jego ucznia Paolo Sorrentino. Moim zdjęciom trzeba dobrze się przypatrzeć, by dostrzec w nich przełamanie nudnej rzeczywistości – mówi fotograf. I to nie tylko przez sposób pojmowania sztuki, ale i przez fakt, że ojciec An-

drzeja pochodzi z Włoch, a on sam urodził się w Rzymie, gdzie przez pierwszych kilka lat chodził do szkoły.

Potem los zdecydował, że wrócił do Krakowa, tu poszedł do liceum i na teatrologię, a później polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po studiach został na uczelni, będąc asystentem prof. Stanisława Balbusa w Katedrze Teorii Literatury. Jednak już wtedy zaczęło go ciągnąć w stronę fotografii. – Trafiłem na Akademię Sztuk Pięknych do pracowni Zbigniewa Łagockiego, bo miałem tam znajomych. Profesor wsącał w nas miłość do fotografii drogą kropelkową. To odbywało się w kawiarni Rio, przy dobrej kawie – wspomina Andrzej.

Wtedy interesował go głównie akt, fotografia studyjna, portret. Naśladował mistrzów stawiających na ładną estetycznie fotografię. Potem zaczęło się to nieco zmieniać. Pojawiały się zdjęcia odstające od klasycznych kanonów, zdjęcia streetowe, nieprzewidywalne, oddające wieloznaczność pewnych momentów i nastrojów.

Ale nie tylko, o czym świadczy wystawa sprzed paru lat w galerii Olimpia, zatytułowana *Światni czterdziestoletni*. Andrzej sportretował tam swoich przyjaciół, znajomych, którzy tak jak on współtworzą artystyczną i intelektualną atmosferę Krakowa.



Magda Huzarska-Szumiec – dziennikarka, teatrolożka, jurorka Marki Radia Kraków. Redaktorka tygodnika „Kocham Kraków” w „Gazecie Krakowskiej”. Miłośniczka win o wszystkich kolorach...

Andrzej Pilichowski-Ragno urodził się w 1967 r. w Rzymie, na stałe mieszka w Krakowie. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. Ma na koncie wiele wystaw indywidualnych i grupowych, m.in. w Krakowie, Rzymie, Paryżu i Tokio. Prowa-

dzi zajęcia z fotografii na krakowskiej Politechnice. Jest też ilustratorem książek dla dzieci oraz pisma „Świerszczyk”, w którym razem z Anitą Andrzejewską daje drugie życie przedmiotom wyrzuconym na śmietnik czy złomowisko.

Kwestionariusz Prousta po krakowsku to zestaw kilkunastu pytań, które ponoć szybko pokazują osobowość ankietowanego. Proust miał taki w tym udział, że dwukrotnie odpowiadał na pytania swej znajomej. Czasami ta salonowa psychozabawa z przełomu wieku XIX i XX wraca. My nie radzimy traktować jej poważnie.

Główna cecha Twojego charakteru?

Chyba nie umiem na to pytanie odpowiedzieć (ale nadrobię to w pozostałych).

Obecny stan Twojego umysłu?

Lekki chaos (czyli stan obecny, przeszły i pewnie przyszły niestety też).

Co wzbudza Twój obsesyjny lęk?

Staram się nie myśleć o przyszłości – gdybym to robił, pewnie takich rzeczy byłoby sporo. Ale póki się jest w tu i teraz, trudniej wpadać w obsesje.

Co przynosi największe szczęście?

Harmonia. Świadomość, że w życiu jest się we właściwym miejscu.

Kim lub czym chciałabyś być, gdybyś nie był tym, kim jesteś?

Takim Pilichowskim, tylko pięć razy zdolniejszym i 30 razy bogatszym.

Pisarz, z którym chciałabyś się spotkać?

Chciałbym się spotkać z Vladimirem Nabokovem, a jakby nie miał ochoty, to z Italo Calvino (albo odwrotnie).

Malarz, którego obrazy powiesiłabyś na ścianie?

Teraz Balthusa – a konkretnie *Passage du Commerce-Saint-André*, ale pewnie za miesiąc kogoś innego.

Fotograf, przed którego obiektywem bez obaw byś stanęła?

Chyba bym nie miał obaw przed żadnym (oprócz fotografów policyjnych).

Muzea, w których chciałabyś, żeby znalazły się Twoje prace?

Wszystkie, jestem bardzo otwarty na propozycje (no, może poza muzeum tortur i figur woskowych).

Muzyka, bez której nie potrafisz się obejść?

La Bambola, Patty Pravo (koledzy bardzo mnie cenią za wyrafinowany gust muzyczny).

Wymarzone miejsce podróży?

Chciałbym pojechać do Nowego Jorku w latach 50.-60.

Miejsce, bez którego nie wyobrażasz sobie Krakowa?

To wiele miejsc – mają jednak wspólną cechę, to knajpy krakowskie (obecnie puby).

Cechy, które najbardziej cenisz u przyjaciół?

Chyba to, że jeszcze chce im się słuchać moich starych dowcipów.

Cechy, których szukasz u mężczyzn?

Poczucie humoru, szczerłość i tolerancja.

Cechy, których szukasz u kobiet?

Jak wyżej, ale w tym przypadku od szczerości wolę komplementy.

Człowiek, którym na pewno nie chciałabyś być?

Chyba takim, którego można opisać paroma słowami.

Zawód, którego nie wykonywałabyś za żadne skarby świata?

Fryzjer, polityk albo (z całym szacunkiem) proktolog.

(wypytywała mhs)

Chciałam muzeum dla innych

Rozmawiał Paweł Kopeć Zdjęcie: Rafał Sosin/MOCAK

Maria Anna Potocka: Duże i kosztowne instytucje publiczne nie są przeznaczone dla wąskiego środowiska, lecz dla szerokiego kręgu odbiorców, ludzi, którzy nie mają czasu na zgłębianie teorii sztuki.

Paweł Kopeć: Dlaczego muzeum? Przetwarzając się do naszej rozmowy, natknąłem się na informację, że stworzenie Muzeum Sztuki Współczesnej było dla Pani marzeniem, mimo że zostając dyrektorem, miała Pani na koncie prowadzenie kilku galerii sztuki. Co takiego oferuje działalność muzeum, czego nie mogło dać prowadzenie galerii? **Maria Anna Potocka:** Ale to marzenie nie miało wiele wspólnego z moją przyjemnością! Nie myślałam o muzeum dla siebie. Po prostu prowadząc galerie, przebywając na co dzień z artystami i sztuką, zrozumiałam, jak to jest ważne dla życia. Jak inaczej – głębiej, bardziej krytycznie i zarazem bardziej kreatywnie podchodzi się do wszystkiego wokół. Bez sztuki nie widać połowy sensu. Dlatego muzeum jest ważnym narzędziem. Chciałam muzeum dla innych.

Nie umiałem namierzyć momentu, w którym dokładnie angażuje się Pani w powstanie MOCAK-u: pierwszy pomysł powstania muzeum pojawia się w 2004 roku, nominację na dyrektora odbiera Pani w 2010 roku. Czy była Pani zaangażowana od samego początku? Mówi się, że MOCAK jest w całości Pani projektem – ile było w tym rzeczywistości realizacji swojej wizji, a ile dopasowywania się do wymogów miasta?

Nic dziwnego, że Pan nie umiał namierzyć, bo nie dokumentowaliśmy poszczególnych kroków. Najpierw włączyłam się do gorącej dyskusji o lokalizacji. Tradycjoniści walczyli o centrum. Ja od początku uważałam, że Fabryka Schindlera to miejsce wymarzone. Roman Krzysztofik – stanowimy jedną osobę muzealną – zaangażował się w konkurs architektoniczny. Za drugim razem wygrał go Claudio Nardi. Potem opracowaliśmy projekt funkcjonalny. Jeżeli chodzi o sprawy meryto-

ryczne to nadałam im kierunek, wyznaczyłam pola i teraz razem z innymi to realizuję. Miasto nie miało tu żadnych wymogów. Zresztą instytucje kultury są programowo niezależne.

MOCAK powstał na terenie dawnej Fabryki Oskara Schindlera. W jakim stopniu był to świadomy wybór, aby w tej przestrzeni znalazło się muzeum, a w jakim była to po prostu kwestia tego, że takim terenem akurat dysponowało miasto?

To było absolutnie świadome. Chciało tego miasto. A ja uważałam to za najlepszą lokalizację i najlepszy kontekst.

Do sąsiadującego muzeum przyjeżdżają dzień w dzień setki osób, jednak większość z nich raczej nie jest odbiorcami sztuki współczesnej. Ponadto, jeżeli ktoś planuje jednego dnia odwiedzić obie placówki, czekają go zupełnie różne doświadczenia. Czy bliskość Fabryki bardziej pomaga czy przeszkadza MOCAK-owi? A może zupełnie nie ma wpływu?

A skąd to przypuszczenie, że ludzie boją się odmiennych doświadczeń? Zawsze miałam wrażenie, że ich poszukują. Nas codziennie odwiedza kilkaset osób i mamy z Muzeum Krakowa wspólny bilet. Poza tym u nas jest lepsza oferta kawiarniana, więc przepływ mamy obustronny. To sąsiedztwo jest jak najbardziej korzystne.

Pod względem frekwencyjnym działalność MOCAK-u jest niekwestionowanym sukcesem – 138 tys. odwiedzających w ubiegłym roku to bardzo dużo w kontekście sztuki współczesnej. Bunkier Sztuki, druga instytucja zajmująca się sztuką współczesną w Krakowie, w latach świetności nie mogła się pochwalić się nawet 100 tysiącami. Czy potrafi Pani powiedzieć, co składa się na sukces MOCAK-u?



Składa się na to wiele rzeczy naraz. Oferujemy równoległe kilka wystaw. Wszystkie prace mają opisy i wyjaśnienia, co pomaga widzom znaleźć własną drogę do dzieła. Wydajemy rocznie ponad 20 publikacji na różne tematy. W księgarni można kupić świetne, niepowtarzalne, projektowane przez artystów przedmioty. Nasza biblioteka jest jedyną muzealną, która wypożycza książki do domu i sprowadza pozycje potrzebne do konkretnych tematów. Archiwum – obejmujące spory kawałek historii sztuki – jest otwarte. Posiada przestrzeń do pracy i archiwistę, który udostępni i objaśni materiały. Mamy niemal codziennie spotkania dyskusyjne i edukacyjne. Przez okres wakacji otwieramy kino letnie, gdzie można oglądać filmy za złotówkę. Temat wiodący odnosi się zawsze do tematu wystawy z serii „Cywilizacja w sztuce”. Czyli w tym roku do natury.

Sztuka współczesna w popularnym odbiorze jest postrzegana jako coś dziwnego czy w najlepszym wypadku niezrozumiałego – istnieją dziesiątki anegdot o tym, jak ktoś mylił kosz na śmieci z instalacją artystyczną albo na odwrót – czy da się tę percepcję zmienić? Czy sztuka współczesna jest skazana na niszowość?

Muzea same sobie z tym nie poradzą. Potrzebna jest porządna edukacja w szkole. Ale najpierw jest potrzebne przekonanie, że sztuka jest dla człowieka czymś ważnym, wręcz niezbędnym. A takiego przekonania władze zajmujące się edukacją w najmniejszym stopniu nie mają. Kraje dłużej cywilizowane udowodniły, że sztuka współczesna jest pożądanym partnerem codzienności.

Choć podstawowym celem muzeum jest oczywiście popularyzacja sztuki, to spotkałem się z zarzutami, że wystawy w MOCAK-u z perspektywy branżowej są zbyt proste, że o ile

Maria Anna Potocka, Masza. Warszawianka z praktyki, która stała się twarzą sztuki współczesnej w Krakowie. Krytyczka, kuratorka, autorka książek z zakresu filozofii sztuki, twórczyni niekomercyjnych galerii, członkini najpoważniejszych stowarzyszeń artystowsko-krytycznych. Lewicowa feministka, nieustannie zbuntowana, łącząca w sobie postawę menadżerki kultury i artystki. Dziś szefuje Muzeum Sztuki Współczesnej MOCAK – wcześniej była wicedyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski.

Pisać o niej można wiele. Tym bardziej że – w najprostszyc słowach – można ją określić jako człowieka potrafiącego iść pod prąd. Sama o sobie powiada, że „człowiek sztuki nie może być zamknięty ani sfanatyzowany”, ale chuligaństwo – kontrolowane i zintelektualizowane – jest konieczne w kontekście sztuki. To ona w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” (w 2012 roku) potrafiła powiedzieć – a dziś nie jest to myśl górująca nawet w obozie opozycji wobec polityki kulturalno-historycznej państwa, że „nie ma czegoś takiego jak wartości katolickie w kulturze. Nikt nie żyje według religii katolickiej. Ona już w ogóle nie jest obecna w życiu codziennym, co najwyżej w formie ceremonii polegających na jedzeniu, piciu i dawaniu sobie prezentów. (...) To przykre, bo wartości chrześcijańskie to najpiękniejsza spuścizna religii katolickiej”.

Ciesząc się, że udziela nam wywiadu, chcemy także przypomnieć książkę z jej dorobku, niesłusznie niezauważoną w chwili wydania (2010 rok), a wartą przypomnienia w czasach, gdy Polska pogrąża się w otchłań religiancko-narodową.

To, jak mówią niektórzy czytelnicy, nietypowa forma literacka – „esej wnerwiony”. Tytuł: *Wypadek polityczny*. Opisuje coś, co stało się u źródeł dzisiejszego podziału Pol-

ski – polityczną manipulację w czasie po katastrofie smoleńskiej.

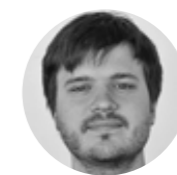
„Do kraju wracało ciało męczennika. (...) Ludzie stali przed Pałacem, palili znicze i chłonęli atmosferę mistycznej świętości, którą podkreślały kobiety żądne znaków z nieba. Miejsce uświetniała scenografia ułożona z kwiatów i zniczy. Głód uniesienia podsycali drżące i płaczliwe głosy reporterów i dziennikarzy. Nikomu nie przeszkadzała ich sztuczność. (...) Wszyscy chcieli znaleźć się jak najbliżej ciała. Płynność kolejki była regulowana, co nie pozwalało na zbyt długą adorację. Żeby te sekundy kontaktu jak najlepiej wykorzystać i przeżyć, kolejkowicze podsycali w sobie głód spotkania z trumnami, nastawiali się na wzniosłość tej chwili, na mistyczną wartość kontaktu. Pytani o wrażenia, drżącym głosem mówili o spełnieniu obowiązku i wyrażali dumę ze swojego wyczynu, który urastał do rangi sukcesu sportowego. (...) Co zrobią ci ludzie ze swoim »wyczynem«, kiedy minie narkotyk oszołomienia, kiedy to zdarzenie zostanie wyprane z nienależnej mu wielkości, stanie się błędem, pomyłką, manipulacją? Jak ci ludzie wyjaśnią sobie własną egzaltację? Psychologia społeczna z grubsza zna odpowiedź. Historia przerabiała już takie przypadki w najróżniejszych wariantach i doskonale nauczyła się manipulować tkwiącą w nich psychologiczną pułapką. Takie sytuacje od dawna były wykorzystywane przez duchownych i polityków jako sposób na wynoszenie pewnych zdarzeń ponad realność. Wyolbrzymienie ofiary w akcie uniesienia wyzwała ciąg uzasadnień. Nie ma znaczenia, że w międzyczasie z wielkości uszło powietrze. Uczestnicy uniesienia nie chcą o tym słyszeć, bo musieliby uznać własną bezradność wobec manipulacji”.

(wb)

laik może się bardzo wiele tam dowiedzieć, to osoba z branży raczej nie ma tu czego szukać. Czy uważa pani takie zarzuty za uzasadnione? Jak znaleźć równowagę między artystycznym a funkcją edukacyjną kolekcji muzeum?

To brzmi jak kolejna niemądra złośliwość środowiska lokalnego w odniesieniu do MOCAK-u. Niektórzy nie mogą nam wybaczyć sukcesu. Bardzo chciałabym z tymi ludźmi porozmawiać o ich wyobrażeniach „profesjonalnych”. Czym można te potrzeby nakarmić? Na każdej z naszych dużych wystaw mogą zobaczyć co najmniej kilkanaście prac wybitnych, rozwijających rozumienie sztuki. Dla badaczy sztuki taka możliwość jest bezcenna. A jeżeli ich wysokie rozumienie sztuki urażają opisy skierowane przede wszystkim do osób niezajmujących się profesjonalnie sztuką, to po prostu mogą ich nie czytać. Poza tym nie należy zapominać, że duże i kosztowne insty-

tucje publiczne nie są przeznaczone dla wąskiego środowiska, tylko dla szerokiego kręgu odbiorców, ludzi, którzy nie mają czasu na zgłębianie teorii sztuki. A już złośliwie chciałabym dodać, że dla środowiska muzealno-galeryjnego z zagranicy nasz program jest absolutnie profesjonalny i nigdy nie słyszałam nawet cienia takich protekcyjnych komentarzy. To dla mnie wielka przykrość. W końcu mamy w Krakowie świetne muzeum, doceniane przez publiczność i fachowców z zagranicy, a lokalni „eksperti” wypowiadają takie opinie.



Paweł Kopeć – gdańszczanin na niewierce, aspirujący komparatysta, językoznawca i polonista. Kolekcjoner płyt winylowych.

Trzy pokolenia Słowianek, czyli choroba nieuleczalna

Tekst: Iga Dzieciuchowicz Zdjęcia: Danuta Samitowska i Wacław Serwin

Wika Bisztyga spędziła w Słowiankach dziesięć lat. Folkloru i muzyki brakowało jej tak bardzo, że wraz z dawnymi członkami zespołu założyła Prasłowianki. W tym roku obchodzą jubileusz 10-lecia.

Wystarczy, że zanucą bałkańską pieśń i chce się płakać. Jest w tym tyle melancholii, że cierpnie skóra. Prasłowianki powstały w 2009 roku. – Trzonem naszego składu są artyści, którzy występowali w słynnym zespole Słowianki w latach 70. i 80. ubiegłego wieku. Dziesięć lat temu zespół obchodził pięćdziesiąty jubileusz. Wpadł mi wtedy do głowy szalony pomysł: byli członkowie nagrają z tej okazji płytę. I się zaczęło – opowiada Wika Bisztyga, która w Słowiankach spędziła kilkanaście lat.

Szybko znajdują się sponsorzy, więc Bisztyga kompletuje kapelę. Ówczesny akordeonista Słowianek Wiesław Dziedziński przyjmuje propozycję. Pozostali muzycy, włącznie

z młodziutkim kontrabasistą Duszanem Korczakowskim, też zgadzają się na udział w niecodziennym eksperymencie. Z głosami jest najłatwiej. Zgłaszają się wszyscy, którzy są na stałe w Krakowie i mogą pochwalić się dobrą formą wokalną. Grupa spotyka się w budynku Szkoły Podstawowej przy ul. Spasowskiego 8.

– Odśpiewaliśmy nasz ulubiony „Słowiankowy” repertuar sprzed lat, który koniecznie należy ocalić od zapomnienia. Jakież było nasze zdumienie, gdy okazało się, że niby wszystko pięknie, ale prawie każdy głos ma swoją wersję wokalną, przy której ob staje. Jak ujednoczyć brzmienie chóru? Na ratunek pospieszył nam absolwent Akademii

Muzycznej w Krakowie Maciek Chmurski – basso profundo dawnych Słowianek. Wykonał tytaniczną pracę. Jego profesjonalizm, zaangażowanie i cierpliwość spowodowały, że wreszcie można było powiedzieć: nagrywamy – wspomina Bisztyga.

Do akcji rusza kolejny „Słowiankowy” bas Wiktor Korczakowski. W branży płytowej pracuje od lat, więc użycza swojego sprzętu i osobiście realizuje nagranie każdej pieśni. Wszystko dzieje się nocami w zaimprovizowanym studiu w Domu Plastyka przy ulicy Łobzowskiej 3. Nagranie, montaż, mastering i w grudniu 2009 roku materiał jest gotowy. Jeszcze tylko tłoczenie, okładka i płyta zatytułowana *Prasłowianki* ukazują się w całej krasie. – Wydawało się, że skoro mamy swoją sentymentalną pamiątkę z dawnych lat, to jesteśmy szczęśliwi i na tym koniec. A tu niespodzianka. Posypały się pierwsze propozycje koncertów: klub Piaskownica na Kurdwanowie, dziedziniec Radia Kraków, Białka Tatrzańska i wiele innych – mówi Bisztyga.

W tym roku zespół obchodzi jubileusz 10-lecia istnienia. Ma za sobą dziesiątki koncertów w Polsce, występował z Trubadurami i Nigelem Kennedym. – Najpiękniejsze jest to, że ciągle się nam chce. Dajemy radość innym, a przede wszystkim tworzymy wspólnotę ludzi kochających słowiański śpiew i muzykę, która zawsze była ponad podziałami. To choroba nieuleczalna. A nasz zespół to taki polski

Buena Vista Social Club. Na jubileusz 10-lecia nagraliśmy płytę, która jest równie piękna, jak pierwsza, gdyż każdy dźwięk szlifowała z nami podpora altów Ania Korczakowska – podsumowuje artystka.

Słowianki podbijają świat

Zespół Słowianki, który zmienił oblicze polskiej kultury folklorystycznej, powstał w 1959 roku przy Katedrze Filologii Słowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Sławista Zdzisław Wagner zebrał grupę kilkunastu utalentowanych studentek. Do folkloru Słowian południowych miał wyjątkową słabość. Krakowska publiczność z miejsca pokochała

Prasłowianki to taki polski Buena Vista Social Club.

ła Słowianki za wybitne głosy i krzewienie tradycji tańców ludowych. Potem pokochała je reszta świata. Zespół wystąpił na międzynarodowych scenach 3122 razy! Pieśni, które są w repertuarze Słowianek, nie usłyszy się nigdzie indziej. Wśród nich są utwory biłgorajskie, kurpiowskie, przeworskie, rzeszowskie, lubelskie, z Górnego Śląska czy górali szczawnickich. Wszystkie odśpiewane jak najwierniej w pierwotnych wersjach. Słowianki mają w dorobku dwa albumy stu-





W tańcu może zdarzyć się wszystko. Odpadają warkocze i halki. Jeśli tancerka jest drobna, to przy przerzucaniu przez głowę lecą korale. Spadają kierpce. Nie szkodzi. Trzeba tańczyć dalej.

dyjne, wydanie japońskie i wiele nagrań radiowych oraz telewizyjnych, między innymi we Włoszech i Francji. Przez 60 lat istnienia zespołu przygodę ze słowiańskim folklorem przeżyło ponad 3300 artystów i artystek. W tym roku zespół będzie obchodził 60. jubileusz.

Najpiękniejsze wspomnienia? Wiktoria Bisztyga dobrze pamięta wyjazd na Sycylię. – To były późne lata 70. Środek lata, kolory, słońce. Piorunujące wrażenie dla ludzi, którzy przyjechali z szarej Polski. Śpiewaliśmy na wielkiej sali, nocowaliśmy w domu parafialnym. W miejscowości Mamojada poczęstowano nas lokalnym przysmakiem: baranim żołądkiem faszerowanym kaszą i krwią. Akurat półmisek z tym daniem postawiono przede mną. Nikt tego nie tknął. Jedliśmy tylko pomidory i popijaliśmy wódeczką. Wszyscy posnęli. Ledwo wstaliśmy na drugi dzień. Podczas występu na widowni nie było żadnych kobiet. Przyszli sami miejscowi kawalerowie. Po prostu chcieli popatrzeć na dziewczyny. Tak mnie to rozbawiło, że za-

miast śpiewać śmiałam się i musiałam zejść ze sceny.

Jak zostać Słowianką?

Trzy czwarte sukcesu to pasja. Trochę talentu i siły woli, by przetrwać kryzysy, które czasem się zdarzają. Nie można stracić entuzjazmu. Podczas przesłuchania sprawdzane są ogólne zdolności muzyczne. Można zaśpiewać piosenkę ludową, ale niekoniecznie. Proste kroki taneczne, klaskanie, rytmika. Bywa, że kandydaci już odebrali wykształcenie muzyczne w swoich rodzinnych miejscowościach. Jednak większość nigdy nie śpiewała pieśni bałkańskich. Wtedy sprawdza się, kto szybciej złapie. Przychodzą osoby, które nigdy wcześniej nie tańczyły. Zdarza się, że są potem w czołówce najlepszych.

Jedyne, co może przeważać przy przesłuchaniach, to wzrost. Dziewczeta muszą mieć przynajmniej 162 cm, ale nie więcej niż 175 cm. Chłopcy: 172–187 cm. Dlaczego? W repertuarze są polskie tańce narodowe – krakowiak, kujawiak, mazur, oberek i polonez. Koło musi się ładnie zamykać, dlatego kwestia wzrostu artystów ma znaczenie. – Każda z nas ma swoje mocne strony. Czasem zdarza się ukłucie zazdrości. Na szczęście w formie zdrowej konkurencji i marzeń, by dorównać koleżance. Gdy któraś miała solówkę, to wiedziałyśmy, że zasłużyła – dodaje Julia Tabor, artystka Słowianek. W zespole dziewczyny rotują, ale chłopcy zostają. Są sumienni, za-



angażowani. Zespołem kieruje dziś Marta Wolff-Zdzieniecka (występowała w Małych Słowiankach i 11 lat w Słowiankach).

Jeśli dziecko jest muzykalne, może zacząć swą przygodę z folklorem od Małych Słowianek. Zuzia Rak została Małą Słowianką, gdy skończyła siedem lat. Dziś ma 19 i przygotowuje się do przesłuchań w Słowiankach. Wiąże się z tym sporo nerwów. Zuzia wciąż odkrywa swój głos, dużo ćwiczy. Ma za sobą pierwsze solówki. – Siła woli i systematyczność są bardzo ważne w karierze śpiewaczki – opowiada Bisztyga. – Scena ma wymagania. Żartujemy, że co się nie dośpiewa, to się dogląda. Występ to przeżycie dla wszystkich zmysłów. Scena uzależnia jak narkotyki.

Urok słowiańskiego folkloru

Długie warkocze sporo wazą i trzeba je doczepiać. Stroje też są ciężkie. Macedoński wazy 12 kilogramów. Piękny, z grubej wełny. Tancerki mają nie lada wyzwanie. A przecież trzeba jeszcze czysto zaśpiewać. Południowosłowiańskie pieśni są trudne, mają inne metrum i rytm. Każda próba coś wnosi. Trzeba być perfekcyjnie przygotowanym na każdy występ. Choćby nie wiadomo, ile człowiek śpiewał i powtarzał figury taneczne, to i tak się stresuje. Słowianki słyną z profesjonalizmu. Baletowe ćwiczenia przy drążku są przez cały rok powtarzane setki razy. Ustawienia głosu artystki i artyści uczą się całe życie.

W tańcu może zdarzyć się wszystko. Odpadają warkocze i halki. Jeśli tancerka jest drobna, to przy przerzucaniu przez głowę leżą korale. Spadają kierpce. Stroje są tak piękne, że aż bolą oczy. Macedońskie, serbskie i bośniackie. Artystki do dziś występują w jedenastu haftowanych sarafanach, które kiedyś zespół otrzymał w prezencie z Rosji. Są też ludowe stroje Macedonii, Białorusi czy Bułgarii.

Dla wielu zespół jest szkołą życia. Absolwenci zostają potem instrumentalistami, aktorami, robią kariery solowe. Ponad 80 osób ma uprawnienia instruktorskie z zakresu tańców narodowych i ludowych. Dla prawdziwych pasjonatów muzyka słowiańska jest całym życiem. Zdarzają się też piękne historie miłosne. Zespół odnotował aż 60 artystycznych małżeństw! Bo w trzech pokoleniach Słowianek zakochać się nietrudno.



Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Codzienniku Feministycznym”. Współautorka książki Bartoszewski. Droga.



Andrzej Pilichowski-Ragno, Bez tytułu, 2015

Wybory w Krakowie 1919 roku

Tekst: Ewa Danowska

Były to pierwsze po odzyskaniu niepodległości wybory parlamentarne, mające na celu powołanie jednoizbowego Sejmu Ustawodawczego. Stanowiły ważny sprawdzian dla wszystkich polskich partii politycznych, okazję na przejęcie władzy i realizację własnej wizji państwa.

Początkom niepodległości towarzyszył chaos polityczny i społeczny oraz gospodarcze wyniszczenie kraju. Polaków różniły sprzeczne orientacje polityczne; ponadto mieszkańcy wywodzący się z poszczególnych zaborów mieli różne doświadczenia, prawa, fobie i aspiracje. Działo kilkadziesiąt partii, a stworzenie w miarę silnego rządu nie było sprawą łatwą. Data wyborów do sejmu została zatwierdzona na mocy dekretu wydanego przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego 28 listopada 1918 roku. Ustalono, że wybory odbędą się 26 stycznia 1919 roku, w niedzielę, a lokale wyborcze będą czynne od godziny 8 rano do 10 wieczorem. Polska została podzielona na 46 okręgów wyborczych. Miastu Kraków wraz z powiatami krakowskim, podgórskim i wielickim przydzielono numer 36, a z tego okręgu miano wybrać ośmiu posłów.

Zgodnie z ordynacją wyborczą przygotowaną przez rząd Jędrzeja Moraczewskiego (który upadł kilkanaście dni przed wyborami), prawo wyborcze mieli wszyscy obywatele państwa bez różnicy płci, wyznania, narodowości czy cenzusu majątkowego, którzy ukończyli 21 lat, z wyjątkiem wojskowych pozostających w służbie czynnej. Wybory miały być pięcioprzymiotnikowe, czyli: powszechne, równe, tajne, bezpośrednie i proporcjonalne.

Wybory do Sejmu Ustawodawczego poprzedzone były gorącą kampanią propagandową. W okręgu krakowskim szczególnie socjaliści organizowali setki wieców i konferencji, nawołując, by nie głosować na krakowską listę nr 5, czyli „milionerów”, a także fanatyków żydowskich oraz „klerykalno-kołtuńsko-inteligenckich”.

Poszczególne grupowania obrzucały się błotem, donosząc o szwindlach i oszustwach przeciwników, walczone o poparcie wyborców poprzez dyskredytację kandydatów przeciwnych opcji politycznych. Liczyły się nie tyle idee i programy ile kwestie ściśle personalne. Jednak do nielicznych kręgów przemawiały argumenty Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, wzywającej do bojkotu wyborów w imię bliskiej już rewolucji.

Partie prawicowe uciekały się do organizowania nabożeństw błagalnych i procesji w intencji odwrócenia klęsk, jakie spadłyby na Polskę w razie zwycięstwa socjalistów czy postępowych ugrupowań chłopskich. Księża grożąc kościelnymi karami, wzywali w czasie kazań do głosowania na określone listy.

W Krakowie zgłoszono jedenaście list, z których ostatecznie do wyborów stanęło dziewięć. Realnie liczyły się tylko trzy: Zjednoczonego Komitetu Krakowskiego, zwanego też Blokiem Katolicko-Ludowym lub Blokiem Narodowym, Polskiej Partii So-

cial-Demokratycznej (PPSD) oraz syjonistów, którym w dzielnicach żydowskich usiłował przeciwstawić się adwokat dr Adolf Gross reprezentujący nurt asymilatorski.

Poszczególne ugrupowania były wspierane przez krakowską prasę. Za listą narodową nr 5 opowiadał się „IKC”, „Głos Narodu”, „Nowa Reforma”, „Goniec Krakowski” oraz „Czas”, a za socjalistami (lista nr 1) – oczywiście „Naprzód”. W dzielnicach żydowskich walka wyborcza toczyła się na ulotki i odezwy, a także poprzez licznie organizowane wiece.

„Nadchodzące wybory są dla wielu osób kwestią zawiłą i wiele dającą do namysłu”

„Nowa Reforma”, 22 I 1919, nr 25, wyd. popołudniowe

Wysokonakładowy dziennik polityczno-informacyjny „IKC” donosił o nadużyciach krakowskich socjalistów, wkładających do swego pisma „Naprzód” kartki z napisanym numerem 1, czyli numerem ich listy wyborczej. Nie przeszkadzało to redakcji „IKC-a” jednoznacznie wskazywać czytelnikom, że należy głosować na listę nr 5, czyli narodowców. Również redakcja klerykalnego i antysemitckiego „Głosu Narodu” głosowanie na tę listę określała jako „najświętszy obowiązek”.

Krakowskie gazety szczegółowo informowały, jak powinno się głosować. Otóż należy udać się do właściwego lokalu wyborczego, których lista oraz nazwiska pełnomocników grup wyborczych podane zostały na rozlepionych w mieście afiszach. Trzeba

„Jutrzejszy dzień rozstrzygnie o tem, czy Kraków jest narodowym, czy też ulega fali czerwonej, jaka od wschodu zaczyna w niego uderzać”

„Głos Narodu”, 25 I 1919, nr 17, wyd. wieczorne

mieć ze sobą dowód tożsamości oraz kartkę wyborczą dowolnego formatu i koloru z wydrukowanym lub własnoręcznie napisanym numerem listy, na którą chce się głosować. Jeżeli na kartce pojawią się jakiegokolwiek dopiski lub podpis głosującego, oddany głos będzie nieważny. W „Czasie” udzielono jeszcze bardziej szczegółowych informacji, a mianowicie – koperty nie należy zaklejać językiem lub śliną, a używać przygotowanej do tego celu zwilżonej gąbki.

ODEZWA!

Obywatele i Obywatelki!

Dzień 26-go stycznia 1919 r. będzie dniem wielkim w naszych dziejach. W dniu tym Naród cały zjednoczy się po długiej niewoli po raz pierwszy w jednym wspólnym czynie: wybierze przedstawicieli swej woli do Sejmu w Warszawie! — Chwila to dla nas olbrzymia, dziejowa!

OBYWATELE I OBYWATELKI!

W dniu tym nie powinno nie zająć takiego, co by rzucić mogło cień, co by ujemnie wpłynąć mogło na swobodne ujawnienie się woli Narodu, co by zamięciło lub zniweczyło to święto, przez szereg pokoleń z utęsknieniem wyczekiwane.

Wzorowy ład, bezwzględny porządek powinny panować w mieście całym, a szczególnie w miejscach wyborów.

Oczy całego świata zwrócone są na Polskę. Ale i przed samymi sobą udowodnić musimy, że dorosiliśmy do swobód konstytucyjnych w Wolnej, Niepodległej, Zjednoczonej, Ludowej Polsce!

My, Straż obywatelska, złożona ze wszystkich warstw społecznych, zawodów i wyznań chcemy w dniu tym w Krakowie być stróżami godności narodowej.

OBYWATELE I OBYWATELKI!

Przejęci doniosłością chwili, poprzyjcie nas swoją współpracą i pomocą, aby w dniu wyborów panował w Krakowie powszechny ład i porządek.

PREZYDYUM STRAŻY OBYWATELSKIEJ:

Dr. Ludwik Schneider

Dr. Emil Bobrowski

Witold Ostrowski

KOMENDA NACZELNA STRAŻY OBYWATELSKIEJ;

Jan Szymański

Tadeusz Franceman, Józef Górecki, Dr. Wiktor Lampe,
Bolesław Raczyński, Antoni Zelt.

W „IKC” zamieszczono informację, że każdy głosujący otrzyma kopertę, do której – stwierdziwszy że jest pusta – włoży kartę, zaklei, a po opieczetowaniu jej przez komisarza wyborczego wrzuci do urny.

W odległości mniejszej niż sto metrów od danego lokalu wyborczego zabronione były zbiegowiska, a także zaczepianie gdziekolwiek wyborców przez agitatorów z zapytaniem, jak kto głosował.

W Krakowie w ostatnich dniach przed datą wyborów panował stan napięcia i obaw, a co bardziej przewidujący handlowcy decydowali się nawet na zabicie deskami okien swoich sklepów. Główna komisja wyborcza dyżurowała w dniu wyborów i w noc powyborczą w szkole św. Scholastyki przy ul. św. Marka.

Wbrew obawom dzień wyborczy upłynął w zupełnym spokoju, na co wpływ mogła mieć bardzo mroźna pogoda. Od rana przed lokalami gromadziły się tłumy wyborców, a porządku pilnowała straż obywatelska i straż robotnicza z czerwonymi przepaskami na ramionach. Agitacja nigdzie nie przybrała niedozwolonego charakteru, oprócz drobnych incydentów wywołanych przez chłopców z czerwonymi sztandarami, którzy wzywali do głosowania na listę nr 1. Wyborcy, którzy udali się do urn rano, musieli odczekać nawet dwie godziny, po południu frekwencja się zmniejszyła, by wzrosnąć pod wieczór.

Do urn wyborczych w Krakowie pośpieszyło 64 064 osoby, co stanowiło 66,7% uprawnionych. Frekwencja była jednak nieco niższa niż w innych wielkich miastach. Prawo głosu w wyborach otrzymały w Polsce kobiety, mogły też kandydować do sejmu, jednak czołowe krakowskie działaczki przyniosły swą aktywność do Warszawy. Co ciekawe, do sejmu kandydowała z Krakowa z listy narodowej, chociaż bez sukcesu, Maria Piłsudska, formalnie wówczas żona Naczelnika Państwa.

Wybory w mieście wygrał Blok Narodowy – lista nr 5 (45,1%), socjaliści (lista nr 1) uzyskali 30,2% głosów, a w dzielnicach żydowskich wybory zakończyły się zdecydowanym zwycięstwem syjonistów – lista nr 4 (16,9%). Na listę pod nazwą Grupa Obywateli, których kandydatką była Zofia Norkowa, zgłosiwały w Krakowie jedynie cztery osoby.

Jak podano w krakowskiej prasie – 30 stycznia, czyli w czwartek, o godz. 8 wieczorem zakończono zliczanie głosów w okręgu wyborczym nr 36, wyłaniając ośmiu posłów: Ignacego Daszyńskiego, Franciszka Bardela, dr. Emila Bobrowskiego, Zygmunta Klemensiewicza, prof. Władysława Grabskiego, Franciszka Wójcika, Jana Kantego Fedorowicza oraz dr. Izjasza Thona. Lista bloku narodowego i socjaliści zdobyli po 3 mandaty, stapińszczycy – 1 oraz syjonisci – 1. Podano też, że w całym okręgu nr 36 na około 155 tys. osób uprawnionych do głosowania, do urn przystąpiło 118 312 osób.

„Czas” dodał, że do kancelarii wyborczej znajdującej się w magistracie zgłosiło się przed wyborami kilkadziesiąt osób ze Lwowa i wschodniej Galicji celem wpisania ich na listy w Krakowie. Okazało się to niemożliwe wskutek braku normalizacji politycznej tych ziem.

Kilka dni po wyborach „IKC” z satysfakcją donosił na swych łamach, nieco na wyrost, że socjaliści ponieśli w wyborach sromotną klęskę, mimo stosowania terroru, który przed niczym się nie cofnął,

Wyborcy! Towarzysze! Towarzyszki okręgu wyborczego Kraków!

Wszyscy jak jeden mąż idziemy do urny wyborczej, by głosować na listę kandydatów polskiej partii socjalno-demokratycznej Nr 1. Kto wstrzymuje się od wyborów, ten przechyla szalę zwycięstwa na korzyść naszych wrogów!

„Naprzód”, 22 I 1919, nr 18

paszkwilami, oszczerstwami i karczemnymi napaściami na kandydatów obozu narodowego.

Także na łamach „Czasu” dokonano podsumowania wyborów w Krakowie, twierdząc, że prawie połowa osób z inteligencji i mieszczaństwa nie poszła do urn, a to nie przez opieszałość, ale uważając kandydatów znajdujących się na listach niegodnych do zaakceptowania, nie znajdując tam ludzi wybitnych, bezstronnych, zasłużonych, lecz politycznych agitatorów.

W skali kraju wybory do Sejmu Ustawodawczego wygrali Narodowi Demokraci, czyli endecja z koalicjantami, zdobywając 136 mandatów, następnie PSL „Wyzwolenie” – 58 mandatów, a trzecie miejsce socjaliści zdobywając 30 mandatów.

„Wyborcy! – dziś macie zdecydować!
Czy naród polski dorósł do niepodległości,
Czy sejm warszawski będzie wyrazem jedności
narodu polskiego,
Czy wyrazem jedności socjalistycznej
międzynarodówki!”

„IKC”, 27 I 1919, nr 25

W dawnej Galicji na pierwsze miejsce wysunął się PSL-„Piast”, zdobywając około 34% głosów, za nim szła PSL-Lewica – 19%, PPSD – 18%, endecja – 11%, a Stronnictwo Katolicko-Ludowe – 9%.

Demokratycznie – chociaż na raty wybrany, gdyż ziemie polskie wyzwalały się stopniowo – Sejm Ustawodawczy był konglomeratem posłów, z których przytłaczającą większość cechował entuzjazm i kompletny brak doświadczenia politycznego.

Sejm Ustawodawczy zainaugurował swe obrady 10 lutego 1919 roku, a spełnieniem jego zadania było uchwalenie w 1921 roku polskiej, nowoczesnej konstytucji marcowej.



Ewa Danowska – dr hab. historii, PAU. Kraków w przeszłości... jest o czym pisać!

Październik 1919

Tekst: Krzysztof Jakubowski



Andrzej Pilichowski-Ragno, Bez tytułu, 2019

✂ **1 października.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „W poniedziałek w południe zeszli się na polach krowoderskich Jan Rataj i Wojciech Zbroja, którzy żyli ze sobą w nieprzyjaźni. Wywiązała się zaraz gwałtowna sprzeczka, podczas której Rataj żelaznymi widłami pchnął kilkakrotnie Zbroję w piersi. Pogotowie Ratunkowe odwiozło Zbroję w stanie beznadziejnym do Szpitala św. Łazarza”.

✂ **1 października.** Notatka z tej samej kroniki: „Drogie bobrowe futro oraz czapkę z perskich baranków skradł niejaki Józef Jakubiak z Podgórze. Policja go aresztowała, a podczas rewizji znaleziono u niego wytrychy i inne przybory złodziejskie”.

✂ **2 października.** „Samochody jeżdżą po mieście z niedozwoloną szybkością, skutkiem czego ciągle zdarzają się przypadki przejechania. We wtorek o godz. 2.50 po południu, na ul. Kościuszki automobil wojskowy przejechał 80-letniego weterana 1863 roku Maksymiliana Uchomskiego. Nieszczęśliwy doznał złamania lewej nogi i licznych kontuzji na głowie. Pogotowie przewiozło go w stanie ciężkim do Szpitala św. Łazarza” – ubolewał „Głos Narodu”.

✂ **2 października.** „Niefortunne włamanie miało miejsce w biurach kahału na Podgórze, gdzie nieznanymi sprawcami obrabiali pracownice kasę wertheimowską i po dostaniu się do wnętrza nic nie znaleźli. Z zemsty za tak przykrą siurpryzę zanieczyścili lokal” – relacjonował reporter „IKC”.

✂ **4 października.** Jak za „Gazetą Lwowską” podała „Czas”: „Minister Spraw Wewnętrznych zamianował byłego dyrektora policji w Krakowie, Rudolfa Krupińskiego, radcą namiestnictwa”.

✂ **5 października.** „Wyścigi kolarskie urządził Krakowski Klub Cyklistów i Motorzystów w dn. 19 bm. na przestrzeni Podgórze-Mogilany. W program wejdą cztery biegi. Wpisy do biegów przyjmuje do 15 bm. p. Garzyński, ul. Sławkowska 6” – zachęcał „Głos Narodu”.

✂ **5 października.** Z kroniki „Czasu”: „Adam Bieniaszewski, lat 38, inżynier przy regulacji Wisły, zamieszkały w Krakowie przy ul. Smoleńsk 18, strzelił do siebie w nocy z czwartku na piątek i zranił się w okolicy serca. Następnie wyskoczył oknem na bruk z II piętra i poniósł śmierć na miejscu. Desperat cierpiał w ostatnim czasie na rozstrój nerwowy”.

✂ **9 października.** „We wtorek nad ranem przychwycono w hotelu City złodzieja, który usiłował włamać się do jednego z pokoi, zajętego przez oficera francuskiego. Aresztowany nazywa się Feliks Dziedzic, jego współnik

zbiegł. Jak informuje policja, w hotelu tym poprzednio też miły miejsce kradzieże u oficerów francuskich” – donosił „Głos Narodu”. Na przełomie lat 80. i 90. XIX wieku, w miejscu skromnych parterowych zabudowań, w sąsiedztwie Wawelu, przy ul. św. Gertrudy, powstały kilkupiętrowe budynki, przeznaczone wkrótce na hotele. Największy z nich – ukończony jako ostatni (1898) – otrzymał nazwę Royal, a pozostałe dwa – Metropol (później City) i Union. Dziś cały kompleks nosi nazwę Royal.

✂ **10-11 października.** Prasa rozpisywała się o strajku pracowników technicznych krakowskich teatrów, który zakończył się szybko spełnieniem żądań podwyżki płac.

✂ **10 października.** „Czas” zamieścił komunikat: „Dnia 6 bm. skradziono z Muzeum Narodowego z sali Stanisławskiego studium tego artysty przedstawiające rzekę wijącą

„Urząd zwalczania lichwy w Krakowie jest już w stadium organizacji i niedługo ma rozpocząć działalność. Kierownikiem tego urzędu ma zostać sędzia, dr Frąckiewicz” – podała „Nowa Reforma”.

się w skrzętach i ginącą w oddali, z gęstymi chmurami na horyzoncie. Obrazek malowany olejno na kartonie, na odwrotnej stronie napis: Kijów 1905; wysokość 16 cm, szerokość 22. Za ujęcie złodzieja i odzyskanie obrazu wyróżnacza się nagrodę 500 koron”.

✂ **11 października.** Dzienniki przyniosły wiadomość o wyborze rektora UJ na rok szkolny 1919/20. Został nim prof. wydziału prawa Stanisław Estreicher.

✂ **11 października.** Jak odnotował „Czas”: „Rada Miasta uchwaliła wydzierżawić konsystorzowi książęco-biskupiemu w Krakowie obszar 4227 m² w Dębnikach, pod budowę kościoła barokowego, na lat 10”. Na tym samym posiedzeniu uchwalono likwidację Straży Obywatelskiej.

Prowizoryczny kościół służył mieszkańcom Dębnik do 1938 roku, kiedy ukończono murywaną świątynię. Barokowy kościół usunięto dopiero po ostatniej wojnie.

✂ **13 października.** „Urząd zwalczania lichwy w Krakowie jest już w stadium organizacji i niedługo ma rozpocząć działalność. Kierownikiem tego urzędu ma zostać sędzia, dr Frąckiewicz” – podała „Nowa Reforma”.



Kinoteatr Opieka przy ul. Zielonej 17 (dziś Sarego) spłonął wraz z wytwornie urządzone wnętrzem w kwietniu 1924 roku. Wcześniej działał tam pierwszy krakowski kabaret Etablissement Friedman (później Colloseum). Widokówka, 1912, archiwum autora



Teatr Bagatela powstał po przebudowie domu mieszczącego mieszkania i restaurację. Prezentowana tu fasada przetrwała do listopada 1940 roku. Fot., 1930, NAC



Wilhelm Feldman (1868–1919), historyk literatury i dramaturg. Pastel Stanisława Wyspiańskiego (domena publiczna)

✂ **13 października.** „Mieszkańcy II i III piętra w śródmieściu zwracają się do Wodociągów Miejskich z zażaleniem, że od dłuższego czasu zupełnie wody nie posiadają. Oprócz niewygody, iż po wodę trzeba schodzić na parter, brak wody przykro daje się we znaki ze względów higienicznych, gdyż ustępy nie są przepłukiwane. Stan ten trwać dalej nie może, mieszkańcy płacąc za wodę, mają prawo ją posiadać na każdym piętrze” – odnotował „Głos Narodu”.

✂ **13 października.** Z kroniki „Głosu Narodu”: „W sobotę o godz. 3 po południu, 80-letnią Taubę Bernstein, zbierającą węgle na torze kolejowym w Podgórzu i głuchą z powodu podeszłego wieku, przejechał pociąg, rozcinając ciało na dwie części. Zwłoki odwieziono do Zakładu Medycyny Sądowej”.

✂ **15-16 października.** Reporter „Czasu” opisywał przebieg zawodów hippicznych, jakie odbyły się na polach Olszy. Mimo deszczu i chłodu licznie dopisała publiczność stęskniona widać za taką rozrywką.

Kraków posiadał w latach 1891–1913 liczący niemal 2,5 km tor Towarzystwa Międzynarodowych Wyścigów Konnych. Powstał on dzięki przychylności władz miasta na terenach pomiędzy parkiem Jordana i dzisiejszą ul. Piastowską. Teren toru zagospodarowało (od 1922) TS Wisła.

✂ **16 października.** Anons z „IKC”: „Pianisty (stki), siły tylko pierwszorzędnej, rutynowanej poszukuje natychmiast kino Opieka, ul. Zielona 17”.

Kino Opieka spłonęło w 1924 roku i nie zostało odbudowane. W jego miejscu stanęła (1938, modernistyczna kamienica. Ulica Zielona nosi dziś imię Józefa Sarego.

✂ **16 października.** „U wylotu ul. Bożego Ciąła na plantacjach Dietlowskich, godz. 4 po południu, tłum złożony z kilkuset chałciarzy i surdutowych »neutralnych«, zbitych w gęstą masę poruszającą się nerwowo, machającą rękoma, szwargoczącą w żargonie – to »czarna giełda« krakowska, zbiorowisko paskarzy, aferzystów, handlarzy pieniądzem i wszelkich tego rodzaju pasożytów. Ile miast w Polsce – z wyjątkiem Poznańskiego – tyle »czarnych giełd« mniejszych i większych. Czy nie znalazłby się sposób specjalnego opodatkowania tych szkodliwych darmozjadów?” – pytał „Głos Narodu”.

✂ **17 października.** Z kroniki policyjnej „Czasu”: „W środę o godz. 4 po południu wezwano Pogotowie Ratunkowe na ul. Podbrzezie 5, gdzie do mieszkania Marii Linhardt, żony listonosza, wtargnęło kilku bandytów, grożąc jej rewolwerami. Jeden strzelił do niej, zadając ranę w okolicy prawego oka. Wystraszona kobieta wyskoczyła oknem z I piętra i odniosła liczne kontuzje na całym ciele. Po opatrzeniu odwiozło ją pogotowie do Szpitala św. Łazarza. Bandyci zbiegli”.

✂ **18 października.** „Wczoraj po godz. 7 rano zaczął padać gęsty śnieg, topniejąc od razu na

ulicach w wielkie kałuże. Ten pierwszy groźny zwiastun zimy powinien przypomnieć różnym radom aprowizacyjnym, by obudziły się z martwoty i prócz białych nad ciężkim czasem, zajęły się gorliwie zaopatrzeniem miasta w żywność i opał” – przestrzegali „IKC”.

✂ **19 października.** Niezwykle uroczystą oprawę miały bogato relacjonowane przez dzienniki obchody Święta Zjednoczenia Armii. W uroczystościach uczestniczyli m.in. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski (także naczelny wódz), dowódca Błękitnej Armii gen. Józef Haller, dowódca Armii Wielkopolskiej gen. Józef Dowbór-Muśnicki oraz prymas Polski Edmund Dalbor. Po mszy w katedrze wawelskiej i mszy polowej odprawionej przez bpa Stanisława Galla na Rynku Gł. odbyła się defilada wojsk. Uroczystości kontynuowano w Teatrze im. Słowackiego i Teatrze Powszechnym. Wieczorem J. Piłsudski podjął gości obiadem w Grand Hotelu, a następnie na raucie urządzonym na jego cześć w Sukiennicach.

✂ **20 października.** W prasie ukazały się relacje z uroczystości w auli UJ, gdzie Józef Piłsudski dokonał oficjalnego otwarcia Akademii Górniczej.

✂ **25 października.** W przebudowanym domu u zbiegu ulic Karmelickiej i Krupniczej otwarto Teatr Bagatela. Na inaugurację wystawiono sztukę Gabrieli Zapolskiej *Kobieta bez skazy*. Dyrektorem i zarazem właścicielem teatru był Marian Dąbrowski, do którego należał „IKC” – wszystkie dzienniki odnotowały udane otwarcie.

✂ **26 października.** Jak podała „IKC”: „Poświęcenie kamienia węgielnego pod kościół parafialny w Dębnikach, przez ks. bpa Sapię, odbędzie się w niedzielę 26 bm., o godz. 10 rano”.

✂ **27 października.** Dzienniki przyniosły wiadomość o śmierci Wilhelma Feldmana, krytyka i historyka literatury, redaktora miesięcznika „Krytyka”. Jako znany orędownik asymilacji Żydów, sam przyjął chrzest na łożu śmierci.

✂ **29 października.** Z kroniki „IKC”: „Wczoraj na dworcu kolejowym Joskowi Rozmaitemu z Kongresówki, jadącemu do poboru wojskowego, ukradł Mordko Poznański walizę, którą się przez chwilę opiekował. Wczoraj Rozmaity przybył do Krakowa i na jednej z ulic poznał Poznańskiego. Złodzieja aresztowano, ale walizy nie odzyskano”.



Krzysztof Jakubowski – krakus, publicysta, miłośnik i popularyzator historii Krakowa. Autor m.in. dwóch tomów felietonów *Kraków na starych widokówkach* oraz książki o historii krakowskich kawiarni i cukierni *Kawa i ciastko o każdej porze*.

Historia prawej ręki

Tekst: Paweł Głowacki Zdjęcia: Grzegorz Kozakiewicz

Czwartek

Pewnego poranka, ubierając się przed wyjściem na ćwiczenia, nastoletni Bogusław Schaeffer spostrzegł nagle, że koszula się skurczyła w praniu, ale skurczyła się dziwnie jakoś, wybiórczo, jednostronnie. Guziki zapiął bez trudu, szwy nie drażniły pach, plecy nie czuły ciasnoty, długość była w porządku, a mankiet lewego rękawa po staremu okrywał lewy nadgarstek. Tak. Lecz mankiet prawego rękawa kończył się dwa, albo i trzy centymetry nad prawym nadgarstkiem. Symetria przepadła. Kiedy to było? Może właśnie na początku, w Opolu roku 1948 albo nawet 1949. Od 1946 Schaeffer uczył się równolegle – gry na skrzypcach oraz w liceum matematyczno-fizycznym. To nie sprzeczność. Muzyka jest przejrzystą konstrukcją, podobnie jak rachunek różniczkowy bądź

Szczerść finezyjnych zmysłów.
Prawda krańcowej fikcji. Zrodzone
w snach nieziemskie, zwiewne rzeczy,
oblekane materia idealnie sztuczną
i ukazwane na scenie. W trzech tych
zdaniach tkwi cały teatr Schaeffera.

krystaliczne wzory ruchu ciał lub działania sił. Ale skąd nagle krótszy rękaw o poranku?

Sobota

W przeciwieństwie do algebry, nauka gry na skrzypcach jest mozołem również fizycznym. Należy ćwiczyć, ćwiczyć i jeszcze raz ćwiczyć długimi godzinami każdego dnia, z profesorem i samotnie w domu – po prostu trzeba się solidnie namachać smyczkiem. Co grywał, co próbował grywać wtedy Schaeffer? Był muzycznie genialny, może wtedy grywał skrzypcowe Mount Everesty, co od ręki ze smyczkiem wymagają dynamiki godnej skrzydła kolibra? Diabelne *Kaprysy* Niccolò Paganiniego? Tegoż demona legendarne *Rondo z dzwonkiem*? Zupełnie szalone fragmenty *Koncertu skrzypcowego D-dur op. 77* Johanna Brahmsa, koncertu, który w *Cudzoziemce* Marii Kuncewiczowej próbowała okiełznać nieszcześnie Róża Żabczyńska? Jedno pewne – to nie był dowcip rękawa. Wiele, wiele lat później Schaeffer wyzna Joannie Zając sedno: „Czy pani wie, że od gry na skrzypcach

mam jedną rękę dłuższą, prawą oczywiście, jak dentysta! Mój krawiec zawsze musiał się porządnie namęczyć, dlatego w *Aktorze* właśnie krawcowi powierzam ważną rolę, mój hołd złożony sztuce krawieckiej!”. I dalej doda jeszcze: „Jestem nietypowy i chciałbym nim

pozostać. Nie tylko jako autor, nawet jako odbiorca!”.

Niedziela

W tym zdarzeniu, w tej ręce wydłużonej przez maestrię Paganiniego bądź Brahmsa rzeczywiście tkwi sedno. Sztuka zmienia, lecz nie

ki Schaeffera, także, a może zwłaszcza jego sztuk teatralnych, które pisał piórem trzymanym w dłoni tej samej, w której trzymał smyczek, borykając się z doskonałością Paganiniego lub Brahmsa. Pierwsze Schaeffera konstrukcje sceniczne – *Audience* i *Scenariusze*, na czele z bez mała już mitycznym... dla



zbiorowo. Nie masy, plemiona, społeczeństwa. Nie liczbę mnogą. Zmienia nie ludzi. Zmienia pierwszą osobę liczby pojedynczej – parę oczu, parę uszu, podniebienie, mózg. Jedną rękę, nie las gnatów na jedno kopyto. Sztuka jest zabawą intymną, nie stadną – i to jest sedno sztuki

nieistniejącego, lecz możliwego aktora instrumentalnego, do dziś od lat czterdziestu, o ile przesadą jest stwierdzenie, że od pięćdziesięciu, granym przez Jana Peszka na globie całym – tworzył jako utwory muzyczne, precyzyjnym rachunek różniczkowy. Wspomniany



Krawiec tak powiada w sztuce Aktor: „Wie pan, kiedy spodnie są jak ulał? Wtedy, gdy pan się rozkraczy, a leżą jak na księżcu Walii, naturalnie w czasach, kiedy się jeszcze dobrze ubierał. Teraz chodzi w dżinsach”. Sztuki Schaeffera są właśnie tak skrojone. Ból w tym, że dziś w dżinsach łązi nie tylko książkę Walii.

Wtorek

Dziś w dżinsach, powiedzmy – symbolicznych dżinsach, łązi teatr prawie cały, gdyż ulica cała szemrze dziś dżinsami, a teatr pragnie być jak ulica. Co tam „jak”! Teatr maniackalnie pragnie być ulicą, tylko że pod dachem. Jedną z namiętności Schaeffera był twórca *Ulissesa*. Wielbił Jamesa Joyce’a za obojętność, bezlitosną i doskonałą obojętność, jaką Joyce miał wobec I wojny światowej, grzmiącej za jego plecami, gdy konstruował przepastny, wielokrotnie szwajcarski zegarek *Ulisses*. Brak litości Schaeffera dla dżinsów na scenie był potężny. Teatr polityczny. Teatr socjologiczny. Teatr jak jeszcze ciepła gazeta poranna z sensacjami na pierwszej stronie. Teatr – domowy zestaw majsterkowicza (piła, młotek, wiertło, gwoździe, klej do wszystkiego), niezbędny do naprawienia każdej ułomności świata. Teatr pocuczający, karcący, umoralniający, rozliczający i piętnujący. Teatr ostro za, a nawet przeciw. Teatr jako rzutki publicysta trzymający palec na pulsie najgorętszych spraw społecznych, czyli teatr-jętka jednodniówka. Teatr – proste lustro, bez cienia finezji małpujące wielkie kawały prawdziwego życia. Prościej i krócej mówiąc – ołowiany nie teatr, wyrób teatropodobny, prosty niby drut i groteskowy jak niegdysiejsze napoje jabłkowe o smaku pomarańczowym albo odwrotnie. Powrót socrealizmu. Schaeffer nie mógł się nadziwić, że w tak w sumie krótkim czasie tak wielu artystów sceny, reżyserów i dramaturgów było w stanie stoczyć się w aż taką trywialność estetyczną, w coś zupełnie wyczerpanego z metafory, tajemnicy, niedopowiedzeń, finezji i lekkości. Ale jeśli nie dżinsy – to co w zamian? Stara odpowiedź.

Czwartek

Oprócz Joyce’a i innych jeszcze, choćby Samuela Becketta, w wielkiej rozmowie-księdze z Joanną Zając *Muzyka, teatr i filozofia Bogusława Schaeffera* twórca *Aktora* wciąż wraca do Szekspira. Czytał go od zawsze – pewnikiem już wtedy, gdy prawą rękę mu wydłużali Paganini i Brahms. Wracił do sztuk jego po wielokroć, nie mógł więc nie znać tej pamiętnej wymiany zdań w *Jak wam się podoba*. ANIELKA: „Ja tam nie wiem, co to takiego ta poezja. Czy to uczciwe słowo albo dobry postęp? Czy to aby prawdziwe i szczerze?”. LAKMUS: „Jako żywo, nie. Najszczerza poezja to właśnie największe zmyślenie”. I nie mógł nie powtarzać sobie tych ze *Snu nocy letniej* słów TEZEUSZA. „Poeta w szale natchnienia to wznosi / Oczy ku niebu, to znów wbija w ziemię. / A gdy imaginacja mu podsuwa / Domy-

śły nieznanych rzeczy, jego pióro / W kształt je obleka i zwiewne nicości / Przyszpila nazwą do miejsca w przestrzeni”. Oto są odpowiedzi stare jak teatr, tylko że porzucone.

Piątek

Szczerść finezyjnych zmyśleń. Prawda krańcowej fikcji. Zrodzone w snach niezemskie, zwiewne rzeczy, oblekane materią idealnie sztuczną i ukazywane na scenie. W trzech tych zdaniach tkwi cały teatr Schaeffera. Uporczywie powtarzał banał, że istotą sztuki jest sztuczność, nie lita prawda z realnego życia na choma wyciągana za włosy ułożone wedle najaktualniejszej mody. Powtarzał banał, tyle że w epoce sztuki scenicznej pęczniejącej realnymi dżinsami nie był to banał, jeno jakiś dziwoląg, kuriozalny i w konsekwencjach swych jakże mało ambitny twór językowy.

Sobota

Sztuka jest sztucznością finezyjną, a jedynym dla sztuczności miejscem dobrym do życia jest teatr, sala koncertowa lub komnata dla ekspozycji – miejsca z reguły bez okien, bez widoku na ulicę, bez szczelin dobrych dla przejścia szmeru portek firmy Lee bądź Wrangler. Co dzieje się na scenie – dzieje się tylko na scenie.

Sztuka zmienia, lecz nie zbiorowo. Nie masy, plemiona, społeczeństwa. Nie liczbę mnogą. Zmienia nie ludzi. Zmienia pierwszą osobę liczby pojedynczej – parę oczu, parę uszu, podniebienie, mózg. Sztuka jest zabawą intymną, nie stadną – i to jest sedno sztuki Schaeffera.

I między sztucznością a widownią rozgrywa się ta co zawsze partia, trwa to samo co zawsze spotkanie – jednej osoby liczby pojedynczej, Schaeffera choćby, z drugą osobą liczby pojedynczej, na przykład z tobą. Zawsze tak, nawet kiedy na widowni pełno, że szpilki nie wciśniesz. Gdyż, jak mawiał Adolf Rudnicki, ludzie do teatru wchodzi tłumnie przez jedne wrota, lecz w istocie jest tak, jakby każdy z osobna wchodził samotnie przez drzwi przeznaczone tylko dla niego. A później samotnie siedzisz w gęstym tłumie, próbując na kanwie oglądanej, słuchanej bajki cudzej, pełnej tajemnic i niejednoznaczności, opowiedzieć sobie, bo komu innemu?, bajkę własną. Niemą bajkę o tobie.



Paweł Głowacki – krytyk teatralny i recenzent kultury, postać barwna.

Tu i teraz

Rozmawiał Janusz M. Paluch Zdjęcie: archiwum własne poety

Jan Biela: Żadne muzy, natchnienie, świece, brzdąkanie na gitarze! To nie ja!

Janusz M. Paluch: Inżynier chemii i poezja – ciekawe zestawienie... Czyżby się Panu inżynierowi rząd dusz zamarzył? Po co Panu poezja?

Jan Biela: Czesław Miłosz pod koniec życia z ironią zauważał, że aktywność literacka, zwłaszcza twórczość poetycka, to jednak uczestnictwo w jakiejś „operze mydlanej, „turnieju garbusów”. Sądzę, że wielu artystów, może z wyjątkiem malarzy i rzeźbiarzy, taki garb posiada. Mam tu na myśli pewną ułomność, którą chce się w jakiś sposób zrekompenzować. Ja nie mam talentu poetyckiego. Potrafię posługiwać się słowem i umiem „zrobić” w miarę przyzwoity wiersz. Rząd dusz (śmiech), też pan wymyślił... To tylko kompleks nie do końca ukształtowanego humanisty!

Pańskim „garbem” jest wykształcenie techniczne?

Tak. Z natury jestem humanistą. Kiedyś studia humanistyczne kojarzyły się z zawodem nauczycielskim. A ja chciałem zostać lekarzem. Pan pamięta te czasy, kiedy trzeba było mieć nie tylko wiedzę, ale i dobre – najlepiej robotniczo-chłopskie – pochodzenie, za które otrzymywało się dodatkowe 14 punktów?! Mój tata był zwykłym krawcem w Myślenicach. Rzemieślnik, wówczas podejrzana prywatna inicjatywa – prawie kapitalista! Na medycynę zabrakło dwa punkty... a mogło być nawet o 12 więcej.

Żałuje Pan? Mogłoby wtedy nie być Jana Bieli poety...

Nie uważam się za poetę. Jestem typowym hroskopowym „bliźniakiem” – o wielu i zmieniających w czasie zainteresowaniach. O dużo lat starsi bracia: jeden ekonomista, drugi nauczyciel i pisarz, a ja poszedłem na politechniczną, przemysłową chemię, może by pokazać rodzeństwu, że mogę być inżynierem. W życiu tak się jednak układało, że kręciłem się wśród malarzy, rzeźbiarzy, literatów, architektów...

Skąd u Pana bierze się poezja?

Żadne muzy, natchnienie, świece, brzdąkanie na gitarze – to nie ja...! Opisywanie nastrojów, stanów ducha mnie kompletnie nie interesuje. Zawsze szukałem styczności między metafizyką i nauką. Żeby być poetą, trzeba mieć słuch literacki, a ja trochę jestem nim obdarzony. Potrafię zrobić – tak jak i wiele innych rzeczy – poprawny warsztatowo wiersz.

I to mi przynosi satysfakcję. Nie cenię metafor. Przed laty nad twórczością współczesnych poetów szczególnie pastwił się krytyk literacki Jan Marx, wyśmiewając naiwność stosowanych metafor. Od tamtego czasu unikam metafory na rzecz poszukiwania takiego układu słów, aby cały wiersz sam był jedną spójną metaforą. Dosłowną przenośnią w świat myśli i idei. Bo świat materialny, z całym bogactwem, mam na wyciągnięcie ręki i nikt nie musi mi go stwarzać przez opis. Z jednej strony metafora odkrywa nieoczywiste strony rzeczywistości, z drugiej jest perfidnym szatańskim kłamstwem, bo potrafi stworzyć coś, co niekoniecznie jest prawdziwe. Uważam, że należy szukać prawdy, bo prawda obiektywna istnieje, ale nie za pomocą metafor. Chyba że uznamy, iż jedynie kłamstwa są w naszym świecie prawdziwe.

Czy poezja jest narzędziem do poszukiwania prawdy?

Oczywiście! W tomie wierszy *Poza słowem* nie użyłem słowa „dusza”, a jest to poezja dotycząca obszarów metafizyki – o duszy. W moim kolokwialnym rozumieniu tego pojęcia dusza nie mieści się w sercu ani w emocjach. Jej miejsce jest w mózgu. Ktoś powie, że to herezja. Absurd! OK. Szukam duszy w mózgu, szukam duszy w słowie. Świat materialny postrzegam jako absurdalny. Bliski mi manicheizm. Bywa, że skłaniam się ku deizmowi, czyli Bóg wprowadził mechanizm świata w ruch, dał człowiekowi wolną wolę i musimy sobie z tym jakoś radzić. Interesuje mnie drugie dno tego świata. Jak to się stało, że istnieje coś, a nie nic. Ale interesuje mnie też drugie niebo, które jest obietnicą dla ludzi wierzących, chrześcijan, mistyków Wschodu itp. To, co jest pomiędzy, to tylko barachło... Czyli bieda... Nie chciałbym o swoich wierszach powiedzieć, że są nihilistyczne, choć raczej w tym kierunku się skłaniają. Nie napawam się optymizmem, ale staram się pokazać, że z tym doczesnym życiem można sobie jakoś radzić. Artur Nowaczewski, krytyk literacki związany z „Toposem”, napisał o moich wierszach, że „ta poezja jest modlitwą mózgu”. I jestem mu za to dożywotnie wdzięczny. W swoich wierszach, nazwijmy je konceptualnymi, staram się odsłaniać wartości tradycyjnej metafizyki, która przecież dzisiaj bywa powszechnie kwestionowana.

Czy w przypadku poezji studia chemiczne okazały się Panu w jakikolwiek sposób przydatne?

Mogą uzasadniać moje inżynierskie czy rzemieślnicze podejście do konstrukcji wiersza. Weźmy na przykład substancje organiczne. Dzisiaj mamy do czynienia z ponad milionem bardzo różnych związków chemicznych zbudowanych tylko z siedmiu pierwiastków. W zależności od tego, jak są ze sobą związane atomy tych pierwiastków, jakie tworzą łańcuchy, jaką mają budowę przestrzenną, w jakich formach izomerycznych występują – odpowiadają im różne własności, w tym właściwości użytkowe. Czyż nie można doszukać się w utworze poetyckim właśnie takiego chemicznego podobieństwa? Mamy przecież określoną liczbę liter w alfabecie, liczbę samogłosek, najczęściej powtarzających się sylab itp. To takie atomy i pierwiastki, tylko że językowe. Można z nich stworzyć różne dzieła – substancje literackie. Bardzo krótkie lub rozbudowane. O różnych właściwościach. Podobnie jak w chemii – czasami bardzo cenne i piękne same w sobie. Ale też trujące, śmierdzące albo przyprawiające o nudności i mdłości. Stąd też moim wierszom bardzo blisko do poezji lingwistycznej. Próbuję tworzyć takie fenomeny związków słownych, które pozwoliłyby dotrzeć do kantowskiego noumenu, czyli „rzeczy samej w sobie” opisywanej słowem. Cieszy mnie gra słowami, znaczeniami. U mnie równoprawne są twierdzenia: „słowo” dla mnie nie znaczy nic i „słowo” jest przece-nione, chodzi, że przewartościowane. Cenię tak zwaną „poezję konkretną” i plastyczną sztukę konceptualną. Balansuję między aforystyką a krótką prozą.

Jak Pan sobie radzi z poezją innych, sięga Pan czasem po pejczy krytyka literackiego...

Żaden pejczy! Piszę czasami niedługie recenzje. Jeśli czyjaś twórczość mnie poruszy. Nie tylko literacka, również plastyczna. Spore emocje u mnie wywołuje malarstwo Stanisława Rodzińskiego i Tadeusza Boruty, dlatego pisałem o wystawach ich prac w Krakowie. W recenzjach staram się zwrócić uwagę na grunt filozoficzny, na jakim zasada się konkretna twórczość. Jeśli nie potrafię tego z wiersza odczytać, to uważam że szkoda czasu na podziwianie samego warsztatu, którego wartość formalną niech oceniają filolodzy.

Proszę określić obraz poezji Pana otaczającej...

Znowu za Czesławem Miłoszem, raczej szukam formy bardziej pojemnej, która nie byłaby ani poezją, ani prozą. Doceniam poezję metafizyczną, która wyrasta z wiary w Boga i w dostrzeganiu jednak piękna tego świata. Autorów anglojęzycznych. Fascynuje mnie również fenomen Dylana Thomasa, którego słuchać przychodziło tysiące ludzi! Dlatego nie odpowiada mi, skądinąd obiektywnie wartościowa, poezja Jana Polkowskiego. Bliżej mi do poezji Wojciecha Wencła czy Adama Zagajewskiego. Z drugiej strony niewątpliwym mistrzem myśli, słowa i warsztatu jest dla mnie Różewicz. Bliski jest mi Józef Baran, ale również Tymoteusz Karpowicz i Mariana Bocian. Dla czystej przyjemności czytam Jerzego Pilcha... Ma tak wyrafinowany styl, jest doskonały (śmiech). To poezja prozy. Gorzej ze światopoglądem. (śmiech)

Pan też rzeźbi?

Okazjonalnie wykonuję prace rzeźbiarskie w drewnie. Niewielkie figuratywne, ale o uproszczonych, może (chciałbym) wysublimowanych kształtach postaci. To jednak praca fizyczna, która naprawdę odpręża. Jestem takim wyrodkiem, który nie uważa się za poetę, nie uważa się za rzeźbiarza, nie chce być chemikiem, ale... potrafi zrobić coś konkretnego. Dlatego nie kwapiłem się do tej rozmowy.

Trzeba się promować...

W jakim celu? Każdy wiersz – nie tylko mój – za chwilę będzie, ba już jest, trupem. Bije w nim sztuczne serce, tłoczy moją zimną krew w krwioobieg czytelnika.

To po co tworzyć?

Liczy się tylko tu i teraz...



Janusz M. Paluch – jest krytykiem i animatorem kultury (m.in. współinicjatorem Nagrody Krakowska Książka Miesiąca oraz redaktorem naczelnym kwartalnika „Cracovia Leopoldis”).

Jan Biela

Człowiek w pelerynie

Uliczny żebrak przysiadł
był na wąskim parapecie
piwnicznego okna

kloszard pozostawał
w całkowitym bezruchu
i nie dawał żadnych oznak życia

podobnie jak ja vis a vis
w kawiarnianym ogródku
na fotelu przy filiżance kawy
z twarzą odważnie wystawioną
na słoneczne strzały

z licznych przechodniów
żaden nie zamierzał dorzucić
grosza do plastikowej biedy
przezroczystego kubka
sprytnie przydrutowanego
do wykrzywionej chorobą dłoni

raczej odwracali głowy
(w moją jasną stronę)

łagodnie falujący wiatr
przywiewał od pobliskiego parku
zmięte banknoty liści i ścielił
mały dywanik u stóp biedaka

delikatnie poruszała kapturem
i połamami przeciwdeszczowej peleryny
w którą mimo słonecznej pogody
szczelnie opatulony był człowiek

złudne stwarzając pozory życia

Głód postu

Piekarz piecze chleb
wie że będą głodni

nasyceni

poeta pisze wiersz
bo pości

ży-je
że-by
tu-mrzeć

z pragnienia

Piękna definicja

ks. Tischnerowi

„Na początku była pustka”.
– Czyżby?

– Na początku nie było
początku ani końca.

Wszystko było przezroczyste.
Nic nie miało imienia.
Bóg nie dawał cienia.
Światło i ciemność
były zmieszane.

Było pięknie
do jednorazowego użytku

Postoświecenie

Z japońską precyzją
ogłoszono koniec historii

również wielu uwierzyło
w finisz białego człowieka
pochodzącego od małpy
koniec koła
okazał się jednak pozorny

historia bardzo się lubi
powtarzać do znudzenia
coraz lepiej widać

że małpa
pochodzi od człowieka

Cracovia

Dumne miasto bez królów
do którego prowadzi tylko jedna droga
zgoda – przez Floriańską Bramę i ulicę
kiedyś Jana dzisiaj świętego
przed półwiekiem było ani dobre ani złe
wyniosłe – dopokąd byliśmy my
byli oni – obcy
nie-znajomi

Miasto było nasze i nasze były skrzydła
sztandary berła buławy i korony a słońce
po drodze z Wawelu na Kopiec zagłębiało
„Pod Płachtę” na duże piwo również
można było liczyć w Krzysztoforach
fasolkę w „Barcelonie” i późne resztki w „Pikolo”
dziewczyny bananowe w „Rio” potem „Vis a Vis”
w połowie drogi przerobili szatnię w „Jaszczurach”
na kantor wymiany złotych rubli na dolary
dolary na euro wolne miasto na wolny rynek
w końcu bez ogródek zakaz palenia od zaraz
z dymem poszło wszystko i w smog się obróciło
w matowych lustrach drzwi trudno
rozpoznać twarze w maskach pomylić
zmarszczki z makijażem duchy z obcymi

w jedynym miejscu przy którym waruje
wyliniały wilczur czasu – którego czas
jakby się nie miał które czas wybrał sobie
za dom – w „Rio” puste krzesło i ekspres
czeka na ostatniego podróżnego

Sen mara

Kwaciarka spod Sukiennic
nad ranem miała sen
Czesław Miłosz śnił się jej
napity jak wawelski smok
dźwigał kosz pełen róż
daleko za nim się włókł
niejaki Marcin stoicki
z naręczem pawich piór
jakby nigdy nic spływają
rymy jak deszcz
z poetyckiej rynnicy
przyda się różom
poranny prysznic
na otrzeźwienie

Widok z nieba

Moja Ojczyzna na szkolnym globusie
ma wielkość muszowego gówna
i kręci bąki według własnej osi

na tęczowej mapie Europy
ma wielkość kropelki krwi

na planie Polski mój dom
zasłania Pałac Kultury



Jan Biela (ur. 1952 w Myślenicach) – poeta i rzeźbiarz. Ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Myślenicach oraz Wydział Chemiczny Politechniki Krakowskiej. Autor licznych publikacji – wierszy i recenzji w prasie codziennej i w czasopiśmie, m.in. w „Czasie Krakowskim”, „Gazecie Wyborczej”, „Nowych Książkach”, „Życiu Literackim”, „Miesięczniku Literackim”, „Kulturze”, „Radarze”, „Nowym Wyrazie”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Gościu Niedzielnym”, „Tygodniku Powszechnym”, „Przeglądzie Powszechnym”, „Więzi”. Wielokrotnie nagradzany w konkursach literackich, m.in. w trzeciej edycji Warszawskiego Konkursu Poetyckiego im. ks. Józefa Baki, Konkursie Poezji Religijnej im. ks. Józefa Tischnera czy Konkursie im. Leopolda Staffa.

Mieszka w Myślenicach.

Laurka dla kompozytora

Tekst: Maria Malatyńska Zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz

Zbigniew Preisner uważany jest za jednego z najgłośniejszych twórców muzyki ekranowej i pracuje na całym świecie. Ma w swoim dorobku kompozycje do ponad 50 filmów i niezliczoną liczbę nagród na międzynarodowych festiwalach. Szkoda więc, że w sercu kraju, czyli w Krakowie, jest coraz mniej widoczny.

Czy dlatego, że wyprowadził się na „provincję” lub zagranicę, by w ciszy komponować? A może i dlatego jest mniej widoczny, że nie ma teraz w naszym mieście tej łatwości spotkania, jak wtedy, gdy istniał łączący nas wszystkich punkt na mapie, czyli Piwnica Pod Baranami? Wspaniała kuźnia talentów i miejsce artystycznych odkryć. Czy pamiętamy ironiczną balladę o marszałku Koniewie, w której arcyważny, domniemany wywiad z twórcą

dzie gry na fortepianie i gitarze, ale chodził do szkoły ogólnokształcącej, jego studia uniwersyteckie to historia i filozofia, więc czy to przypadek, czy jakaś wewnętrzna siła uczyniła z niego zawodowego kompozytora? Wszak pielęgnował to swoje amatorstwo! Mógł skończyć niejedną szkołę muzyczną. Ale wygląda, jakby nie chciał jakimkolwiek warsztatem skazić swojego naturalnego, wewnętrznego żywiołu, pewnie zwanego talentem.

Pod tym względem Preisner jest fenomenem. Ale też jest artystą, który miewa niezwykle, przez sam los przynoszone szczęście. Jak na tacy. Potrafi je chwycić!

Jego pierwszym szczęściem, krótkim i tragicznie zakończonym okazał się Krzysztof Kieślowski. I to z czasów, gdy nasz znakomity dokumentalista stał się fabularzystą i w specyficznych fabułach zaczął szukać duszy człowieka. Jego emocji. Chciał odczytywać w reakcjach ludzi to, co nieuchwytnie, nienazwane. To był ten okres w twórczości Kieślowskiego, kiedy był najbardziej nagradzany i najgłośniejszy. To wtedy pojawiły się sławne do dziś tytuły: *Bez końca*, *Podwójne życie Weroniki*, *Krótki film o zabijaniu*, *Krótki film o miłości*, cały *Dekalog* i wreszcie filmy ostatnie, czyli *Trzy kolory: Niebieski, Biały, Czerwony*.

Wszystkie te tytuły – to jest także Preisner u Kieślowskiego.

Bo ten dziwny, metafizyczny okres twórczości Kieślowskiego przypada właśnie na jego kontakt z Preisnerem. Nikt nie wie, dlaczego to tak zaiskrzyło. Kto kogo zainspirował?

Dwaj ludzie zmienili wtedy chyba twórczość Kieślowskiego: scenarzysta Krzysztof Piesiewicz i kompozytor Zbigniew Preisner. Obaj równocześnie u Kieślowskiego zadebiutowali: z jednej strony adwokat, prawnik, obrońca ludzi w stanie wojennym Krzysztof Piesiewicz, który jako scenarzysta wzbogacił tematykę filmów, a z drugiej młody kompozytor, autor jedynej wcześniej oprawy muzycznej dla filmu, czyli *Prognozy pogody* Antoniego Krauzego, która jeszcze niewiele zapowiadała, a już potrafiła zaintrygować poważnego, skupionego Kieślowskiego.

Wszyscy, którzy badali kiedykolwiek twórczość Kieślowskiego, są zgodni, że dla tego dokumentalisty na początku muzyka była po prostu podkładem pod obraz. Mu-

Preisner miał inny od wszystkich rodzaj startu zawodowego: jako kompozytor był amatorem! Ale wygląda, jakby nie chciał jakimkolwiek warsztatem skazić swojego naturalnego, wewnętrznego żywiołu, pewnie zwanego talentem.

pomnika, przerywany był słynnym refrenem, śpiewanym przez wszystkich: „Marszałek Koniew, Koniew, Marszałek Koniew, Wielki jest! Wielki jest!”. To Preisner napisał do tego muzykę, a wywiad napisała, jak często w Piwnicy, rzeczywistość. Ale najważniejszy był pomnik, któremu „oddawano cześć”, bo pomnikiem Koniewa był Zbyszek Preisner. Ówczesną posturą, ze świetną charakterystyką i mimiką pasował idealnie. Do dziś możemy być pewni, że był lepszy od oryginału.

Czemu o tym wspominam? Nie tylko dlatego, że to było artystycznie dobre, ale także, by przypomnieć, że późniejszy kompozytor ma właśnie takie pochodzenie! Pochodzi z Piwnicy pod Baranami. Tym się szczyci do dziś. To było jego życie. A jak chętnie sam mówi, jego uczelnia: muzyczna, aktorska, życiowa. Ona ośmieliła go, dała mu inspirację, ale dała mu także dystans do własnych poczynań artystycznych. Zobaczył, że obok muzyki genialnych piwnicznych kompozytorów Zygmunta Koniecznego, Jana Kantego Pawluśkiewicza, Andrzeja Zaryckiego i kilku innych, jego muzyka też jest słyszalna. A więc on sam może zaistnieć jako kompozytor! Wciąż jednak musi się uczyć.

Preisner miał inny od wszystkich rodzaj startu zawodowego: jako kompozytor był amatorem! W dzieciństwie uczył się wpraw-



siała być, to była. Potem zaczyna się to zmieniać, przy okazji fabuły. Ale dopiero Preisner wszedł w opowiadanie reżysera z całym żywiołem niewykorzystanego jeszcze talentu i z przekonaniem, że to właśnie muzyka i tylko ona jest duchowością, metafizyką i emocjonalną siłą dla obrazu. Bo obraz zaledwie „widać”, a muzyki nie widać, ale się ją „czuje”, ona jest nerwem dla obrazu, jest jego życiem. I natychmiast potrafił zbudować taki emocjonalny kontekst dla zdarzeń ekranowych muzyką właśnie, że widziało się więcej i głębiej. Już w pierwszym ich wspólnym filmie *Bez końca* (1985 rok, stan wojenny!), gdzie była i obrona strajkującego robotnika i dylematy prawnika, i śmierć prawnika i jego pojawienie się w obrazie w charakterze ducha, i jeszcze spóźniona miłość żony, i wreszcie jej histeryczna rezygnacja z życia... i jeszcze kilka innych spraw. To właśnie muzyka uporządkowała obraz, stworzyła logikę przekazu i dała wiarygodność psychologii i protestowi politycznemu. Pamiętam, że już wtedy zrodziło się podejrzenie, że kompozytor nie tylko z muzyką wchodzi do filmu, ale jest współdramaturgiem opowieści. Jego muzyka stawała się nie tylko emocjonalna, ale i narzucała kierunek myślowy. Niemal zawsze... patetyczny. Dopiero po latach powie Preisner, że każdy film ma swoją muzykę w sobie, wystarczy ją tylko wydobyć. Na początku było raczej tak, że zanim się ją ewentualnie wydobydzie ze środka filmu, trzeba siłą, emocją i samym żywiołem dźwięku pokazać, że ona tam jest.

Dalsze filmy Kieślowskiego były pod tym względem charakterystyczne. Najbardziej ceniłam i lubiłam dwa z nich. Bo one potrafiły z muzyki uczynić równorzędnego bohatera filmu. To były akurat takie filmy, w których muzyka była nie tylko motywem wydobywającym nastrój, dramat, emocję, ale była również immamentnie obecna na ekranie. To pamiętne *Podwójne życie Weroniki* (1991) i *Trzy kolory: Niebieski* (1993). W tym pierwszym wypadku muzyka spajała dwie opowieści, tworzyła metafizyczną baśń o kosmicznych bliźniaczkach. A obecna w samym obrazie (jedna z bliźniaczek jest solistką w chórze, wykonującą tę patetyczną opowieść dźwiękową) stawała się równocześnie nosicielką tajemnicy, przestrzeni psychologicznej, nie do końca rozpoznanej, ale głęboko wzruszającej, a więc tego wszystkiego, co było duszą tego filmu. Nawet sam Kieślowski był zdumiony siłą tego utworu wokalnego, który tak uniósł jego film w nieprzewidywalne regiony.

Drugi tytuł, czyli *Trzy kolory: Niebieski*, także od początku zakładał obecność muzyki w tekście obrazu, bo bohaterem, który tragicznie odszedł, był kompozytor. Film jest piękną opowieścią o żałobie i o wychodzeniu z niej. O sile życia. Ale znakiem owego pełnego wyjścia z żałoby jest muzyka. Kompozytor, czyli ekranowy bohater przed śmiercią nie dokończył swojego największego dzie-

Kompozytor nie tylko z muzyką wchodzi do filmu, ale jest współdramaturgiem opowieści.

ła, *Hymnu dla Zjednoczonej Europy*, i teraz wdowa, wraz z asystentem męża, kończy ten utwór w jego imieniu. Utwór jest muzycznie różnorodny i pełny, w emocji patetycznej, oparty na tekście z Pierwszego listu św. Pawła do Koryntian, a w filmie obecny jest zarówno w obrazie (papier nutowy, częściowo zapisany), jak i w dźwięku (nawet w wykonaniu obszernego cytatu na flecie, przez bezdomnego muzyka – a w tej roli krakowski muzyk Jacek Ostaszewski), a także potem w procesie komponowania, przez bohaterów filmu, a wreszcie w wielkim orkiestrowym wykonaniu na końcu obrazu. Przypominam, że to był film francusko-polski z 1993 roku, czyli na 11 lat przed wstąpieniem Polski do Unii Europejskiej polski kompozytor w polskim filmie dał Europie hymn. Ale ona, jak wiadomo, nadal woli *Odę do radości* Beethovena.

Przedwczesna śmierć Kieślowskiego w 1996 roku raptownie przerwała to „pierwsze szczęście Zbigniewa Preisnera”. Ale to ono stworzyło filmowego kompozytora.

Jego drugim szczęściem była Agnieszka Holland. „Dostałam Zbyszka w spadku” – powie reżyserka w którymś z wywiadów. „Krzysztofowi dał inny wymiar i poetykę” – zauważy. Ale ten „spadek” krążył dokoła reżyserki już wcześniej. Preisnera rozsądzał ten jego talent? Z jego muzyką powstała już *Europa, Europa*, 1990, *Olivier, Olivier*, 1992 i *Tajemniczy ogród*, 1993. I to przy okazji francuskiego filmu *Olivier, Olivier* też dozna reżyserka wrażenia przeniesienia przez muzykę opowieści filmowej w inny wymiar. Nic dziwnego: opowieść o kilkuletnim synu, który zaginął, a który po latach wraca jako niemal dorosły, wmawiając rodzicom, że jest na pewno „tamnym” Olivierem, to gotowy scenariusz na emocje najwyższego napięcia i na metafizyczne doznania, gdzie niepewność walczy z tęsknotą.

Dziś Agnieszka Holland ma innego stałego kompozytora, Antoniego Komasa-Lazarkiewicza. Ale zarówno ona, jak i w jeszcze w większym stopniu Kieślowski już dawno popchnęli Preisnera w świat. A on daje sobie w tym świecie znakomicie radę. Być może, rzeczywiście, Preisner jest żywiołowym talentem, wciąż do okiełznania. I niech tak pozostanie. Bo to wciąż jest świeże!



Maria Malatyńska – miłośniczka kina, pasjonatka filmu, recenzentka kulturalna.



FESTIWAL INSPIROWANE GÓRAMI ZAKOPANE 17 - 19 PAŹDZIERNIKA 2019



ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY



POKONKURSOWA WYSTAWA
2. OGÓLNOPOLSKIEGO KONKURSU MALARSKIEGO

Moje
Zakopane

27.09-20.10.2019

MIEJSKA GALERIA SZTUKI IM. WŁ. HR. ZAMOYSKIEGO
ZAKOPANE, UL. KRUPÓWKI 41



ZAKOPANE
ZAKOPIAŃSKIE CENTRUM KULTURY



Podróże (1)

Tekst: Jan Pieszczachowicz

Jeździłem sporo po świecie jako delegat ZLP, działacz studencki. To była moja jedyna rekompensata, jeśli tak to traktować, za pracę społeczną. Jeździłem jednak i dlatego, że mnie zapraszano.

Miałem rodzinę we Francji, przedwojenna polska emigracja. Mój kuzyn Pierre mieszkał w Szampanii koło Tarbes, na wsi, ale to była wieś trochę inna niż polska, podobna do miasteczka. Dostałem stypendium krótkoterminowe rządu francuskiego, no i udałem się do Paryża.

Zakwaterowano mnie w bocznej ulicy od Pól Elizejskich, na dole była knajpa rosyjska, odbywały się tam tłumne posiedzenia i ja czasem zachodziłem.

Trochę byłem zawiedziony, ponieważ pani z MSZ na samym wstępie zaopatrzyła mnie w bilety takie, jakie uważała, na przykład bilet do Comédie-Française. To był drugi albo trzeci zespół. Zdaje się, uważała, że jak przyjeżdżam z Polski, to dobry i kolejny sort. Nie wiedziała, że jestem recenzentem teatralnym, a Kraków był wtedy ośrodkiem teatralnym na skalę światową. Poszedłem do Comédie, ale poprosiłem, żeby mi więcej nie dawała takich biletów. Zapytała, co w takim razie bym chciał? Jakiś porządny kabaret. Dostarczyła mi bilety do Moulin Rouge, to był oczywiście cień dawnych czasów, ale bawiłem się niezle.

Zaliczyłem też kabaret Crazy Horse. Od razu mi się tam spodobało, bo zamiast biletu dostawało się buteleczkę szampana. Był też jadłospis, no, dość osobliwy, na przykład na pierwszym czy drugim miejscu znajdowała się Polka Monopolka. Wpadło dziewczę hoże, słowiańska blondyna jak ją Pan Bóg stworzył i dzierżyła ogromną kopię plastikową butelki, na której było wypisane „Vodka Monopolowa”. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dostać jeszcze raz taki bilet, ale pani z MSZ obawiała się, czy przełożeni jej nie obsztorują, bo przyjeżdża człowiek z Polski, aby się ukulturalnić, a tu Polka Monopolka.

Skontaktowałem się z moim kuzynem Pierrem i doszliśmy do wniosku, że trzeba go odwiedzić. Ucieszył się i pojechałem tam pociągiem. Pierre mówił jeszcze trochę po polsku, ale była to polszczyzna z Galicji z przełomu XIX i XX wieku. A na płocie jego siedziby zobaczyłem rozpięte... skrzydła myśliwca Mirage.

Kuzyn miał plan: zaraz pojedziemy na grób Generała (generał był dla niego jeden na świecie, czyli de Gaulle) do Colombey les deux Églises. To był majątek rodzinny de Gaulle'a. – Złożysz wieniec, a potem będzie przyjęcie – rzekł Pierre. Przyjechalśmy. Małe miasteczko, rzeczywiście dziura. Pokazał mi zaniedbany park z dworkiem generała. Zaprowadził mnie na cmentarz – tu osłupiałem. Grób generała to była prosta płyta na równi z ziemią z napisem „Charles de Gaulle” i to wszystko. Muszę przyznać, że mnie to poruszyło, w końcu była to jedna z najgłośniejszych postaci XX wieku. Następnie zapro-

wadził mnie do miejscowej kawiarenki, posadził na krzesło, na którym siadywał po mszy generał i grał z miejscowymi w tric-traca. Dostałem szklankę wody i wróciliśmy do domu z płotem ze skrzydłami z myśliwca Mirage. Tu na szczęście był suto zastawiony stół.

Potem Pierre zaprowadził mnie do swoich koleśków, też gaullistów, którzy zamówili w zaprzyjaźnionej knajpce dzbany wina. Zaczęła się mowa o podatkach, co na francuskiej prowincji było ulubionym tematem mężczyzn przy winie, budzącym gorące spory. Jak oni krzyczeli! Czegoś podobnego chyba w życiu nie słyszałem.

Miałem we Francji dwóch kuzynów. Władysław mieszkał pod Pirenejami, ożenił się z jakąś szlachcianką, więc miał coś w rodzaju château, czyli zamku. Szlachcianka pozwalała mu pobyc nawet w Pirenejach, gdzie zbudował sobie chatę myśliwską. Mówił na nią „baronessa”. Jak już znudziła się gościem z Polski, pojechalśmy do chaty myśliwskiej. Bomba!

Kuzyna spod Tarbes żegnałem z żalem, ponieważ zaczął mnie obwozić po okolicy, głównie wśród kumpli winiarzy, oczywiście gaullistów. Na zakończenie pobytu pojechalśmy do pana Beaugrand, właściciela winnic produkujących szampany. Ten się ucieszył i zaprowadził nas do swoich piwnic. Przodem szedł pracownik z kielichami – my podążaliśmy za nim. Kolejne kielichy wypijaliśmy, jakże było odmówić, skoro pan Beaugrand mówił nie bez dumy, że to jest na przykład wino z 1936 roku. Poczuję się prawie jak świętokradca, ale potem przywykłem, tu kielich, tam kielich, wreszcie wszystkim zakręciło się w głowie, więc służba pana Beaugrand wyprowadziła nas z piwnic. Trochę odpoczęliśmy i ruszyliśmy w drogę powrotną. Kuzyn po cenie superulgowej zakupił dla mnie skrzyneczkę z sześcioma butelkami szampana. Gospodarz wystawił mi rachunek, że kupiliśmy u niego, bo na granicy celnicy mogli mieć pretensje. Przywiozłem ładunek to do Polski i przez dłuższy czas traktowałem niemal jak świętość, chyba że ktoś nadzwyczajny się pojawił, to go podejmowałem szampanem.

Ale i tak najbardziej będę pamiętał ten płot ze skrzydłami z mirage'a.



Jan Pieszczachowicz – ur. 1940 w Koprzywnicy koło Sandomierza, krytyk literacki i publicysta, pracował w Wydawnictwie Literackim, współtworzył Teatr 38, zakładał pismo „Student” i miesięcznik „Pismo”, był w redakcji miesięcznika „Literatura” i tygodnika „Przekrój”, twórca miesięcznika „Kraków” i dziś jego redaktor-senior. Pasjonat twórczości Poświatowskiej, Stachury i Vincenza.



Jedyna taka nagroda

Tekst: Paweł Kopeć

Choć Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie to święto wszystkich miłośników literatury, to pierwszego dnia imprezy w sposób szczególnie docenieni są humaniści. Nagroda im. Jana Długosza to jedyne takie w Polsce wyróżnienie przyznawane naukowcom z dziedziny humanistyki.

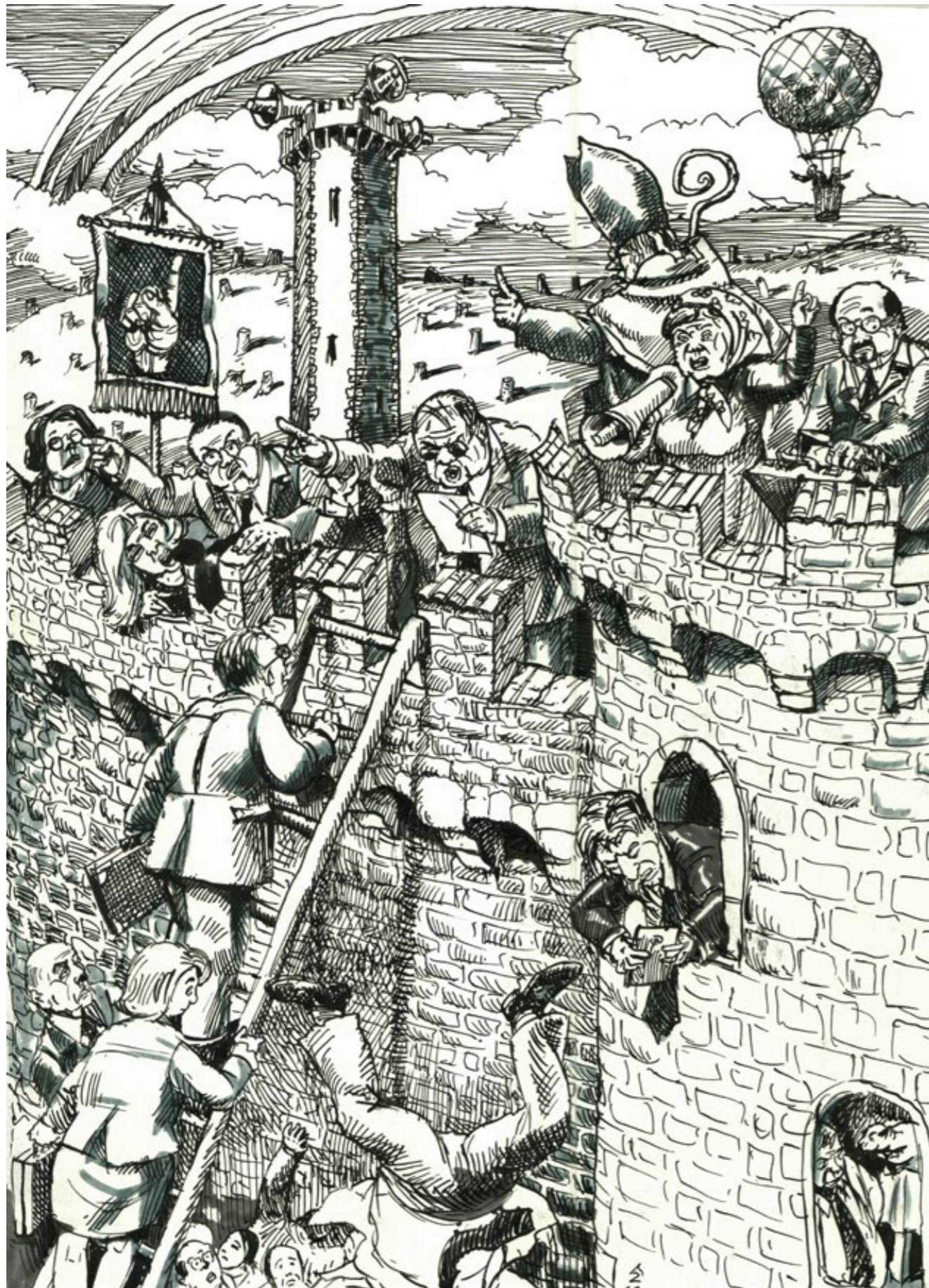
Największa czytelnicza impreza w Polsce – tak z dumą reklamują się organizatorzy Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie. Statystyki rzeczywiście robią wrażenie: w ubiegłorocznej edycji swoje tytuły zaprezentowało ponad 600 wystawców, a przez cztery dni imprezę odwiedziło ponad 78 tys. zwiedzających. Tegoroczna odsłona zapowiada się równie imponująco. Każdy czytelnik – czy to fan kryminałów, poradników, biografii, reportaży, s-f czy literatury pięknej – znajdzie tu coś dla siebie. Targi w tym roku odbędą się po raz 23. A po raz 22. w trakcie imprezy przyznana zostanie nagroda im. Jana Długosza.

Choć w Polsce nie brakuje wyróżnień promujących osiągnięcia naukowe, to nagroda im. Długosza jest jedyną przyznawaną naukowcom i badaczom z dziedziny humanistyki. „Jednym z celów naszej inicjatywy jest motywowanie obecnych na polskim rynku wydawnictwa do publikowania dokonań polskich naukowców i badaczy” – ogłaszają w oficjalnym komunikacie organizatorzy. „Przedstawiane do Nagrody dzieła pomagają wiele rzeczy lepiej poznać i zrozumieć. Dostarczają gruntownej wiedzy i stanowią bogaty materiał do przemyśleń, stając się nie tylko lekturą, ale także przedmiotem studiów. Promowane w Konkursie publikacje odgry-

wają istotną rolę w kształtowaniu podstawowych i uniwersalnych wartości naszej cywilizacji” – czytamy dalej.

Wyróżnienie przyznawane jest rokrocznie za książki napisane przez autora posiadającego polskie obywatelstwo, które ukazały się po raz pierwszy w polskim wydawnictwie w roku poprzedzającym przyznanie Nagrody. Wśród laureatów znalazły się między innymi takie osobistości jak Jan Błoński, Andrzej Friszke, Michał Głowiński czy Anna Machciewicz. W ubiegłym roku wyróżniona została Monika Bobako za książkę *Islamofobia jako technologia władzy. Studium z antropologii politycznej*.

– Pod uwagę brane są książki z zakresu historii, historii sztuki, filozofii, historii literatury, socjologii czy muzykologii – to szerokie spektrum, które daje możliwość pewnej integracji środowiska humanistycznego wokół formuły nagrody – tłumaczy wartość wyróżnienia prof. Jan Ostrowski, jeden z członków jury. Jurorami są także prof. Władysław Stróżewski, prof. Andrzej Mączyński, prof. Ryszard Nycz, prof. Leszek Polony oraz prof. Piotr Sztompka. Laureata nagrody poznamy w czasie uroczystej gali 24 października, pierwszego dnia Targów Książki. Dostanie 30 tys. zł oraz statuetkę wykonaną przez śp. prof. Bronisława Chromego.



Rys. Andrzej Zaręba

Cotygodniowy filozof

Tekst: Mieczysław Czuma

Trzy włoski na tysej czaszce, przydługa broda, frak, melonik, muszka, laska, parasol, a obok często jaszczke i piesek. Staroświecki, w wieku emerytalnym, zawsze wytworny, pełen najlepszych manier. Profesor Filutek. Przez długie dziesięciolecie wyczekiwany i niekwestionowany bohater ostatniej strony (krakowskiego oczywiście) „Przekroju”.

Zbigniew Lengren był cenionym grafikiem i rysownikiem, autorem aforyzmów i frazsek, współpracował z filmem i telewizją. Ilustrował książki dla dzieci, w tym słynną serię Hugh'a Loftinga o przygodach doktora Dolittle. Ale jego pomnikowym dziełem, wyrastającym wysoko ponad wszelkie inne dokonania jest profesor Filutek. Niezapomniany bohater trzyodcinkowego zawsze, czarno-białego komiksu. Tytuł profesora nadał mu redaktor naczelny tygodnika Marian Eile. Wiadomo, w Krakowie gość bez tytułu nie znaczy nic.

Prawie trzy tysiące razy spotykał się Filutek na łamach „Przekroju” z nieprzelicznymi rzeszami sympatyków – z zabawnymi zdarzeniami, żartami, zaskoczeniami, kpinaми, morałami, niepowtarzalnymi sytuacjami. Na redakcyjnej katedrze zasiadł 1 lutego 1948 roku, w numerze 147. W tamtym czasie szpalta w szpaltę sąsiedował z Zieloną Gęsią, najmniejszym teatrykiem świata, któremu dyktował arcyapostoł cywilizacji „Przekroju” Konstanty Ildefons Gałczyński. Osierocił Filutek swoje miejsce w numerze 3015, zaraz po przeniesieniu tygodnika do Warszawy. W okolicach Pałacu Kultury i Nauki nie zamierzano wysłuchiwać nauk krakowskiego filozofa.

Przez ponad pół wieku towarzyszył polskiej codzienności ten rysowany delikatną kreską sympatyczny staruszek. Nie zmieniał swojego wyglądu ani swoich zasad, od początku aż do ostatnich chwil był taki sam. Na świecie upadały rządy, walczyły się polityczne systemy, wybuchały wojny – on zaś niewzruszenie pozostawał sobą. Był nieustający liryczny, pełen staroświeckiego wdzięku, dowcipny, elegancki, sympatyczny, grzeczny, wytworny. Nie uznawał lepszego ani gorszego sortu. Co tydzień rozsiewał uśmiech, łagodził obyczaje, częstował kropelkami optymizmu, był ambasadorem dobrych manier. Bez względu na pogodę i zmieniające się koniunktury. Profesor Filutek to jedna z najwybitniejszych postaci swoich czasów, więcej, to prawdziwie wyrafinowany filozof: przez 55 lat nie wypowiedział ani jednego słowa, a tak wiele potrafił powiedzieć nam o nas samych i o świecie.

Autor tego przez ponad pół wieku najpopularniejszego między Tatrami i Bałtykiem

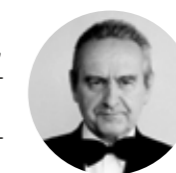
komiksu lubił mawiać o sobie, że jest efektem ostatniego najazdu Szwedów na Polskę. Tata pana Zbigniewa, autentyczny Szwed, specjalista w branży naftowej, przekroczył bowiem w trybie służbowym Bałtyk przed pierwszą ze światowych wojen i za sprawą pewnej urodziwej warszawianki do swoich już nie powrócił. Późniejsza zawierucha dziejowa rzu-

Profesor Filutek to prawdziwie wyrafinowany filozof: nie wypowiedział ani słowa, a tak wiele potrafił powiedzieć nam o nas samych i o świecie.

ciła za to młodą parę daleko na wschód, gdzie, aż w Tule – wkrótce po wystrzale z „Aurory” – przyszedł na świat mały Lengrenek, przegarnięty początkowo przez Toruń, później zdeklarowany warszawiak. W tym roku przypada setna rocznica jego urodzin.

Zbigniew Lengren był artystą niezwykle płodnym. Swoje prace rysunkowe publikował w „Szpilkach”, „Świecie”, „Playboyu” i paru innych tytułach. Wiele zamieszczanych pod nimi sekwencji ubarwiło nasz język, jak choćby owa okraszająca swoje nazwisko prestiżowym tytułem „Wdowa po prenumeratorkę »Tygodnika Ilustrowanego«”. Wiele jego zabawnych obrazków to prawdziwa klasyka humoru. Oto z okna wygląda utyta matrona i woła w stronę tarmoszących się na podwórku dzieci: „Heniusz, nie bij jej, bo się spocisz”. Ale ponad wszystkim, co wyczarować potrafiła jego kreska, króluje profesor Filutek.

Za wszystkie zasługi nieodżałowanego profesora, w setną rocznicę urodzin twórcy tej postaci, zwracam się z wnioskiem do redaktora naczelnego miesięcznika „Kraków” o nadanie Filutkowi tytułu doktora *honoris causa*.



Mieczysław Czuma – profesor krakauerologii, redaktor niehabilitowany.

1939–2019

Tekst: Magdalena Miśka-Jackowska

Jest ciepła jesień, piszę z warszawskiej Sadyby. W pobliżu mamy tu kilka ważnych miejsc pamięci. Świętowania rocznic tragicznych wydarzeń nie lubię, ale cieszę się z tego, co dziś odwołania do 1939 roku przyniosły w literaturze i kinie. Najzwyczajniej w świecie. Z ciekawości.

No i oczywiście dlatego, że za tymi książkami i filmami stoją równie ciekawi ludzie. I równie ciekawscy. Wnikliwi na tyle, że mimo swoich trzydziestu, czterdziestu lat chce im się jeszcze zaglądać w przeszłość. Młodszym z nich coraz rzadziej się już chce, bo nie widzą, aby mogli dostać coś w zamian. Moja ciekawość zrodziła się też z pewnych zaległości i chęci nadrobienia lekcji, które opuściłam w szkole. Nawet jeśli na nich byłam, a może zwłaszcza wtedy? Historia nie interesowała mnie kompletnie, prze-gapiłam sporo szans, aby ją sobie pouklądać, jakoś

Nic się nie zmieniliśmy, po 80 latach od wojny wciąż jesteśmy tymi samymi ludźmi co wtedy. Kim byliśmy i kim jesteśmy – wierzę, że mogą to odczytać i w zapiskach z dziś, i w historii.

się z nią żyć. Dzisiaj nadrabiam, czytając reportaże, biografie, ze szczególnym akcentem na losy Europy w czasie II wojny światowej, choć żaden ze mnie ekspert. Potrafię też zostać przy Polskim Radiu, jak 1 września, słuchając pół dnia o tym, jak i dlaczego Kraków oparł się niszczycielskim siłom wroga i architektonicznie ocalał oraz jak się w nim żyło 80 lat temu. I co się jadło!

Jednym z takich młodych ludzi, którym się chciało zanurkować w przeszłość, i to dosłownie, jest mój redakcyjny kolega Marcin Zaborski. Oczywiście, że policzył i wyczuł, że w 2019 roku będzie czytelnicy popyt na opowieści okołowojenne. Nie mam mu tego za złe, zrobiła to zresztą masa innych ludzi. Szczególnie fascynujące zaś okazało się lato 1939 roku, kilka miesięcy i tygodni przed wybuchem wojny. Marcin, który poza uprawianiem dziennikarstwa newsowego i publicystyki jest kimś w rodzaju badacza archiwalnej prasy, wpadł na prosty i budujący atmosferę pomysł. Przeszukał gazety, obejrzał mnóstwo zdjęć, przeczytał wspomnienia i opowiedział o wakacjach sprzed 80 lat w książce *Lato '39. Jeszcze żyjemy*.

I tak dzisiejszy warszawiak upolował Kraków tuż przed okupacją. „Czy jest miasto, w którym by ogłuszający i ogłupiający hałas bardziej utrudniał skupioną modlitwę lub wysłuchanie kazania w kościołach, pracę w szkołach i urzędach, porozumienie się kupującego ze sprzedawcą w sklepach?” („Czas”). Bo na hałasy w 1939 roku narzeka też Warszawa. Marcin zbiera detale. Codziennosc, którą się wtedy żyło. Owszem, sporo w niej niepokoju, ale i zwykłości charakterystycznej i dziś. Świetnie się to czyta, podróżując w przeszłość.

Ale wróćmy do stolicy. A tu tej jesieni premierę kinową ma dokument *O zwierzętach i ludziach*, opowiadający historię Jana i Antoniny Żabińskich, opiekunów warszawskiego zoo. Najmniej chyba znana i zarazem jedna z najpiękniejszych opowieści z czasów wojennej Warszawy. Opowieść o zoo, które miało chronić ginące gatunki, a ochroniło ludzi w najokrutniejszym dla nich okresie. Żabińscy ocalili kilkaset osób, dając im schronienie na terenie ogrodu, w należącej do nich willi, ale i w klatkach oraz pomieszczeniach dla zwierząt. Ci, którzy zajmowali bażanciarnię, stawali się „bażantami”, inni byli „wiewiórkami” czy „chomikami”. Nie było w tym grama pogardy. Żabińscy przed wojną zapraszali do domu zwierzęta, to zatem jest niezwykła historia przyjaźni zwierzęco-ludzkiej. Opowiedział ją w dokumencie i opowiada o niej na żywo ze szklistymi oczami reżyser Łukasz – *nomen omen* – Czajka.

Muzykę do dokumentu *O zwierzętach i ludziach* skomponował Marcin Masecki. On ma nieprawdopodobną moc przenoszenia w czasie. Może się nawet wydawać, że przyszedł do współczesności wprost z lat 30. i 40. W odkrywaniu historii warszawskiego zoo pierwsi byli jednak Amerykanie, choć Łukasz mówi, że rozpoczął prace niemal na równi z nimi. Dwa lata temu wszedł na ekrany *Azyl*, w którym piękna Jessica Chastain zagrała Antoninę Żabińską. Ta historia, co wiem od znajomych, budzi ogromne zainteresowanie poza Polską. Wszędzie tam, gdzie widz umie spojrzeć na Żabińskich jak na ludzi, którzy w granicznym dla nich momencie zachowali się po prostu przyzwoicie. A czasy, w których żyli, zmieniły to zachowanie w heroiczne.

Będę jutro mijać w drodze do pracy małe pomniki i ściany ostrzelanych budynków, które się zachowały. Nic się nie zmieniliśmy, po 80 latach od wojny wciąż jesteśmy tymi samymi ludźmi co wtedy. Kim byliśmy i kim jesteśmy – wierzę, że mogą to odczytać i w zapiskach z dziś, i w historii. Najbliższe mi zaś są takie właśnie zwykłe-niezwykłe opowieści. Tworzone z ciekawości i odbierane przeze mnie z tego samego powodu. I takiej ciekawości wszystkim nam żyć.



Magdalena Miśka-Jackowska – kierownca z programem artystycznym. Od 2005 roku w zespole radia RMF Classic, autorka wielu programów poświęconych sztuce filmowej. Jako konferansjerka związana z licznymi wydarzeniami kulturalnymi w całym kraju. Fanka muzyki filmowej i Krakowa, od pewnego czasu w Warszawie.

Chlorofil z wody morskiej

Tekst: Iga Dzieciuchowicz

Dużo mówi się o tym, że między ludźmi zanikają więzi. W knajpach gapimy się na smartfony, w domu oglądamy Netflixa. Na żywego człowieka obok patrzymy z mieszkanką melancholii i znudzenia. Złościmy się, że znów ktoś coś od nas chce.

Idęm byłoby, gdyby nikt nie miał zobowiązań, nie był zależny od innych ludzi, nie prosił o pomoc i nie bił to, na co przyjdzie mu ochota. Brzmi dobrze, nie?

Powieść Michaela Houellebecqa *Możliwość* wyspy to spełnienie wszystkich tych ideałów. Bohater Houellebecqa mówi: „Masturbacja to uprawianie miłości z kimś, kogo naprawdę kocham”. Daniel 25 jest neoczołwiekiem. Żyje odizolowany, otoczony drutem kolczastym. Po drugiej stronie są niebezpieczni dzicy – ludzie pochodzący ze starego świata. Daniel 25 kontaktuje się przez internet tylko z tajemniczą centralą. Jako neoczołwiek został przerebioniony tak, że do życia wystarcza mu chlorofil zawarty w solach morskich. Nie rozumie pojęcia miłości, nie ma emocji ani popędu seksualnego. Nie ma wspomnień. Mimo to opuszcza swój azyl szukać partnerki 23, która postanowiła pójść w nieznaną. Nie rozumie, co nim kieruje. Idzie przez pustkowia, dociera do oceanu. Wylicza, że do końca życia zostało mu jeszcze 60 lat. Bardzo chciałby umrzeć, ale nie może. Czuje rozpacz.

Powieść Houellebecqa czytam od nowa przynajmniej raz w roku. Zawsze zostawia przeraźliwą pustkę. Dlatego cieszą mnie potem wszystkie międzyludzkie interakcje. Nawet te ulotne, proste, trochę durne. W Krakowie są tu dość gadatliwi. Znajomość można nawiązać za pomocą jednego zdania. Na przykład z kierowcą Ubera.

– Nareszcie przyjechał po mnie jakiś porządny samochód! – mówię, wsiadając do nowej hondy civic. Na promienny uśmiech nie trzeba długo czekać.

– Dziękuję! Kocham to auto.
– Nie jest pan głodny?
– Chciałaby pani iść na kolację?
– Nie. Mam dwie zapiekanki od Endziora i mogę się z panem podzielić!
– A myślałem, że mnie pani podrywa!
– Proszę pana, wygląda pan na rozsądnego człowieka. A ja się teraz wikłam tylko w nienormalne relacje.
– To zupełnie tak jak ja.
– Tak? Zamieniam się w słuch.
– Na Uberze jeździ taka piękna Ukrainka. Oszalałem. Zapisałem się nawet na ukraiński!
– I co, miłość odwzajemniona?
– Ona przyjechała tu z chłopakiem... O tym, co czuję, nic nie wie.
– No nie! I co teraz?

– Nie wiem, ale uczę się języka i w październiku zamierzam jej powiedzieć.
– Dlaczego akurat w październiku?
– Bo wtedy będę miał już dyplom, że ukończyłem kurs.
– Sprytnie.

– No mówię pani, że oszalałem!

Albo taka sytuacja z pociągu relacji Warszawa-Kraków. Jakies 100 kilometrów od Krakowa w wagonie Warsu robi się nerwowo.

– Proszę osoby, które zamówiły napoje bez dania gorącego, o ustąpienie miejsca tym, którzy będą jeść obiad! – krzyczy kelnerka.

W Krakowie relacje międzyludzkie są intensywne, bo ludzie są tu dość gadatliwi. Znajomość można nawiązać za pomocą jednego zdania. Na przykład z kierowcą Ubera.

Gdyby napoje były wodą, kawą lub herbatą, można by to było jeszcze zrozumieć. Ale wywalać ludzi, którzy piją piwko albo wino? To jest zbrodnia przeciwko krakowskiej ludności.

– Ta baba to chyba z Zabierzowa jest – odzywa się pan, który na oko pije już czwarte jasne pełne.

– Właśnie. Nigdzie nie idę. Piwo kupiłem uczciwie i wypiję na siedząco! – dodaje drugi.

Potem zwraca się do mnie:

– Pani też siedzi i dokończy ten swój cydr. Zabraniam wstawać!

Trzymamy się więc swoich rozkładanych krzesłek jak liny ratunkowej. Nie dlatego, że jesteśmy jacyś szczególnie złośliwi i nie chcemy ustąpić miejsca. Po prostu wszyscy jesteśmy już porządnie zawiani. Upał chyba 40 stopni. Przy takich temperaturach woda nikomu nie smakuje. A kto teraz kręci nosem, że jemu smakuje, ten kłamie. Patrzymy, co piją sąsiednie stoliki. To samo. Po twarzach widać, że tamci wyprzedzili nas o kilka kolejek. Nikt nie zamierza się ruszyć. Tymczasem matka z dwójką dzieci stoi nad nami z pierogami i schabowym wyłożonym z talerza. Patrzymy na siebie z konsternacją. Pierwszy odzywa się pasjonat jasnego pełnego.

– No dobra, niech ta mamuska sobie siądzie.

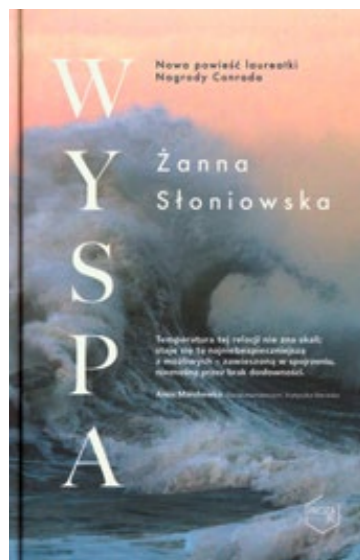
Wstajemy. Jeden krok, drugi, pociąg trzeszczy. Leżę na podłodze Warsu jak długi. W wagonie brawa. Współbiedniacy zagląдают mi w oczy.

– To ja może zamówię pani flaki...

A ja zgadzam się, choć mięsa na co dzień nie tykam. Z radości. Bo jeszcze nie przerebiono nas tak, że wystarczy połykać chlorofil.



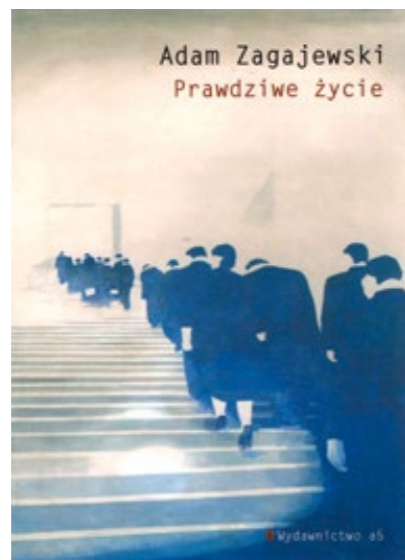
Iga Dzieciuchowicz – teatrolożka i feministka. Publikuje w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, portalu Onet.pl i „Co-dzienniku Feministycznym”. Współautorka książki *Bartoszewski. Droga*.



Pamiętacie *Dom z witrażem* Żanny Słoniowskiej? Fascynującą opowieść ukazującą żywożył narodowe Polaków, Rosjan i Ukraińców w ciągu XX i XXI wieku we Lwowie? W 2019 roku autorka zaprasza nas do lektury drugiej swej książki – *Wyspa*. Rzecz niby lekka i przyjemna, bo przewodnim wątkiem jest miłość owiana tajemnicą niespełnienia. Ale Słoniowska nie proponuje nam romansu. Śledzimy proces twórczy trwający przez cztery pory roku – ale nie jest to rzecz o powstawaniu powieści. Akcja toczy się w środowisku literatów z różnych stron świata, których losy stykają się w domu pracy twórczej na wyspie. Dawid, główny bohater, wywodzi się ze środowiska akademickiego, a po sukcesie literackim próbuje utrzymać się z publikacji i stypendiów. Wyjazd na tytułową wyspę był ucieczką od codzienności, także monotoni życia rodzinnego, miał w końcu przyspieszyć pracę nad kolejną książką. Właśnie tam pojawia się obsesyjna miłość. Piękna, niedostępna i tajemnicza Muriel... Jak wyspa, która przyciąga, kusi i często obezwładnia.

Janusz M. Paluch

Żanna Słoniowska, *Wyspa*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019.



Adam Zagajewski to jeden z nielicznych już autorów, których każda wypowiedź jest ważna. Tak było z niedawnym zbiorem esejów *Substancja nieuporządkowana*. Tym bardziej tak jest z nowym tomem poetyckim.

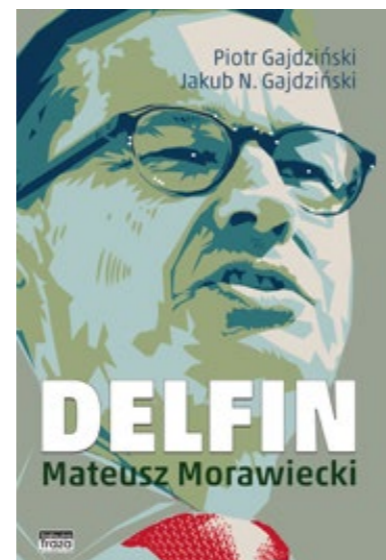
Zagajewski zbudował go wokół zdania Emmanuela Levinasa: „Prawdziwe życie jest gdzie indziej, ale my jesteśmy tutaj”. Jest więc o prawdziwym życiu niegdys – nostalgii za miejscem urodzenia, czyli Lwowem, za gliwickim dzieciństwem, za zmarłymi przyjaciółmi. Bo przeszłość przecież silnie – raz ozdrowieńczo, raz druzgocąco – wpływa na prawdziwe życie dziś. Jest o prawdziwym życiu epoki – choćby w przejmującym *Bełżcu* czy w wierszach poświęconych odwiedzanym miejscom, lekturom bądź ich autorom. Są uważne obserwacje współczesności (Powołanie Mateusza z komentarzami turystów oglądających arcydzieło Caravaggia w rzymskim kościele San Luigi dei Francesi). Jest o trwającym przemijaniu (życia, ale i poezji) – bo to też prawda teraźniejszości.

Są i takie słowa: „(...) zły rząd zaczyna od tego / że torturuje sprawiedliwość / która nosi piękne imię Iusticia / kłamie, sieje Niezgodę / lubuje się w Okrucieństwie / i Oszustwie; wreszcie wynajmuje morderców / Miasto pustoszeje, pola przestają / dawać płony, domy płoną”.

Aby zwyciężyło dobro, trzeba poczekać. W Sienie trwało to siedemset lat.

kb

Adam Zagajewski, *Prawdziwe życie*, Wydawnictwo A5, Kraków 2019.



„Chcę zostać prezydentem” – wrywało się kiedyś Mateuszowi Morawieckiemu, gdy mniej oficjalnie rozmawiał z Piotrem Gajdzińskim, swoim doradcą medialnym w Banku Zachodnim WBK.

Teraz Gajdzińscy – bo książkę pisał też Jakub, syn Piotra – opisują karierę obecnego premiera, korzystając nie tylko z osobistych wspomnień, ale i umiejętności czytania danych ekonomicznych.

Bo to, że ten nudny facet jest nakręcany megaambicją, dla której sprzedaje przyjaciół i przekonania – nikogo, kto obserwuje politykę, nie dziwi. Podobnie jak i to, że w czasach deklarowanego ubóstwa władzy, sam krząta się koło każdej własnej złotówki. A nawet to, że od chwili, gdy w 2001 roku został członkiem zarządu banku do 2015 roku, gdy został wicepremierem, zarobił 33,5 miliona złotych.

Śmierdzi gdzie indziej.

Oto, jak twierdzą autorzy, Morawiecki dostał od hiszpańskich właścicieli banku kilka milionów odprawy. Pieniądze leżą w depozycie i czekają czasów, gdy wypłata tak ogromnej sumy nie popsuje planów rządzącej ekipy. Ale oznacza to, że premier rządu RP siedzi w kieszeni zachodniej finansjery.

Przy okazji warto zauważyć, że Gajdziński reprezentuje ciekawy nurt biografistyki – biografii aktualnych politycznie. Zwłaszcza że w jego przypadku powstał znamieny ciąg: Gomułka – Gierek – Morawiecki.

(wb)

Piotr Gajdziński, Jakub N. Gajdziński, *Delfin. Mateusz Morawiecki*, Fabuła Fraza, Warszawa 2019.



Najlepszym scenarzystą – lepszym niż hollywoodzcy – jest życie. Biografii Zygmunta Sieradzkiego starczyłoby na kilka scenariuszy. Rodzi się w Izraelu tuż po wojnie, choć w papierach ma wpisany Egipt. Po roku 1968, za namową rodziców przerażonych odradzającym się w Polsce antysemityzmem, w wieku 21 lat trafia do Afryki Południowej. („Ojciec zareagował natychmiast: – Nic się nie zmieniło, nie ma tutaj dla niego przyszłości. – Nastąpi cisza. Ojciec wrócił do czytania w drugim pokoju, matka mnie uściśnieła. Decyzja co do wyjazdu zapadła”).

W dalekim Cape Town czuje, że zaczyna tracić tożsamość. Brakuje mu drzew i powietrza. Nie ma jednak gdzie wrócić. Leci zatem do Australii – i tam jakoś osiada. Lecz dziś coraz częściej myśli o powrocie do Polski.

Najpierw jednak pisze książkę o sobie i rodzicach.

Choć samo w sobie jest to ekscytujące, to nie tak wyjątkowe. Jednak w połączeniu z życiorysami rodziców, którzy przeszli przez Holocaust i których biografie niesie się zawsze w sobie, czyni tę opowieść wyjątkową i prawdziwą.

„Po latach ten portret skleiliśmy. Tak jak moje życie próbuję dziś sklecić”.

Wzruszający tekst.

Jakie emocje niesiemy w sobie, jakie niesie Zygmunta Sieradzki? Co z rodziców w nas zostaje, a co dokładamy?

(wb)

Zygmunta Sieradzki, *Nie płacz, kiedy odjadę. Wspomnienia rodzinne*, Czarna Owca, Warszawa 2019.



Czy krakowianie pochodzą od małpy? Bajgle, precle czy obwarzanki? Czy tutejsze wychodki są zabytkami? Na te oraz 97 innych pytań dotyczących Krakowa odpowiedzi można znaleźć w najnowszym dziele tandemu Czuma & Mazan. Panowie biorą na warsztat fakty i mity związane z pierwszym miastem stołecznym Polski (tak, to właściwe określenie, czego wytłumaczenie można znaleźć w książce), udowadniając niezbitą wyższość Krakowa nad każdym właściwie miejscem na ziemi. Autorzy przekonują, że Kraków dzierży palmę pierwszeństwa w rozmaitych dyscyplinach: stąd między innymi pochodzi pierwszy kosmonauta (Pan Twardowski), tu odnotowano pierwszy przypadek syfilisu, tutaj miała miejsce pierwsza próba wyrwania zęba ze znieczuleniem miejscowym prądem elektrycznym. Jeżeli zaś w jakiejś kategorii Kraków nie był pierwszy, to autorzy zgrabnie udowadniają, że i tak miasto wyszło na tym lepiej. Zawarte w książce anegdoty mogą zaskoczyć nawet osoby, którym wydaje się, że o Krakowie wiedzą wszystko, jednocześnie dostarczając żółtodziobom elementarnej wiedzy o smoku, hejnalu, lajkoniku, centusioństwie i innych znakach rozpoznawczych miasta. Książkę warto polecić zarówno tym, którzy w Krakowie zakochani są od dawna, jak i tym, którzy tej miłości sobie jeszcze nie uświadamiają.

(pk)

Mieczysław Czuma, Leszek Mazan, *Jacy? Tacy! 100 pytań i odpowiedzi o Krakowie*, Anabasis 2019.



Matka – to temat uświęcony. Ojciec, jeśli już na kartach książek się pojawia, to jako rozliczenie z mroczną przeszłością. A już bycie ojcem – to temat *passé*.

Dziennikarz Krzysztof Skórzyński (trójka dzieci) podjął ryzyko i wysłał książka przeciekawa. Autor rozmawia z celebrytą Michałem Koterskim, piosenkarzem Bartkiem Królikiem, Adamem Nowakiem, twórcą zespołu Raz, Dwa, Trzy, multiinstrumentalistą Cezarym „Cezikiem” Nowakiem oraz kick-bokserem Przemysławem Saletą.

Jak być tatą? I najważniejsze – jak nie zepsuć miłości między partnerami, kiedy rodzi się miłość do dziecka.

Najciekawiej – bo jest najstarszym z rozmówców? – brzmi Nowak (lat 56, czworo dzieci, w trakcie rozwodu). Zauważa: „Nie dostajemy instrukcji obsługi drugiej osoby na całe życie. Ona nie ma przy sobie takiej instrukcji i ja też nie mam. Mało tego, pojawiają się dzieci, które też się rodzą bez instrukcji obsługi”. A kiedy Skórzyński pyta, co powiedzieć synowi, kiedy powie: „Tato, też chciałbym być dziennikarzem”? Nowak podpowiada: „Bądź dziennikarzem, ale bądź dobrym dziennikarzem”.

Bo, jak zauważa, nie wolno od dzieci wymagać spełniania ambicji rodziców. „Jedynie, czego wymagam, to żeby spełniały własne ambicje”.

(wb)

Krzysztof Skórzyński, *Świat na głowie. Rozmowy z ojcami o największym wyzwaniu życia*, Znak, Kraków 2019.

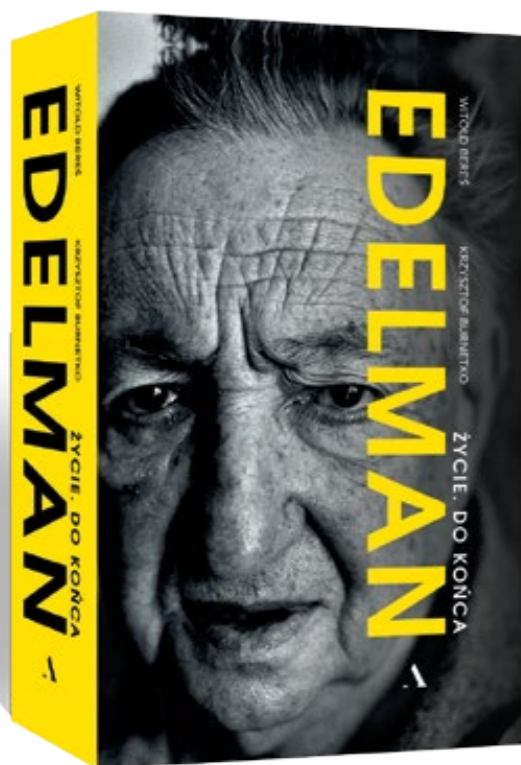
Marek Edelman: „Co robić, gdy jest ciężko? Nie zwracać na to uwagi. Iść dalej. Jeżeli wiesz, co jest dobre, a co złe, to po prostu idziesz swoją drogą”



Autorzy: Witold Beres i Krzysztof Burnetko
Arbitror 2019



Autorka wyboru: Paula Sawicka
Austeria 2019



Autorzy: Witold Beres i Krzysztof Burnetko
Agora 2019

(1 zł z każdego egz. na Stowarzyszenie Otwarta Rzeczpospolita)

Miesięcznik „Kraków” jest patronem medialnym Roku Marka Edelmana „Za wolność wczoraj i dziś”.

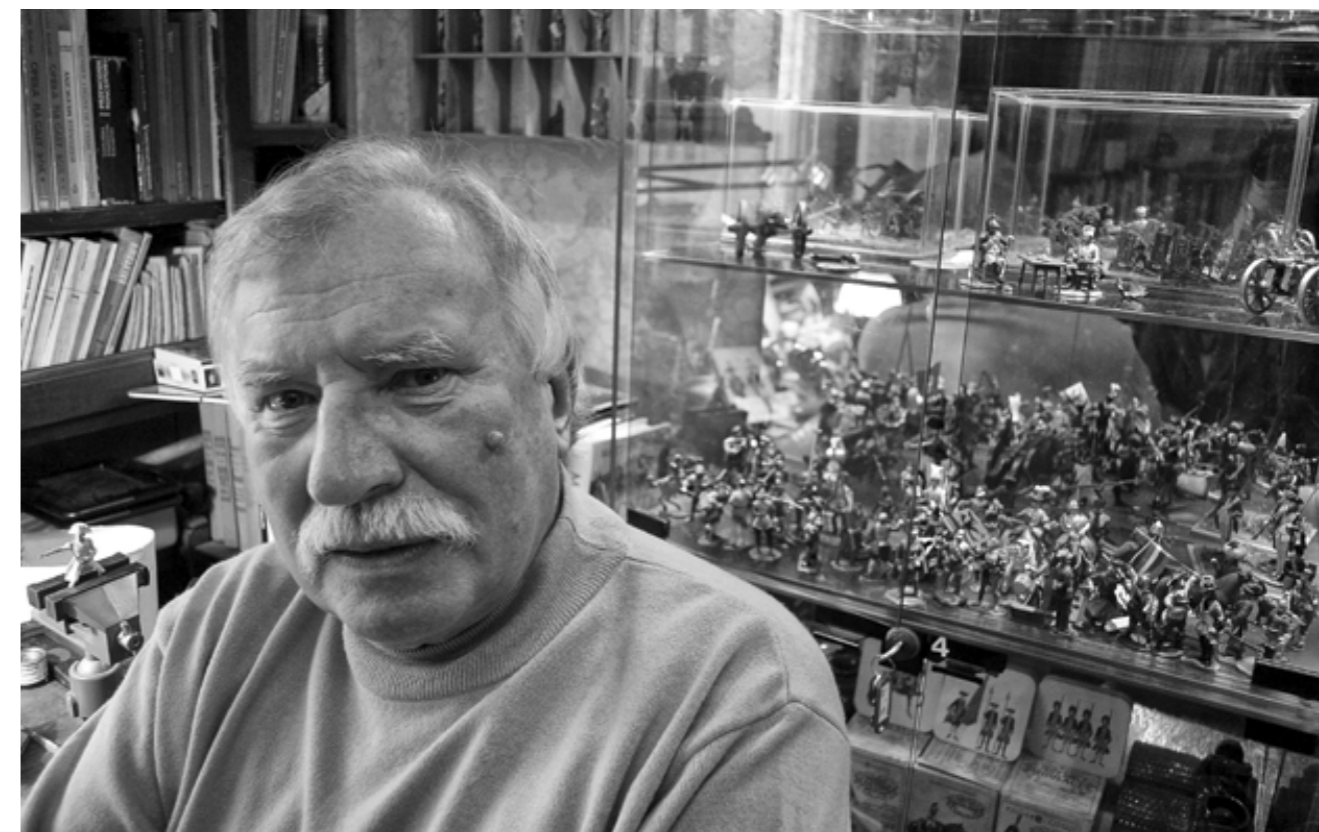
Boję się świata bez Marka Edelmana, gdyż posiadał dar – jak nikt inny chyba – demaskowania szatańskich sztuczek. Bił na alarm, kiedy zamieszkująca w człowieku bestia budziła się z chwilowej drzemki, zrywała łańcuchy, by siać spustoszenie i pożogę. Kto dziś ma ostrzec nas, że składamy ofiary i bijemy pokłony fałszywym bożkom? I dlatego się lękam.

JAROSŁAW MAKOWSKI, publicysta i filozof



2019: ROK MARKA EDELMANA
(1919–2009)

ZA WOLNOŚĆ W CZERNOJ I DZIŚ



Aktor niedzisiejszy

Odszedł Andrzej Buszewicz. Lubił grać w kostiumach. Tużurek, żołnierski mundur, elegancki frak... Talent i perfekcyjne rzemiosło.

Cechy, których dziś ze świecą szukać. A przy tym wiedza historyczna, szczególnie związana z epoką napoleońską, której był pasjonatem.

Tak zapamiętali Andrzeja Buszewicza koledzy ze Starego Teatru, do którego trafił w 1960 roku i z którym był związany przez 43 lata.

Scena zaczęła pociągać go jednak dużo wcześniej. Jeszcze podczas okupacji, jako kilkuletni brzdąc, zbierał kolegów, by wspólnymi siłami zrobić z „niczego” lalki i animować je według wymyślonych przez siebie scenariuszy. Jego młodzieńcze spektakle urzekły samego Jana Sztudyngera, który pomógł chłopakowi dostać się do Teatru Lalki Baj Pomorski w Toruniu. To nie była jedyna protekcja, z jakiej skorzystał w życiu, z czego nieraz później żartował. No, ale jak mogło być inaczej, skoro krewnym Buszewicza był legendarny Kazimierz Opaliński.

– Mój wujek, kiedy podczas pewnego wieczoru wypiliśmy parę wiśniówek, wręczył mi list do ówczesnego dyrektora Starego Teatru. Zrobił to, mimo że jeszcze byłem studentem PWST i nie miałem dyplomu aktora dramatycznego. W pożyczonym garniturze, z dużą na ramieniu, stanąłem przed obliczem

Władysława Krzemińskiego i wysłuchałem werdyktu: „Angażuję pana na 850 zł”. Dzięki temu zadebiutowałem w moim pierwszym przedstawieniu na deskach Starego, czyli w *Romansie z wodewilu* – opowiadał w wywiadach Andrzej Buszewicz.

A później przyszły role u takich reżyserów jak Lidia Zamkow, Jerzy Jarocki, Zygmunt Hübner czy Konrad Swinarski, u którego wcielał się między innymi w Kaprała w *Dziadach*, czy u Wajdy w *Nocy listopadowej*, *Z biegiem lat*, *Z biegiem dni... czy Zemście*. Choć najczęściej były to role drugoplanowe, zostały zapamiętane jednak przez widzów dzięki charakterystycznemu aktorstwu, zmieniającemu nawet epizod w prawdziwą sceniczną perełkę.

Kiedy schodził ze sceny, jego uwagę pochłaniały pozateatralne pasje. Uwielbiał figurki ołowianych żołnierzyków. Zbierał je, samodzielnie odlewał i malował, odtwarzając słynne bitwy z epoki napoleońskiej. W krakowskiej Akademii Muzycznej uczył przyszłych śpiewaków operowych warsztatu aktorskiego. Często wsiadał też do pociągu, by trafić na plan seriali: *Świata według Kiepskich* czy *Pierwszej miłości*.

Andrzej Buszewicz zmarł 19 sierpnia.
(msz)



Andrzej Pilichowski-Ragno, Bez tytułu, 2015

■ Dorota Masłowska. *Sacrum czy profanum?*

Sacrum Profanum to jeden z tych krakowskich festiwali, który przez lata pięknie ewoluuje. Początkowo stawiał na muzykę świecką i sakralną XVIII i XIX wieku. Z biegiem lat zaczęto na nim prezentować muzykę współczesną XX i XXI wieku. I tak pozostało do dziś, a stopień awangardowości granych utworów i dźwiękowe eksperymenty posuwają się coraz dalej. W ostatnich czasach Sacrum Profanum zaczęło także dialogować z operą, sztukami wizualnymi, instalacjami audio art, zamawiając na kolejne edycje imprezy premierowe dzieła. Jednym z nich są *Inni ludzie* Doroty Masłowskiej, do których muzykę napisał Artur Zagajewski. Kompozytorowi romans z popkulturą nie jest obcy, o czym świadczy *Opera o Polsce* zrealizowana z Piotrem Stasiakiem i *Staloooc* na dwa punkrockowe głosy i wiele instrumentów.

Tym razem do udziału w projekcie artysta zaprosił Pawła Romańczuka i jego zespół Małych Instrumentów. Grupa gra na niewielkich rozmiarów dźwiękowych zabawkach, kuriozalnych wynalazkach muzycznych i całej masie niewielkich przedmiotów. – W ten sposób konstruowana muzyka eksponuje niepowtarzalny charakter barw, czasem piękny i kunsztowny, czasem zaskakujący i odkrywczy, a czasem ujawnia ułomności brzmienia i cieszy ograniczeniami – mówią artyści. Ciekawe, czy tak oprawiony muzycznie tekst Masłowskiej słuchacze uznają za *sacrum* czy *profanum*?

■ Młoda dyrygentka podbija Włochy

Goszcząca często w Filharmonii Krakowskiej Joanna Natalia Ślusarczyk zdobyła główną nagrodę na Festiwalu Accademia Musicale Chigiana w Sienie. To niezwykle prestiżowy konkurs ze względu na firmującego go swoim nazwiskiem Daniela Gattiego, jednego z najlepszych obecnie na świecie dyrygentów. Polka została przez niego zaproszona na przesłuchania razem z 20 innymi dyrygentami, wybranymi spośród 200 zgłoszonych. – Kolejne etapy konkursu polegały na bardzo intensywnej pracy z orkiestrą i prezentacji utworów. Co to będzie, dowiadywaliśmy się dopiero na miejscu. Dlatego wiozłam ze sobą do Włoch ogromną torbę partytur. Podczas wieczoru finałowego w Teatro Dei Rinnovati wykonałam razem z muzykami bardzo skomplikowany utwór, jakim jest *Koncert na Orkiestrę* Beli Bartoka – opowiada zwyciężczyni konkursu, która była jedyną kobietą w finale. – Przyzwyczaiłam się już do tego. Podobnie było na konkursie w Sofii, gdzie zajęłam trzecie miejsce. Dyrygenci to przeważnie mężczyźni, ponieważ kiedyś uważano, że tylko oni posiadają autorytet u orkiestry. Jednak teraz relacje między nami a muzykami zmieniają się, bardziej stawia się na obopólne porozumienie i dobry kontakt. Dlatego

mam nadzieję, że dyrygentek będzie coraz więcej – dodaje Joanna Natalia Ślusarczyk.

Oprócz nagrody finansowej młoda dyrygentka zyskała jeszcze jedną ważną rzecz. Została rekomendowana kilku włoskim teatrom muzycznym i filharmoniom, co otwiera przed nią wielkie możliwości. Dlatego w Krakowie spotkamy się z nią dopiero w maju, kiedy w filharmonii poprowadzi koncert symfoniczny.

■ Youtuber zabrał nas do Japonii

Wyprawa do Tokio to marzenie wszystkich, których interesuje japońska kultura. Bilety samolotowe nie są jednak tanie, więc wielu młodych ludzi podróżuje tam wirtualnie, dzięki filmikom zamieszczanym na YouTube. Największą popularnością cieszy się wśród nich kanał Krzysztofa Gonciarza, krakowianina mieszkającego od kilku lat w Japonii. Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha zaprosiło go, by przy pomocy narzędzi, jakimi się posługuje, opowiedział o mieszkańcach Tokio, towarzyszących im emocjach i architekturze, w której na co dzień żyją.

W efekcie tego zobaczyliśmy film, który pokazuje 24 godziny z życia miasta – tłum ludzi pędzących przed siebie, nieustanny ruch, kolorowe światła, nowoczesne technologie. Ale z drugiej strony geometryczną harmonię, leniwie kwitnące ogrody czy melancholię aglomeracji, szczególnie o świcie, kiedy na ulicach pojawiają się szczury i zwiastujące nowy dzień ptaki. Wprowadzeni w taki klimat mogliśmy wejść w kolejną przestrzeń. Znalazła się w niej instalacja sprawiająca, że trafiliśmy do filmu Gonciarza. Dzięki konstrukcjom ze szkła i soczewek, geometrycznym siatkom, przez które przenikało życie Tokio, staliśmy się jego częścią, turystami, którzy robili sobie selfie, pamiątkę z wirtualnej podróży.

■ Niepokojące dźwięki Czarnobyla

Serial *Czarnobyl* uznany został za jedną z najważniejszych produkcji tego roku. Nic więc dziwnego, że organizatorzy Unsound Festivalu, prezentującego różnorodne formy muzyki elektronicznej i eksperymentalnej, nie zawahali się zaprosić autorki wykorzystanej w nim muzyki Hildur Guðnadóttir. Islandzka kompozytorka i wiolonczelistka za wykorzystane w filmie niepokojące dźwięki została nominowana do nagrody Emmy. Teraz zaprezentuje je w Krakowie w opuszczonych magazynach fabryki Telkom-Telos.

To niejedyne ważne wydarzenie Unsound Festivalu, który potrwa od 6 do 13 października. Ciekawie zapowiada się też koncert Dominika Strychalskiego i jego zespołu, który wykona kompozycje stworzone do dokumentalnego obrazu Jaśminy Wójcik *Symfonia Fabryki Ursus* oraz brytyjskiego artysty Kleina, występującego tym razem z muzykami jazzowymi.

Organy przemówiły ludzkim głosem!

Tekst i zdjęcie: Grzegorz Kozakiewicz



Organy w bazylice Bożego Ciała na Kazimierzu powstają długo. Budowę obecnie grającego instrumentu rozpoczęto w roku 1664. Ta część piszczałek znajduje się na ścianie prezbiterium. Nowszą część budowana jest systematycznie na chórze nad wejściem głównym od roku 1958.

Mimo że największe w Krakowie (mają 83 głosy, drugie w kolejności w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia o jedenaście mniej!) stale są uzupełniane i do pełnej świetności oraz zgody z projektem brakuje jeszcze pięciu głosów.

A do niedawna brakowało sześciu... Krakowski organmistrz Lech Skoczylas zainstalował kolejny głos i 25

sierpnia po mszy odbyła się jego prezentacja. To głos zwany po łacinie „vox humana”, czyli „głos ludzki” złożony z piszczałek o długości ośmiu stóp, dających przyjemny, ciepły dźwięk. Głos pochodzi z Norwegii, został odkupiony od parafii św. Józefa w Haugesund. O organach opowiadał, a następnie zaprezentował nowy głos w działaniu Jarosław Raczek, organista bazyliki.

A piszemy o tym dlatego, że fundatorem vox humana jest nasz redakcyjny kolega Jacek Balcewicz, który wraz z rodziną sfinansował rozwój największego w Krakowie instrumentu. Dziękujemy w imieniu fanów muzyki organowej!

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY
KRAKÓW

ISSN 1733-0459 Indeks 388726

Miesięcznik społeczno-kulturalny „Kraków”

Wybierz Kraków!

Nic, co krakowskie, nie jest nam obce

Wydawca: Biblioteka Kraków – dyr. Stanisław Dziedzic. Adres Redakcji i Wydawcy: pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków.

Kontakt: tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: redakcja@miesiecznikkrakow.pl oraz redakcja@biblioteka.krakow.pl

www.miesiecznikkrakow.pl

Pismo tworzą: Jacek Balcewicz, Witold Beres (redaktor naczelny – witold.beres@biblioteka.krakow.pl), Krzysztof Burnetko (sekretarz redakcji – krzysztof.burnetko@biblioteka.krakow.pl), Mieczysław Czuma, Ewa Danowska, Iga Dzieciuchowicz, Zofia Gołubiew, Paweł Głowacki, Krzysztof Jakubowski, Paweł Kopeć, Ewa Kozakiewiczowa, Ewa Lipska, Majka Lisińska-Kozioł, Wojciech Machnicki, Maria Malatyńska, Magdalena Miśka-Jackowska, Magdalena Oberc, Janusz M. Paluch, Lesław Peters, Jan Pieszczachowicz (redaktor senior), Sylwia Pyzik, Andrzej Romanowski, Anna Stafiej, Katarzyna Siwiec, Elżbieta Wojnarowska, Anna Woźniakowska, Jakub Wydrzyński.

Fotografowie: Grzegorz Kozakiewicz, Alicja Rzepe, Piotr Uss Wąsowicz, Danuta Węgiel, Jan Zych.
Layout: Igor Banaszewski.

Wizerunek pisma i współpraca reklamowa: Edyta Wiśniowska, tel. 12/61 89 120, 661 22 82 82, e-mail: edyta.wisniowska@biblioteka.krakow.pl.

Adiustacja i korekta: Anna Szczepańska-Krasoń, Janusz Krasoń

Druk: Drukarnia KOLUMB

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzega sobie prawo skracania, adiustacji i opracowania redakcyjnego tekstów oraz zmiany ich tytułów. Przedruki tylko po uzyskaniu zgody wydawcy i z zamieszczeniem adresu źródłowego. Za treść ogłoszeń i reklam redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

Polecamy prenumeratę bezpośrednio u wydawcy!

Prenumerata redakcyjna gwarantuje stały i bezpośredni kontakt z naszym czasopismem, które nie jest dostępne w każdym kiosku.

Kontakt: Aneta Mastela-Książek
aneta.mastela@biblioteka.krakow.pl,
tel.12/61 89 120

Numer konta na wpłaty na rzecz miesięcznika, w tym na prenumeratę: Biblioteka Kraków, pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3, 31-154 Kraków
Numer konta: 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528

Opis: prenumerata miesięcznika Kraków (tu adres wysyłki)

Prenumerata roczna – taniej, pewniej, do domu! (11 numerów, w tym wakacyjny)
– dla odbiorców mieszkających w kraju: **70 zł**
– dla mieszkających za granicą: **190 zł** (poczta priorytetowa, USA, Kanada, Australia) i **150 zł** (poczta zwykła, Europa).

W prenumeracie zamawianej na krótszy okres (np. do końca br.) koszt jednego numeru wraz

z wysyłką wynosi **7 zł** w kraju i **12 zł** za granicą. **Prosimy o podanie adresu, pod jaki pismo ma być dostarczane!** Wysyłka rozpoczyna się od pierwszego numeru wydanego po dniu wpłaty.

Numery archiwalne: cena wraz z wysyłką – **7 zł** za egz. **Więcej informacji:** www.miesiecznikkrakow.pl, Facebook: <https://www.facebook.com/miesiecznikkrakow/?ti=as>. Ponadto prenumeratę realizują: **RUCH, KOLPORTER, GARMOND** – szczególnie na witrynach internetowych kolporterów.

Vaszek

Tekst i zdjęcie: Witold Beres

Pięć lat temu odszedł niespodziewanie Václav Burian. Przyjaciel wielu z nas, przyjaciel Krakowa i Polski. Dziś wręczana jest w Ołomuńcu nagroda jego imienia, a tu, jak trup z szafy, wypadła niezwykła książka w pewnym sensie stworzona przez Vaszka.

Ponad nasze siły (Czarne, 2009). Autorka: Milena Jesenska, wielka, choć tylko epistolograficzna, miłość Kafki (czytajcie *Listy do Mileny!*). I gwiazda praskiej bohemy. Tu, jak się okazuje, w dodatku mądra dziennikarka, której teksty opisujące lata 1937–1939 i relacje czesko-niemiecko-żydowskie w cieniu nadchodzącej wojny, literacko się nie zwarzyły, jak to często bywa z dziennikarstwem sprzed stu lat. Autorzy wyboru – Leszek Engelking i... Václav Burian. Wstyd powiedzieć – nie wiedziałem o tym. Połknąłem więc ją trochę jak swój dług wobec Vaszka.

Oprócz opisów brunatnych łajdactw, przebija w niej pytanie o postawę małych narodów wobec tragedii. Kiedy w marcu 1939 hitlerowcy bez oporu wchodzą do Pragi, Jesenska jest przerażona Hitlerem i smuci się postawą armii. Ale zaraz znajduje wytłumaczenie. „Gest, który mogliby uczynić czescy mężczyźni 15 marca 1939, byłby jednie gestem samobójczym. Być może pięknie jest umierać na próżno. (...) My musimy żyć. Musimy oszczędzać każdego człowieka, jakiego mamy, każdą siłę i siłkę”.

I przypomina się mi Vaszek, gdy na moje pijackie zaczepki, kpiąco odpowiadał: „Witku, oddam ci Zaolzie, ale za 10 dobrych piw” (co przekraczało możliwości mego portfela).

Ale ciarki biegną po plecach, gdy czytamy dalej:

„Jak to jest z największymi wydarzeniami? Są nieoczekiwane i nagłe. Ale kiedy już się wydarzą, nieodmiennie zauważamy, że nie jesteśmy zaskoczeni. (...) Wszyscy to przeczuwaliśmy i gdybyśmy byli uważnie nasłuchiwali głosu swojego serca, na przykład wtedy, kiedy siedzieliśmy sami w domu albo kiedy zmęczeni budziliśmy się o świcie, gdybyśmy potrafili odziewać w słowa uczucia, które są prawdziwe i proste, a nie tylko myśli, które często są wykoślawione, powiedzielibyśmy: spodziewamy się tego”.

Jesenska, walcząca ze stalinizmem i nazizmem, zginęła w Ravensbrück.

*

W roku 2019 Nagroda Václava Buriana będzie przyznana jak zwykle w Ołomuńcu w dwóch kategoriach – za poezję (1000 euro) i za wkład w dziedzinie kultury do dia-

W następnym numerze:



15 lat z miesięcznikiem Kraków!

Kosmos, Bronowianka i pomnik Armstronga

Rozmowy z prof. Beatą Szymańską, Bogdanem Toszą i Krzysztofem Zajasem

Profesor Jerzy Hausner i ekonomia otwartych oczu

logu środkowoeuropejskiego (również 1000 euro). Laureaci otrzymają również jako część nagrody srebrną broszkę zaprojektowaną przez Martina Buriana.



Ach, czy już pani wie,
Moja pani, moja pani,
Ach, czy już pani wie,
Co się stało na A-B?
Boy

Opracowała: Magda Huzarska-Szumiec

Ćwierkają wróbelki od samego rana

Ptaki mogą być też przyjazne człowiekowi. O tym, jak bardzo, możemy się przekonać, wybierając się do parku kieszonkowego, który został niedawno otwarty z inicjatywy Zarządu Zieleni Miejskiej. „Ogrody krakowian” – bo tak nazywa się cały projekt realizowany od zeszłego roku – to idea, by na powierzchni nieprzekraczającej 5000 mkw. stworzyć przestrzeń parkową. Tym razem jest to Ptasi Ogród przy ulicy Bobrowskiego na Grzegórkach. Spacerując po nim, dowiemy się, jak dokarmiać ptaki i o co chodzi na przykład z budkami lęgowymi. Ale nie tylko stroina edukacyjna jest tu ważna. W parku kieszonkowym można po prostu odpocząć: od samego rana pobujając się na ławko-huśtawkach, pobiesiadować przy stolikach piknikowych i najzwyczajniej w świecie posłuchać ptasich treli. Kto więc będzie miał dość zgiełku centrum miasta, niech jak na skrzydłach leci na Bobrowskiego i zafunduje sobie ptakoterapię. Wszelkie wspólne ćwierkania i świergolenia mile widziane! Byleby nie przepłoszyć skrzydlatych stworzeń.

Tu nam palma wyrasta

Mało kto zdaje sobie sprawę, że w Krakowie mamy najstarszą palmę w Europie! Co prawda nie wolno rosnącą, tylko w warunkach szklarniowych, ale jednak. Pochodząca z Wysp Kanaryjskich palma daktylowa liczy sobie około 150 lat i jest dumą Ogrodu Botanicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Roślina ta czuje się u nas na tyle dobrze, że wciąż, mimo sędziwego wieku, pnie się wwyż i wszcz. A że na tak cenną staruszkę trzeba chuchać i dmuchać, konieczne stało się powiększenie szklarni, w której palma sobie szczęśliwie żyje. Nowa szklarnia Victoria ma być wyższa od poprzedniej o 7 metrów, więc po skończeniu rozbudowy będzie mierzyć ich aż 21. Tu nasze wiekowe cudo ma szansę rozrastać się w zdrowiu do woli. A tak na marginesie, stojącemu nieopodal szkieletorowi przybędzie parę kondygnacji, Victorii parę metrów... Czyżby miało się to przerodzić w jakiś ogólnokrakowski trend?

Wstydlivy problem fontanny Kryształ

„Gołębiami brukowany Kraków, gówno ma z tych ptaków” – pisał przed laty nieoceniony Jan Sztayndyngier. Trudno o bardziej lapidarne zobrazowanie problemu, który od zawsze dostrzegają nie tylko krakowianie. Tym razem rzecz jest jednak poważna, bo dotyczy reprezentacyjnej fontanny Kryształ, mającej w sercu Rynku cieszyć wzrok przybyszów z całego świata. Trudno jednak o radość, gdy te skrzydlate utrapienia z lubością dają ulgę swoim potrzebom fizjologicznym właśnie na szybach owej fontanny. Podobno w upalne dni przynosi ona ochłodę naszym drogim gołębim. Więc się do niej przytulają i... sami wiecie. Tak jak regularnie odpowiednie służby fontannę czyszczą, równie regularnie gołębie fontannę brudzą. Wiadomo, gołąb to nie wróbel i stracha żadnego się nie przestraszy. Zatem walka z nimi szans na powodzenie raczej nie ma. Chociaż... Może gdyby miasto ogłosiło konkurs na pomysły, jak walczyć z tym wstydlivym problemem, znalazłby się jakiś wybawca, który, niczym smoka, pokonałby gołębie z fontanny Kryształ. W nagrodę mógłby otrzymać rękę jakiejś królowej. W Krakowie kilka by się znalazło, zwłaszcza śpiących.

O kotach, które miauczą kulturalnie

Zjawiają się nie wiadomo skąd i dlaczego, ale nie mija wiele czasu, a stają się ulubieńcami wszystkich. Śnieżka trafiła do Nowohuckiego Centrum Kultury podobno prosto z łąki. Hipolit rezyduje w Kamienicy Hipolitów, oddziale Muzeum Krakowa, już szesnasty rok i nawet ma swój fanpage „Oczami kota Hipolita”. Również Włodek jest „muzealnikiem” – goni za muchami w Domu Zwierzynieckim. A ile jest jeszcze takich, które zjawiają się niespodziewane i niespodziewanie znikają. Wśród nich byli kumple Madzi, których kotka przyprowadziła do Łaźni Nowej. Teatr postawił dla nich na podwórku specjalne domki. Teraz czekają one na nowych lokatorów, bo odkąd jeden z pracowników adoptował Madzię, pozostałe zwierzaki zwyczajnie się obraziły i poszukały sobie nowego miejsca.

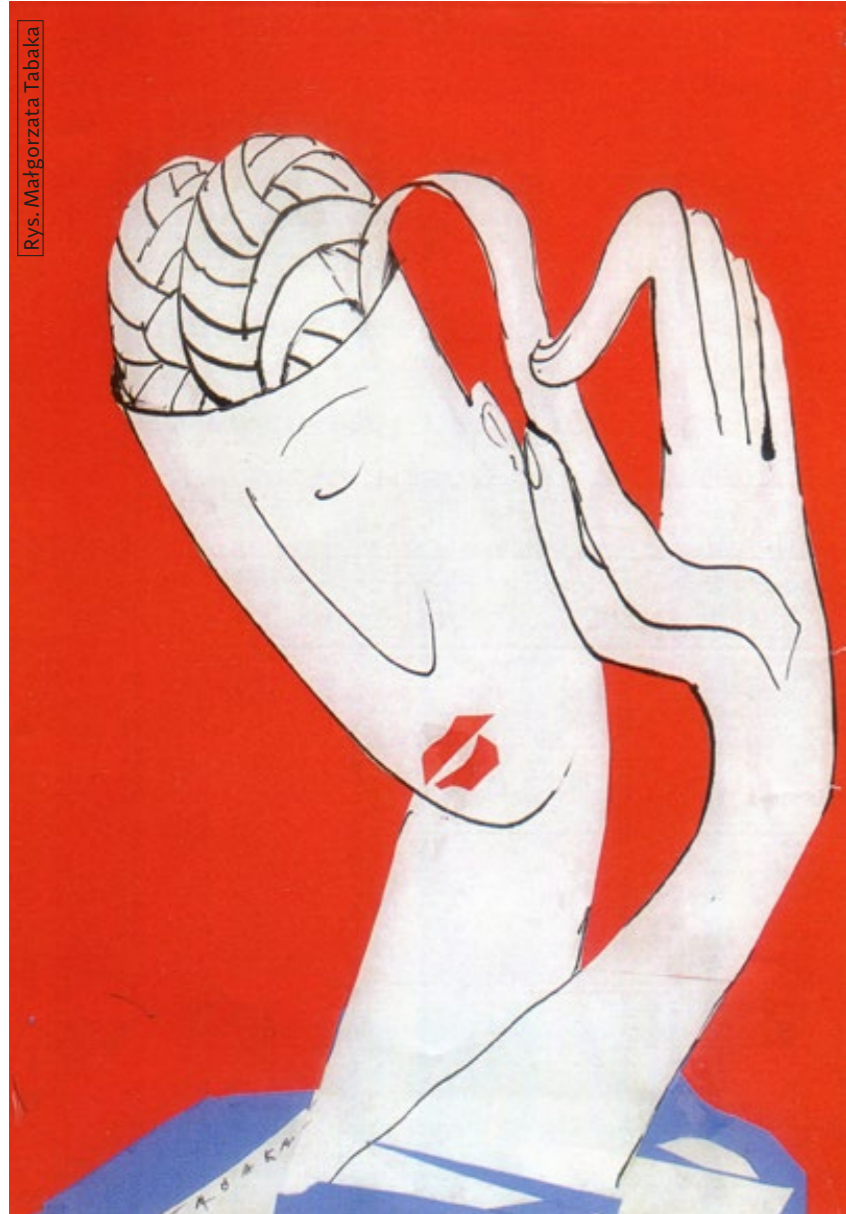
Ale i tak wiadomo, że koty nadzwyczaj dobrze czują się tam, gdzie można powąchać trochę sztuki. Rozpieszczane na wszelkie możliwe sposoby, stają się, jak to one, władkami kulturalnych instytucji. Pod doskonałą opieką (np. na Wawelu jest dla nich przeznaczony specjalny fundusz weterynaryjny), przyglądają się leniwie zwiedzającym, jakby chciały im powiedzieć: „Dokąd tak się śpieszycie?”. Pomyślcie o tym, gdy spotkacie w muzeach Hipolita czy Włodka. Albo Śnieżkę pałaszującą gotowanego specjalnie dla niej w NCK kurczaka lub popijającą śmietankę, którą pracownicy dodają sobie zazwyczaj do kawy. Miau!

Huta na pomoc rowerzystom

Kto z nas, poruszających się po mieście na rowerze, nie miał choć raz tego problemu: gdzie przypiąć swojego dwukołowego rumaka? I nie trzeba być stałym bywalcem A-B, by dostrzec, jak niełatwo w Rynku znaleźć wolne miejsce przy stojakach. Straszą więc rozmaite słupy i słupki z podociskanymi do siebie kolarzówkami, góralami i miejskimi bez przeczutek. Ale jakiś czas temu wszystkim cyklistom przyszła z pomocą huta ArcelorMittal Poland. Otóż, zaczęła ona skupować od mieszkańców stare, smogotwórcze piece, które zakończyły swój żywot w związku z dofinansowaną przez miasto wymianą grzejników na bardziej ekologiczne. Te złomowane huta przetopiła na stal, z której powstały stojaki rowerowe. Już ponad 200 z nich trafiło między innymi przed akademiki, uczelnie czy szpital im. S. Żeromskiego... Kto by przypuszczał, że „kopciuchy” tak pięknie dokończą swój żywot i staną się eco-friendly.



Rys. Piotr Blachut



Rys. Małgorzata Tabaka



Andrzej Pilichowski-Ragno, Bez tytułu, 2009

Klub przyjaciół miesięcznika „KRAKÓW”



Zofia Katarzyna Morstin, Kraków
 Piotr Maciukiewicz, Kraków
 Anna Kozłowska i Damian Kalbarczyk, Kraków
 Grzegorz Szymański, Warszawa
 Małgorzata Barońska-Jaguś i Paweł Jaguś, Kraków
 Aleksander Skotnicki, Kraków
 Alicja i Krzysztof Goerlichowie, Kraków
 Beata i Wojciech Starowieyscy, Kraków
 Andrzej X., Kraków
 Stanisław Dudzik, Kraków
 Adam Michnik, Warszawa
 Marek Borkowski, Kraków

Janusz Szerla, Kraków
 Grzegorz Kogut, Kraków
 Robert Barański, Kraków
 Józef Palinka, Warszawa
 Krzysztof Kołtun, Chełm
 Marek Braun, Kraków
 Krystyna Zachwatowicz, Kraków
 Wanda Chmielowska, Kraków
 Aleksander Herzog, Warszawa
 Marta i Grzegorz Kondrasiuk, Lublin
 Jacek Purchla, Kraków
 Gwidon Dziwoki, Kraków
 Artur Wolski, Warszawa
 Kazimierz Sumera, Zawoja
 Lidia Hanusiak, Kraków
 Andrzej Gaworski, Warszawa

Tomasz Janowski, Kraków
 Józef Opalski, Kraków
 Halina i Leszek Domańscy, Kraków
 Katarzyna Janowska, Warszawa
 Anna i Tadeusz Buczek, Katowice
 Stanisław Bisztyga, Kraków;
 Ewa Przyboś-Razowska, Kraków;
 Krzysztof Bień, Kraków
 Teresa Bergier, Kraków
 Antoni Legeżyński, Kraków
 Krystyna Socha, Porąbka Uszewska
 Elżbieta Motas, Warszawa
 Jolanta i Jarosław Brudniccy, Kraków
 Iwona Ben, Kraków
 Barbara Jajszczuk, Kraków

Dołącz do Klubu Przyjaciół „Krakowa”!

Klub Przyjaciół Miesięcznika „Kraków” to ludzie i firmy, którym bliski jest duch Krakowa i polska kultura. Wystarczy wpłacić raz na dwa miesiące 140 złotych (osoby), 500 zł (firmy), a nawet 1000 zł (PRZYJACIELE KULTURY), aby przez rok być wymienionym na liście Przyjaciół Pisma wraz z ewentualnym logo, dostawać

zaproszenia na wszystkie imprezy organizowane przez redakcję, w grudniu otrzymać w prezencie książkę pióra któregoś z Autorów pisma wraz z osobistą dedykacją i oczywiście co miesiąc dostawać kolejny numer „Krakowa”! A dla PRZYJACIÓŁ KULTURY czeka uniikatowa reprodukcja grafiki Daniela Mroza!

Wpłaty:

Biblioteka Kraków
 pl. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 3
 31-154 Kraków
 24 1020 2892 0000 5102 0677 8528
 tytułem: Klub Miesięcznika „Kraków”
 – nie zapomnij podać adresu, na jaki mamy wysłać nasz magazyn!
 Istnieje też możliwość uzyskania tytułu Złotego Mecenasa Promocji „Krakowa” – zapraszamy do rozmów.

Dlaczego moja żona powinna zostać trenerem Korony Kielce

Tekst: Jerzy Pilch

Trener Korony, były trener Korony Kielce Gino Lettieri, po rekordowych – jak na Ekstraklasę – dwóch latach został zwolniony ze swoich obowiązków.

Korona Kielce w czasie przerwy w ligowych rozgrywkach spoczywa na samym dnie tabeli jakby własny pogrzeb wypróbowała. Aż tak wam, chłopcy, mięciutko? Już gladiatorzy z miasta noży posnęli snem nieodwracalnym – doprawdy spadek jest konieczny? Czy może jest niemożliwy? Może się wywiniecie? Teraz powiedziałbym, że nie. Najślabzy wynik punktowy (4), najgorszy bilans bramkowy (10 zyskanych, 7 straconych), wspomniany w poprzednim felietonie brak kapitana Bartosza Rymaniaka – *de facto* brak obrony oraz wakat na pozycji bramkostrzelnego napastnika z genem zwycięzcy.

Jednym słowem – katastrofa, którą nie tylko ja widzę i której konsekwencje nie tylko ja przeczuwam. Kto mógłby w obecnej sytuacji uratować Koronę? Gdy numer Krakowa z tym kluczowym pytaniem znajdzie się w sprzedaży, będzie już dawno wiadomo – teraz Korona leży w ciemnościach. Kto je rozświetli? Fornał? Ojrzyński? Wdowczyk? Nawalka? Żaden z nich? Rozwiązanie leży z drugiej strony boiska.

Przekonany, absolutnie przekonany bo wiem jestem, że jest ktoś, kto mógłby, gdyby chciał. Ktoś, kto wprowadziłby do pierwszego składu kilku wychowanków kieleckiego klubu, ktoś, kto ściągnąłby rasowego napastnika z krwi i kości, ktoś, kto negatywnie ocenia nonszalanckie pozbywanie się gwiazd i wizytówek zespołu, takich jak właśnie nie bez powodu często tu wymieniani Jacek Kiełb czy Mateusz Możdżeń. Tak jest, jest ktoś, kto mógłby, gdyby chciał. Moja żona mianowicie.

Jej drobne ciało potrafi wydobyć niebywale niski, donośny głos. Porządek w szatni gwarantowany. Grałaby ulubionym systemem swych pradziadków: 4-4-2, w porywach MW. Na każdy mecz wkładałaby szyty na miarę czarny garnitur od Kielmana. Klęłaby jak szewc, sędziowie liniowi, jak i przedstawiciel związku baliby się zbliżyć. – Dośrodkuj! Dośrodkuj, kurwa!, VAR!, VAR! – chodząc nerwowo wzdłuż białej linii ze skrzyżowanymi na piersiach rękami.

Ja, z braku lepszego zajęcia, mógłbym zostać dyrektorem sportowym. Czemu nie? Kwalifikacji mi nie brakuje. Ach, nasze po-

Korona Kielce w czasie przerwy w ligowych rozgrywkach spoczywa na samym dnie tabeli jakby własny pogrzeb wypróbowała. Aż tak wam, chłopcy, mięciutko? Już gladiatorzy z miasta noży posnęli snem nieodwracalnym?

rywające narady przed meczem z Legią! Ach, nasze ciche dni z powodu meczu z Cracovią!

Na razie – do 13 września – trwa przerwa na mecze eliminacji do Euro 2020. Po meczu naszych ze Słowenią mam wrażenie, że polska reprezentacja jest permanentnie terroryzowana przez swojego kapitana. Możliwe, że to on rozsyła pozostałym zawodnikom, może nawet i selekcjonerowi, esemesy z pogrozkami, że to on czyha na nich w ciemnej bramie, że to on zapewnia sobie monopol na wszystko. Wychylić się – strach. Szarżować z piłką – strach. Prowokować karne – strach. Strzelać karne – strach. Jeść gluten – strach. Laktozę – strach. Cukier – itd. Sami rozumiecie. Nie ma lekko.

A ktoś, kto spróbuje ratować Koronę, musi mieć jeszcze jedną wysoce podstawową cechę. Musi mianowicie nie mieć oporu przed przeprowadzką do Kielc. Więcej: musi mieć na taki eksces ochotę. Moja żona (a ja za nią), owszem, taką ochotę mamy.



Jerzy Pilch – pisarz, felietonista i kibic.

Kraków



1919
2019

TEATR **bagatela**
100
LAT

